Stanisław Schnür-Pepłowski

KRWAWA KARTA

OPOWIEŚĆ Z PRZESZŁOŚCI

GALICYI

LWÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
1896.

5.20

KRWAWA KARTA.

K
1627
80

WYDAWNICTWO KSIĘGARNI

GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

	złr.	ct.
Aer. Pierwszy romantyk, powieść	2	60
Biblioteka polska. Każdy tom brosz. 1 złr. 80 ct., w opraw. . . . . T. I. II. **Krasiński Z.** Pisma. Wydanie z przedmową Stanisł. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. — III. — IV. **Mickiewicz Adam.** Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII. — X. **Zaleski B.** Poezje. Wydanie przejrzane przez autora. — XI. **Pamiętniki Paska.** Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez dr. Węclowskiego. — XII. **Niemcewicz Jan.** Jan z Tęczyna. Powieść histor. — XIII. — XVI. **Słowacki Juliusz.** Dzieła. Wyd. przej. przez prof. dra. A. Małeckiego. — XVII. — XIX. **E...ly** Assnyk Adam. Poezje, 3 tomy. — XX.—XXII. **Małecki A.** Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wydanie drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. **J. Wybicki.** Pamiętniki. — XXIV. — XXV. **Mickiewicz A.** Dzieła. — V. VI. — XVI. — XXVIII. **Mickiewicz A.** Korespondencja, 3 tomy. XXIX. — XXXI. **Kitowicz X.** Pamiętniki i pisma historyczne, 3 tomy. — XXXII. — XXXIII. **Kitowicz X.** Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 tomy. XXXIV. — XXXVII. **Romanowski M.** Pisma. 4 tomy. —XXXVIII. — XXXIX. **Słowacki J.** Listy, 2 t., wydanie II. znacznie pomnożone. **Słowacki J.** Pisma pośmiertne, 3 tomy, wydanie II. znacznie pomnożone. — XLIII. — XLIV. **Krasiński.** Pisma. — XLVI. **Kraszewski J. I.** Poezye. — XLVI.—XLVII. **Lenartowicz T.** Pisma pośmiertne. 4. części Wydanie dr. W. Bruchnalskiego.	2	30
Abraham W. Dr. Organizacya Kościoła w Polsce do połowy XII. w. wydanie drugie znacznie powiększone	3	60
Biliński Dr. L. System ekonomii społecznej 2 tomy	10	—
Bronikowski. Jan III. Sobieski i dwór jego, czyli Polska w XVII. w. 2 tomy . .	4	20
Feliński K. S. arcyb. Wiedza chrześciańska i bezbożna wobec zadań społecznych .	3	—
Dr. Antoni J. Opowiadania historyczne. Serya VI.; Iwan Podkowa; ks. Bazyli Ostrogski i zatarg z Kosińskim; S. Nalewajko; T. L. Grabianka i Stanisław August w Grodnie	3	40
— Opowiadania historyczne. Serya VII.: Zbrodnia kamieniecka; Beatrice; Zakładnicy lwowscy; Fatyma; Babka; Spuścizna po księciu Nassauskim; Spuścizna po Humieckich;	3	20
Głąbiński St. Dr. Pojęcie nauki skarbowej	1	60
— Wykład nauki skarbowej	5	—
Gubrynowicz Br. Dr. Kazimierz Brodziński. Przyczynek do biografii i charakterystyki	—	60
— Artykuł Brodzińskiego o Mickiewiczu	—	20
— Malarze na dworze Jana III. Szkic historyczny	—	40
— Piast Dantyszek. Kartka z twórczości J. Słowackiego	—	40
— Wincenty Reklewski. Szkic literacki	—	40
Koźmian An Ed. Listy od r. 1829 do r. 1864, 4 tomy	14	40
Koźmian St. Lysistrata, czyli wojna o pokój, komedya w czterech aktach, podług Aristofanesa	1	80
Krasiński Zygmunt. Listy, I—III. każdy tom	3	20
I. Listy do Konstantego Gaszyńskiego, z przedmową J. I. Kraszewskiego z portretem autora.		
II. Listy do Adama Sołtana, z przedmową J. I. Kraszewskiego		
III. Listy do J. Słowackiego, R. Załuskiego, E. Jaroszyńskiego, Kajetana, Andrzeja i Stanisł. Koźmianów, B. Trentowskiegp.		
Kubala L. Dr. Jerzy Ossoliński. 2 tomy	7	60
Liske X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki	4	20
Listy Jana III. króla polskiego, pisane do królowej Kazimiry	2	80
Ludzie i wypadki z r. 1861—1865 obrazki z powstania 2 tomy zebrał i ułożył Pułkownik Struś	4	60
Łoziński Wład. Nowe opowiadania J. M. C. Pana Wite Narwoja	4	—
— Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie z 107 rycinami. Wyd. II.	10	—
Małecki A. Studya heraldyczne. 2 tomy	6	—
— Gramatyka histor. porównawcza języka polskiego. 2 tomy	6	—
Rolle Michał. Z Przeszłości. Starostwo Barskie	2	60

183706

STANISŁAW SCHNÜR-PEPŁOWSKI

KRWAWA KARTA

OPOWIEŚĆ Z PRZESZŁOŚCI
GALICYI

LWÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
1896.

AKADEMIA ŚWIĘTOKRZYSKA
Biblioteka Główna
w Kielcach

325942 BG

Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.

I.

W dziejach naszego kraju widnieje krwawa karta, zapisana krwią i pożogą ku pamięci i przestrodze przyszłych pokoleń. Chcąc w niej czytać i nie potępić bez odwołania i tych, którzy pierwsze do walki wydali hasło i brać młodszą, odurzoną szatańskimi podszepty a morderczym nożem godzącą w łono swych naturalnych przewódzców i opiekunów, cofnąć się trzeba wstecz, o lat co najmniej dziesiątek do wypadków, poprzedzających wybuch nieszczęsnej rewolucyi czterdziestego szóstego roku, poznać ludzi, działających w owej epoce, prądy i myśli, krążące w naszem społeczeństwie. W dziejach politycznych i społecznych każdego narodu nic nie dzieje się bez przyczyny, nic nie ginie bez śladu, podobnie jak najdrobniejszy pyłek nie przepada w ogromie przyrody wszechświata.

Gdy szalona wyprawa Zaliwskiego przekonała ogół polski o jego bezsilności w obec caratu, wówczas duch wolności, pokonany

brutalną przemocą, zstąpił w podziemny labirynt spisków. Straceńców, wzywających naród do bezzwłocznego zrzucenia jarzma najezdniczego, zastąpili spiskowcy, wiodący słowem i drukiem walkę na śmierć i życie z reakcyą, która po upadku rewolucyi listopadowej gdyby piekielna zmora zaciężyła nad przeważną częścią państw europejskich. Car Mikołaj, niepoprzestając na przewadze, zdobytej na Wschodzie, wywierał wpływ tem potężniejszy na pomniejsze państwa niemieckie, im bardziej ich władcy niedowierzali Austryi i Prusom, walczącym o pierwszeństwo wśród związku niemieckiego. Rozbudzenie w Niemczech serwilizmu i partykularyzmu z jednej strony, a zwalczanie wszelkich urządzeń konstytucyjnych z drugiej, były bezsprzeczną zasługą carskiej polityki, z którą się liczył najskrupulatniej współczesny władca Francyi, Ludwik Filip. Ten król mieszczański, myślący dniem i nocą o utrwaleniu swej dynastyi na tronie, żadnych nie szczędził zabiegów, w pokorze ducha znosił nawet ciężkie uchybienia, byle tylko zapewnić sobie przyjaźń absolutnych mocarstw, wyzyskujących ów stosunek w najdowolniejszy sposób.

Włochy były jeszcze wówczas geograficznem pojęciem, jak się wyraziła jedna z dyplomatycznych wielkości, zaś egoistyczna Anglia, oraz neutralne państewka jak Belgia i Szwajcarya nie mogły wywierać i nie wywierały poważniejszego wpływu na ogólnoeuropejski ustrój polityczny.

W Austryi z chwilą zgonu cesarza Franciszka I ster rządów spoczął w ręku wszechwładnego księcia Metternicha, który pod względem wstecznictwa i niechęci do wszelkich reform, pozostanie na zawsze niedoścignionym ideałem dla wrogów postępu. To też obszerny użytek z prawa łaski, doradzony cesarzowi Ferdynandowi w licznych procesach politycznych, toczących się we Włoszech i w Galicyi, prócz chwilowego, korzystnego wrażenia, nie mógł przeszkodzić budzącym się coraz to silniej aspiracyom wolnościowym wśród licznych narodowości, wchodzących w skład monarchii Habsburgów. Prócz Polaków i Włochów, Czesi i Węgrzy, Rumuni i Kroaci jęli się domagać praw im należnych, nie przerażając się zbytnio prześladowaniem, dotykającem patryotów, więzionych po fortecach, wysyłanych na szafot, pozbawianych rodziny i mienia.

I u nas kwiat narodu, chcąc nie chcąc, znaleść się musiał w szeregach spiskowców. W miarę, jak carat uzyskiwał corazto silniejsze wpływy w stolicy nad modrym Dunajem, wzrastał też ucisk żywiołu polskiego w Galicyi. Odwołano corychlej popularnego księcia-gubernatora, Augusta Lobkowicza a po tłumnem wydaleniu z granic austryackich rozbitków z listopadowej rewolucyi, zapełniono wszystkie więzienia podejrzanem o współudział w wyprawie Zaliwskiego ziemiaństwem. Równocześnie i wychodźtwo nasze, przebywające nad Sekwaną, cisnęło w Galicyi ziarno

rewolucyjnego posiewu, które w kraju pozbawionym wszelkiego innego, legalnego sposobu objawiania woli i życzeń narodu ujarzmionego, było konieczne, jeżeli ogół polski nie miał zgnuśnieć i zmarnieć moralnie wśród duchowego ucisku.

W ognisku spiskowych robót europejskich, w Paryżu, powstało sprzysiężenie „młodej Europy“, podzielone na sekcye młodej Francyi i Polski, młodych Niemiec i Włoch. Jawną przedstawicielką młodej Polski była centralizacya towarzystwa demokratycznego, która do wszystkich ziem dawnej Rzeczypospolitej wysyłała emisaryuszów z poleceniem zawiązywania tajnych organizacyi i szerzenia propagandy rewolucyjnej.

Zrazu emisaryusze krążyli jeno po miastach, gdzie najwięcej znajdowali sposobności do jednania popleczników dla swej sprawy, tudzież po ziemiańskich dworach, które im choćby chwilowo bezpiecznego mogły użyczyć przytułku. Prześladowania i pościgi władz sądowych dodawały tym wysłańcom nieprzepartego uroku. Nie brakło u nas egzaltowanych umysłów, wygłaszających przekonanie, iż dla ojczyzny cierpieć i umierać, nie zaś żyć i pracować należy. Każde słowo padające z ust emisaryusza było wyrocznią, odezwa przez niego ukradkiem w dłoń wciśnięta, broszura, tłoczona we Francyi, wyższem objawieniem. Wysłańcy centralizacyi przemawiali do naszych ojców natchnionym językiem. Mówili im o bliskim dniu wybawienia, o potężnych sprzy-

mierzeńcach w ludach, łaknących swobody, o tronach, rozpadających się w gruzy pod ciężarem nieprawości. Kazali im gotować się do walki, bo dzień i godzina niewiadome i nasłuchiwać każdego szmeru, jaki z Zachodu doleci.

Centralizacya zamierzała jednem olbrzymiem sprzysiężeniem objąć całą Polskę i w tym celu wyprawiono do Galicyi Goszczyńskiego, Konarskiego na Litwę, Ehrenberga do Królestwa, Wężyka na Wołyń. Sprzysiężenie litewskie, dzięki energii Konarskiego, który przez trzy lata zdołał uniknąć tropiącej go pogoni carskich zbirów, największe przybrało rozmiary pod względem liczby uczestników, ale do materyalnych przygotowań rewolucyjnych nie doprowadziło. Dlatego też z chwilą ujęcia i stracenia Konarskiego upadła i stworzona przez niego organizacya, zwłaszcza że wobec zaprowadzonego w Królestwie i na Litwie faktycznego stanu oblężenia, każdy z reguły spisek bywał przedwcześnie odkryty i sroższy jeno na kraj nieszczęśliwy sprowadzał ucisk.

Raźniej szła organizacya spiskowa w Poznańskiem, używającem pewnych swobód konstytucyjnych. Propaganda odbywała się niemal otwarcie, skupiając się w jednolitej organizacyi, obliczonej na wypadek zamierzonego wybuchu.

Najbujniej wszakże krzewiła się konspiracya w Galicyi. Przyczyniało się do tego przedewszystkiem sąsiedztwo Krakowa, który

jako „wolne, niepodległe i ściśle neutralne miasto“, służył emisaryuszom za wygodne schronienie. Z Krakowa podążali wysłańcy centralizacyi w rozmaite strony kraju, znajdując zarówno wśród inteligencyi miejskiej, jak w kołach szlacheckich na wsi, licznych zwolenników. Młodzież, opuszczająca ówczesne zakłady naukowe, przedstawiała — jak to słusznie ktoś zauważył — dwa typy: demagogów i kancelistów. Umiała spiskować, lub czołgać się.

Bo też szkoły galicyjskie owej doby nie odpowiadały swemu zadaniu ani pod względem pedagogicznym, ani też pod względem państwowym i narodowym. Obcy język wykładowy dla ucznia a biurokratyczny pedantyzm, krępujący każde słowo, myśl nawet nauczyciela, tworzyły najgłówniejsze przeszkody tak w rozwoju umiejętnościowym jak i w związanej z nim ściśle idei narodowościowej. A że bez oświaty nie ma państwa w nowoczesnem tego pojęcia znaczeniu, przeto rząd gnębiąc wychowanie narodowe dla celów eksterminacyjnych, szkodził sam sobie.

Młodzież nie znajdując w szkole duchowego pokarmu, jeno przestarzałe formułki, kierowana przez obcych pedagogów wedle zasad odwiecznej rutyny, stawała się albo bezdusznym manekinem, albo też burzyła się, szumiała, dając folgę wrodzonej krewkości. Zresztą wstęp do służby rządowej, cywilnej lub wojskowej był dla niej faktycznie zamknięty. Polak, urzędnik czy też oficer, mu-

siał się koniecznie zniemczyć, zerwać związki, łączące go z otaczającem, swojskiem społeczeństwem. Inaczej marniał na podrzędnem stanowisku, podejrzywany wiecznie przez przełożonych o rewolucyjne tendencye i krzywdzony na każdym kroku.

Tak więc do politycznej niechęci przybywała jeszcze kwestya bytu codziennego, trudność zdobycia kawałka chleba w kraju tak mało przemysłowym jak ówczesna Galicya.

W niemniej trudnem położeniu znajdowało się nasze ziemiaństwo, usunięte niemal zupełnie od spraw publicznych, gdyż reprezentacya Stanowa zaliczała się w Galicyi do rzędu czczych formalności, prześladowane i wyzyskiwane przez obcą biurokracyę. Nie dość na tem, iż biurokracya nawet pod względem ekonomicznym rozliczne ziemiaństwu stawiała przeszkody, ale korzystając z anormalnego stosunku, panującego między dworem a chatą, systematycznie krzewiła nieufność i nienawiść między dziedzicem a poddanymi. Szlachcic z tytułu wykonywanej władzy dominikalnej musiał od chłopa wybierać podatek i rekruta, pędzić go na szarwarki, zmuszać do dawania podwód dla wojska i urzędników. Krótko mówiąc, nasz ziemianin był ową małpą z bajki, wyjmującą kasztany z pieca — nie dla siebie.

Nie brakło więc emisaryuszom żarliwych prozelitów, a choć władze nieustannie tropiły wysłańców centralizacyi, to jednak ścigani, przenosząc się z miejsca na miejsce, unikali pogoni, przepadali bez śladu, by po niejakim

czasie pojawić się w innej stronie kraju, gdzie ich się najmniej spodziewano. Tem się też tłómaczy owa mnogość i różnorodność organizacyi spiskowych, które po roku 1833 powstawały w Galicyi gdyby grzyby po deszczu. Jedną z pierwszych tajnych organizacyi we Lwowie była loża węglarzy polskich, tworząca odłam ogólno-europejskiego karbonaryzmu: a powstała z inicyatywy Jerzego Bułharyna i Karola Kaczkowskiego. Jej organem pomocniczym było „Stowarzyszenie przyjaciół ludu“, mające na celu obok propagandy patryotycznej, wzajemne oświecanie się w duchu narodowościowym, oraz przygotowywanie szlachty do usamowolnienia włościan.

Niebawem miejsce tych związków zajęło „Stowarzyszenie ludu polskiego“ stworzone w Krakowie przez Seweryna Goszczyńskiego, której to organizacyi główne kierownictwo przeniesiono w zimie 1836 roku do Lwowa, z powodu prześladowania, jakie stało się udziałem wychodźców przebywających na terrytoryum rzeczypospolitej krakowskiej ze strony rządów rozbiorowych. „Stowarzyszenie“, głoszące jawnie i stanowczo w swym programie wywalczenie wolności dla Polski, w związku z Słowiańszczyzną, jako z wolną rzecząpospolitą a kierowane przez ludzi tej miary co Goszczyński, Hefern i Smolka, wywierało wpływ znaczny w całym kraju. W gronie swem liczyło, prócz znacznego zastępu młodzieży akademickiej, kwiat intelligencyi galicyjskiej: prawników, właścicieli dóbr ziemskich, nau-

czycieli, księży i młodszych urzędników rządowych. Idealny, poważny kierunek organizacyi oddziaływał w duchu uszlachetniającym na całe pokolenie, a do korzystnego rozkrzewiania głoszonych przez spiskowców zasad, przyczyniły się niepomiernie kobiety polskie. One to były aniołami opiekuńczemi osadzonych w więzieniu pokarmelickiem za sprawę partyzantki patryotów, a zarazem najgorliwszemi krzewicielkami idei narodowościowej. W tradycyi więźniów stanu zachowała się aż do naszych czasów pamięć Amelii Radziszewskiej, późniejszej Garnyszowej, znanej mieszkańcom więziennych murów pod przybranem mianem Cipci. Panna Amelia niosła pociechę i pomoc nieszczęsnym, przesyłając im za pośrednictwem straży więziennej wiadomości od rodziny, starając się nieść im ulgę przez zaopatrzenie drobnych potrzeb codziennych. Godną następczynią Radziszewskiej była w roku czterdziestym szóstym Aleksandra Swobodówna, później zaślubiona Tycowi. Piętnastoletnie dziewczę, ukryta w okienku strychowem jednego z domów, położonych przy dzisiejszej ulicy Batorego, porozumiewała się z więźniami za pomocą znaków, które dawała rączką, opiętą w czarną rękawiczkę. Dlatego też zwano ją „Czarną łapką“.

Żony uwięzionych, mimo doznawanych obelg i upokorzeń ze strony niemieckich biurokratów, kołatały też wytrwale do bram tych przybytków cierpień i rozpaczy, byle wybłagać dla mężów najdrobniejsze ulgi.

Felicya Tyszkiewiczowa, żona Jerzego, nie mogąc u stóp tronu znaleść łaski dla chorego małżonka, prawie przemocą dotarła do Ludwika hr. Taaffego, prezydenta najwyższej instancyi sądowej, który wsławił się odpowiedzią, wyrzeczoną na jej skargi z powodu bezwzględnego postępowania sędziów lwowskich.

Tem lepiej dla kraju — mówił hrabia, choćby wszyscy więźniowie wymarli. Mniej będzie zdrajców w państwie. I nie dziw, że wobec takiego oświadczenia pierwszego sędziego w monarchii, z tem większą zaciekłością znęcała się biurokracya galicyjska nad żonami i matkami uwięzionych.

Bezprzykładna owa brutalność nie złamała wszakże kobiety polskiej, która nie poprzestając na wypełnianiu obowiązków miłosierdzia wobec uwięzionej braci, okazała się godną towarzyszką apostołów wolności. Niektóre z grona patryotek jak Leokadya Beckerówna, późniejsza małżonka Smolki, lub Anna Hefernowa, należały bezpośrednio do „Stowarzyszenia“, podczas gdy większość kobiet zaliczała się od roku 1836 do tak zwanego „Stowarzyszenia Sióstr.“ Był to związek, podległy „Stowarzyszeniu“, a mający na celu kształcenie się w duchu narodowym. Założycielami oraz kierownikami tego związku byli młodzi ludzie jak: Albin Dunajewski, późniejszy książę kardynał, Henryk Bogdański, Jędrzej Zawadzki, Julian Mańkowski, Karol Janko i Ferdynand Runge, którzy dawszy sobie słowo,

iż nie będą nadużywali schadzek ze związkowemi do żadnych innych rozmów, jak tylko dla celów organizacyi, zajęli się wyszukiwaniem odpowiedniego miejsca zbornego.

Pierwotnie owe zebrania odbywały się w mieszkaniu Rungego, dokąd uczęszczały: Teresa, Marcela i Tekla Michalskie, Emilia Sobolewska, Cecylia, Domicela i Dorota Kramkowskie, Antonina Piasecka, Marya Mączkowna, Jarosiewiczówna tudzież inne panny, córki urzędników i mieszczan lwowskich. Po uwięzieniu Rungego schadzki odbywały się w mieszkaniu Bogdańskiego, zaś letnią porą na cmentarzu, gdzie zbierano się pod pozorem odwiedzania grobów.

Przemawiali tam zazwyczaj dwaj członkowie „Stowarzyszenia". Mówili o pojęciu narodowości, o zwalczaniu przesądów kastowych, o moralności, słowem o wszystkiem, co kobietę podnosi i wzmacnia. Dziewczęta słuchały z wytężoną uwagą owych wykładów, zaimprowizowanych przez wymowną młodzież, powtarzając je swym towarzyszkom. W ten sposób zasady związku wnikały w kółka rodzinne, nie zdradzając źródła, skąd pochodziły. Później odbywały się na owych schadzkach wykłady historyi powszechnej, tak nieumiejętnie uczonej w zakładach publicznych oraz nauka dziejów i literatury polskiej. A ponieważ z natury rzeczy wynikało, że lekcye te nie mogły być dorywczemi, przeto i zebrania musiały się odbywać częściej, w lokalu zamkniętym. Schodzenie się w mieszkaniu spiskowych było

znów połączone z wielkiem niebezpieczeństwem dla kobiet, mimo, iż rozstawione straże strzegły zawsze miejsca zboru. Z wielką przeto radością przyjęto myśl zgromadzania się w mieszkaniu wdowy po urzędniku, Teresy Malsburgowej, której córka, Marya, należała do związku. Pomieszkanie Malsburgowej, położone przy mało wówczas uczęszczanej ulicy Garncarskiej, (w miejscu, gdzie dziś istnieje dom Wieczyńskich), dogodnym wielce było punktem dla zebrań tego rodzaju. Zresztą i nazwisko gospodyni domu, poważanej w mieście osoby, siostry żony późniejszego prezydenta sądu wyższego, Strojnowskiego, dostateczną przedstawiało rękojmię wobec podejrzeń władzy policyjnej.

Schadzki te, mimo ściśle politycznych celów, dały sposobność bliższego poznania się między zgromadzonymi. Tak więc Runge zaślubił Piasecką, Teresa Michalska wyszła za lekarza Smiałowskiego, Sobolewska za Bogdańskiego, zaś Albin Dunajewski zamierzał żenić się z Dorotą Kramkowską. Atoli związek ten nie przyszedł do skutku, gdyż biedne dziewczę zgasło w zaraniu młodości, gdy jej narzeczonego wywieziono na Grajgórę.

„Towarzystwo Sióstr“ czynne było aż do czerwca 1841 roku, kiedy to nastąpiły tłumne aresztowania spiskowców, których już poprzednio wyśledzono częściowo w lwowskiem seminaryum rz. kat. obrządku i wśród uczniów samborskiego gimnazyum. — Równocześnie i działalność „Stowarzyszenia ludu“ osłabła,

zwłaszcza od chwili, gdy zabrakło Goszczyńskiego, który, jako wychodźca, nie mając prawa do dłuższego pobytu w kraju, uchodzić musiał za granicę. Że nie wpadł w ręce poszukującej go pilnie policyi, to zawdzięczać musiał przedewszystkiem ostrożności Smolki, który poetę ukrywał w coraz to innym domu, a po części też uczynności Wacława Zaleskiego, sekretarza gubernialnego. Ten bowiem, spotkawszy Goszczyńskiego na jednej z zamiejskich przechadzek, udał, że go nie widzi, zaś dnia następnego wystosował do urzędu cyrkularnego w Sączu energiczne polecenie, by chwytano krążącego w tamtych stronach, niebezpiecznego emisaryusza, nazwiskiem Goszczyńskiego.

Po wyjeździe piewcy „Zamku kaniowskiego“ nastąpiło rozwiązanie „Stowarzyszenia ludu“, dokonane w czerwcu 1837 r. ze względów koniecznej ostrożności przez naczelników spisku. Ale młodzież zrozumiała rychło, że chciano ją w ten sposób wyłączyć ze związku i już we wrześniu t. r. gorętsze wśród niej żywioły stworzyły nowy spisek pod mianem „Młodej Sarmacyi“, która po roku przeobraziła się w „Sprzysiężenie demokratów polskich“. Przemiana owa nastąpiła głównie za sprawą centralizacyi Towarzystwa Demokratycznego, dążącej do zbrojnego powstania. Dlatego też „Sprzysiężenie“ wytknęło sobie jako cel główny: oswojenie narodu z myślą rewolucyi oraz stopniowe przygotowanie go w tym kierunku.

Przeprowadzenie rewolucyi oraz zreformowanie społeczeństwa na zasadach demokratycznych, tworzyły dalsze punkty programu sprzysiężonych, głoszących zasady Towarzystwa Demokratycznego, że Bóg dał dla wszystkich ludzi ziemię, która uprawiającym ją chłopom należy się prawem własności. Zapowiadano zniesienie przywilejów, przesądów i przywłaszczeń, panowanie równości. Obok „Sprzysiężenia demokratów“, rozwijającego się z młodzieńczą energią, wegetowały w Galicyi przez czas krótszy lub dłuższy inne związki rewolucyjne pod nazwą „Synów Ojczyzny“, „Konfederacyi“, „Chrobacyi“, „Kosynierów“. I właśnie ta niejednolitość organizacyi rewolucyjnej oraz nieprzezorność w wyborze osób, przyjmowanych do związku, ułatwiły władzom rządowym odkrycie źródła robót spiskowych.

Wykrycie w czerwcu 1840 roku sprzysiężenia „Synów Ojczyzny“ wśród oficerów i podoficerów pułku Mazzucheli, stacyonowanego w Przemyślu i w Jarosławiu, spowodowało aresztowanie sześćdziesięciu pięciu wojskowych, których przewieziono do Lwowa i po barbarzyńsku katowano w tak zwanych Małych koszarach na Żółkiewskiem przedmieściu. Oficerów biły straże kolbami, zeznania wymuszano kijami. Kilku z uwięzionych skutkiem takiego postępowania targnęło się na własne życie. Porucznik Edward Hibl zmarł w więzieniu. Podoficer Ludwik Marynowski skutkiem przebytych tortur oszalał. Zda-

wało się nieszczęśliwemu, że mu myśli przez czaszkę wyłażą i że je każdy czytać może. Mimo to zapisywano skrzętnie zeznania szaleńca, który niebawem zakończył życie w kaźni. Wymęczone na wojskowych więźniach protokoły, oraz zeznania Hellera i Hampla, przypuszczonych niebacznie do kierownictwa w „Sprzysiężeniu demokratów“, wyjaśniły władzom śledczym cały wątek rewolucyjnych knowań, począwszy od r. 1834. W lecie 1841 roku nastąpiły nowe aresztowania. W liczbie uwięzionych znaleźli się Smolka i Ziemiałkowski, podczas gdy Dunajewski oraz naczelnicy młodzieży akademickiej: Henryk Górski i Kalikst Orłowski, już poprzednio dostali się za kraty. Po koniec 1841 r. uwięziono około 150 osób pod zarzutem zbrodni stanu a co najmniej dwa razy tyle podejrzanych pozostawało na liście proskrypcyjnej sądu karnego, lecz najwyższy trybunał, do którego należała tak zwana kwalifikacya oskarzonych, zalecił w styczniu 1842 roku zaniechanie dalszych aresztowań. Wszystkie więzienia były przepełnione przestępcami stanu, których dla braku miejsca osadzano w rozmaitych gmachach publicznych, przeistaczanych na kaźnie.

Prawdziwem wszakże piekłem dla obwinionych było pokarmelickie więzienie we Lwowie. Nie dość, że traktowano tam więźniów stanu pod względem ubrania i jadła na równi ze zwykłymi zbrodniarzami, ale zamykano ich w brudnych i ciemnych celach, gdyż w oknie, prócz drucianej siatki, sterczał kosz drewnia-

ny, utrudniający przystęp światła i powietrza. Ubożsi więźniowie poprzestawać musieli na aresztanckiej sałamasze, jeżeli lekarz z litości nie zapisał im szpitalnego wiktu. Zamożniejsi za drogie pieniądze mogli się stołować u dozorcy więzienia, który ich wyzyskiwał niemiłosiernie. W wilgotnych kaźniach szerzył się szkorbut. Najbardziej wszakże dokuczała więźniom samotność. Smolka przez dwa lata siedział sam w celi, liczącej zaledwo cztery kroki długości i dopiero w trzecim roku więzienia dostał za towarzysza Floryana Ziemiałkowskiego.

Proces wlókł się żółwim krokiem, gdyż w myśl ówczesnej procedury sędzia śledczy był zarazem referentem prokuratorem i obrońcą. Śledztwo otoczone było jak najściślejszą tajemnicą, zaś przepisanych ustawą świadków powoływano tylko wtedy, gdy obwiniony był dostatecznie obeznany z ustawą i zachodziła obawa, że będzie protestował przeciw nielegalności. Tak więc proces stu pięćdziesięciu trwał przez cztery lata i dopiero w dniu dwudziestym pierwszym stycznia 1845 roku odczytano obwinionym wyroki. Trzynastu a w ich liczbie: Smolkę, Heferna, Dunajewskiego i Rayskiego skazano na karę śmierci, lecz równocześnie zawiadomiono skazańców o amnestyi monarszej, w myśl której Hefern, Korecki, Leo, Rayski i Smolka, natychmiast uzyskali wolność, podczas gdy ich towarzysze otrzymali wyroki, opiewające na karę więzienia od lat ośmiu do piętnastu.

Ułaskawienie części skazańców nie wywarło w kraju, podminowanym wieloletnią robotą spiskową, spodziewanego, dodatniego wrażenia, lubo wśród naszego ziemiaństwa nie brakło i w owej dobie zwolenników dróg legalnych, oportunistów w najszlachetniejszem tego pojęcia znaczeniu, którzy niezrażeni wrogim systemem biurokratycznych rządów, usiłowali zdziałać cośkolwiek dla kraju.

Przedstawicielem najwybitniejszym tego kierunku był zacny wicemarszałek Stanów, Tadeusz Wasilewski, jeden z najświatlejszych obywateli galicyjskich. On to, widząc jasno konieczność jak najrychlejszego rozwiązania sprawy włościańskiej, piórem i żywem słowem w sejmowej izbie przemawiał za uwłaszczeniem włościan oraz za zniesieniem pańszczyzny. Za jego to wpływem sejm stanowy już w roku 1843 upraszał u tronu o zwołanie komisyi celem omówienia sprawy pańszczyznianej. Ale najlepsze chęci naszego ziemiaństwa rozbijały się o trudności formalnej natury, jakiemi biurokracya starała się opóźnić i przewlec ugodowe załagodzenie fatalnego stosunku, istniejącego u nas między dworem a chatą.

Po dwuletniem wyczekiwaniu uzyskano w końcu wysadzenie odnośnej komisyi, ale czynności tego ciała zostały wstrzymane osobnem rozporządzeniem rządowem, wydanem we wrześniu 1845 r. Czy można się było dziwić zagadkowej taktyce sfer rządzących w obec kwestyi włościańskiej, gdy władza podej-

rzliwem spoglądała okiem nawet na instytucyę tak humanitarną jak stowarzyszenia wstrzemięźliwości, które poczęto u nas krzewić około roku 1844 za przykładem Ślązka pruskiego i rzeczypospolitej krakowskiej? I na wyraźne żądanie rządu wydali w owym czasie biskupi galicyjscy odezwę do proboszczów, zalecając im, by nie używali żadnego przymusu w obec swych parafian co do przysięgania od wódki, która też w pamiętnych dniach lutowych spełniła wyśmienicie swe szatańskie posłannictwo.

Wśród szalonego ucisku wszelkich wolnościowych dążeń, oraz niechęci rządu dla jakichkolwiek reform, tem szersze otwierało się pole dla działalności emisaryuszów centralizacyi, którzy wobec rozbicia tajnych organizacyi krajowych działać musieli na własną rękę.

Punktem oparcia był dla nich Poznań, gdzie mimo opozycyi wielkiego patryoty, dla Karola Marcinkowskiego i Edwarda Raczyńskiego, przedstawiających niebezpieczeństwo zbrojnego powstania, oraz pewność przegranej, zwyciężył w końcu wpływ Edwarda Dembowskiego, zwanego słusznie przez historyografów współczesnych ojcem spisku w Poznańskiem.

Słów kilka wspomnienia należy się temu fanatykowi idei demokratycznej, uwiecznionemu przez Wincentego Pola w poemacie p. t. „Emisaryusz“. Arystokrata z rodu, syn senatora-kasztelana Królestwa Polskiego

i zamożny właściciel dóbr ziemskich, utrzymywał Dembowski nieustanne stosunki z emigracyą i czynnie popierał jej cele. Działalność jego nie ukryła się wobec policyi rosyjskiej, więc uchodząc przed aresztowaniem, zostawił szlachetny zapaleniec swe mienie na pastwę rządu, sam zaś udał się w Poznańskie, a następnie do Brukseli, skąd skrycie powrócił do Poznania. Młodzieniec bez zarostu, o twarzy pociągłej, bladej i długich, płowych włosach, odznaczał się Dembowski nadzwyczajną zdolnością zmieniania wyrazu fizyognomii i całej powierzchowności, czem do rozpaczy doprowadzał tropiących go szpiegów. Wymowny przytem, pełen energii i fantazyi, umiał własne przekonania, zaczerpnięte przeważnie z dziejów wielkiej rewolucyi, przelać w umysły słuchaczów, choć poglądy jego, nie oparte na zbadaniu rzeczywistych stosunków, jeno snute z własnej wyobraźni, wydać się musiały przesadnymi nawet zdecydowanym zwolennikom rewolucyjnych zasad.

Odmiennem wręcz zjawiskiem był Teofil Wiśniowski, starszy wiekiem i doświadczeniem od Dembowskiego. Prawnik z zawodu, był już więziony w r. 1836 we Lwowie, lecz odzyskawszy wolność w roku następnym dla braku — jak wówczas mówiono — dowodów winy, bawił przez następne sześciolecie we Francyi, gdzie zajmował w centralizacyi wybitne stanowisko. W Galicyi pojawił się ponownie w jesieni 1844 roku. Był to człowiek blisko czterdziestoletni, wzrostu średniego,

łysawy, o orlim nosie. Poważny i małomowny, odznaczał się wielką przytomnością umysłu i łagodnością. Jako urodzony i wychowany w Galicyi, znał dobrze stosunki miejscowe i dlatego nie wierzył w powodzenie dorywczo podjętej rewolucyi, lecz głosił konieczność uświadomienia przedtem szerokich mas ludowych i pozyskania takowych dla sprawy narodowej. Za teren swej działalności obrał Wiśniowski wschodnią część kraju, zwłaszcza obwody brzeżański i złoczowski, krążąc niezmordowanie od miasteczka do miasteczka, od dworu do dworu w różnych przebraniach i pod rozmaitemi nazwiskami. Przedstawiał się kolejno jako Francuz, Karol Duval, to znów pod mianem Winnickiego, Dąbrowskiego, Zagórskiego i Lewińskiego, zbierając składki na cele propagandy, jednając świeżych członków, rozdając publikacye emigracyjne. W liczbie tych ostatnich najważniejszą odegrywał rolę „Katechizm demokratyczny“, napisany podobno przez Henryka Kamieńskiego, a wydany w Paryżu w roku 1845.

Książka ta, dziś już prawie zapomniana, przebiegała wówczas w Galicyi z rąk do rąk, nie czytana, lecz pochłaniana raczej przez młodzież i tych wszystkich, dla których przewrót istniejących stosunków zdawał się zapowiedzią lepszej doli. „Katechizm“ pouczał o miłości ojczyzny, którą zwał miłością całego ludu, narodu, miłością, którą każda szlachetna dusza czuje i nadewszystko ceni, poświęcając dla niej z radością wszystkie swoje siły,

całe swoje życie, walcząc za nią chętnie do ostatniej kropli krwi.

„Ojczyznę kochać — mówił autor „Katechizmu“ — jest to kochać jej wolność a wolność nie jest co innego jak dobro ludu. Ktoby nie chciał wolności, czyli dobra ludu, ten nie kocha ojczyzny, ale tylko klasy wyższe, którym dobrze się dzieje z pognębieniem ludu“...

Doszedłszy do tej konkluzyi, uderzał autor w sposób najbardziej bezwzględny przeciw Polsce szlacheckiej, którą zwał więzieniem, męczarnią barbarzyńską, macochą dla ludu pod względem moralnym — na co wszyscy się pisać musimy. Piętnował arystokracyę mianem różnicy i przewagi jednych nad drugimi, nieopartej na zasłudze, oraz występował z paradoksalnem twierdzeniem tej treści, iż kto jest stronnikiem arystokracyi, ten nie może ludu kochać i odwrotnie, kto lud kocha, ten musi nienawidzić arystokratyczne instytucye oraz porządek, jaki one za sobą pociągają. Konstytucya Trzeciego Maja — była zdaniem „Katechizmu“ — krokiem nieznaczącym i za drobnym, aby nas mógł wybawić... Własność ziemi i zniesienie pańszczyzny miały być ogłoszone ludowi w pierwszej chwili powstania.

Dziwnem przeto wydać się musi zalecenie w owem dziełku środków terorystycznych wobec szlachty, która — jak wiadomo — zgodnie dążyła do zniesienia stosunku poddańczego w drodze ustawniczej, zaś porównanie demokracyi, opartej na środkach terorystycz-

nych z wzniosłą nauką Chrystusową miłości bliźniego sprawia wrażenie wręcz niesmaczne.

Przerzucając po latach pięćdziesięciu pożółkłe karty demokratycznego Katechizmu, nie znajdujemy w nim krom napuszystej frazeologii, żadnej myśli nowej, oryginalnej. Bezimienny autor powtarzał, gdyby pacierz za panią matką, teorye, głoszone przez encyklopedystów przed wybuchem wielkiej rewolucyi, z lekką domieszką modnych wówczas wywodów Lamenais'ego. W dobie jednak cenzury, krępującej nietylko myśl, lecz każdy frazes swobodniejszy, gdy znajomość wewnętrznych dziejów Rzeczypospolitej i ekonomicznych systemów była prawie żadną, paradoksy Katechizmu, posiadającego nadto urok zakazanego owocu, znajdowały tłumy wierzących — na słowo.

Od propagandy, wiedzionej za pośrednictwem druku, silniejszą jeszcze była agitacya rozwijana żywem słowem przez Dembowskiego, który zaopatrzony w listowne polecenie Wiśniowskiego, znalazł się niespodzianie w lutym 1845. roku w Wojsławiu, u właściciela tych dóbr Franciszka Wiesiołowskiego, człowieka młodego, energicznego, pełnego zapału dla sprawy wolności. Pozyskanie Wiesiołowskiego nietrudnem było zadaniem dla wymownego emisaryusza, który mu prawił o przygotowaniach do powstania, gdyby o fakcie dokonanym, wyrażając się z lekceważeniem o udziale Galicyi w przyszłej rewolucyi, gdyż przyjacielem naszego ziemiaństwa nie był Dem-

bowski. W Tarnowskie przybywał on z Poznania, jako wysłannik komitetu centralnego, mającego objąć kierunek działań powstańczych na całej przestrzeni ziem dawnej Polski, z misyą zorganizowania komitetu rewolucyjnego w Galicyi, zebrania dat, potrzebnych co do rozkładu i siły załóg wojskowych w kraju, wreszcie z poleceniem zebrania potrzebnych do walki funduszów. Atoli szlachta okoliczna, z którą wysłańca komitetu poznańskiego zapoznał Wiesiołowski, nie zdradzała zbytniego zaufania wobec Dembowskiego, żądając, by Księstwo przysłało do Galicyi delegata z grona swych ziemian, osobistość znaną i zaopatrzoną w formalny paszport. Tak więc pierwsza wyprawa Dembowskiego spełzła na niczem.

Ale niezrażony doznanym zawodem emisaryusz już przed Wielką Nocą tego roku znalazł się z powrotem w Tarnowie, gdzie tymczasem zawrzało gdyby w kotle pod wpływem pogłosek o rzezi, rozpuszczonych z niewiadomego źródła w przededniu Świąt. Chłopów straszono przyjściem Polaków, którzy ich wytną co do nogi, zaś szlachcie bajano o rozruchach włościańskich, przygotowanych rzekomo przez wysłanników centralizacyi...

Kto miał interes w rozsiewaniu tego rodzaju wieści — dociec nie trudno. W każdym razie skutek zamierzony odniosły te zwiastuny mordu i pożogi. W obwodach bocheńskim i wadowickim popłoch panował największy.

Nie brakło wśród ziemian trwożliwszych obywateli, którzy w prostocie ducha chronili się do cyrkułów pod opiekuńcze skrzydła starostów, zbywających drwinami, oraz szyderstwem strwożonych, podczas gdy chłopstwo ze swej strony stawiało warty po drogach, oczekując ze strachem najścia niewidzialnego wroga.

W ślad za owemi pogłoskami, które dla bystrego oka były dość wymowną zapowiedzią katastrofy, nawiedziły zachodnią część kraju z wiosną i latem 1845 roku ogromne powodzie. Wystąpiły z brzegów: Wisła, Wisłoka, San, Dunajec, Biała i Raba. szerząc na przestrzeni mil kilkudziesięciu straszliwe zniszczenie. Przepadł plon całorocznej pracy włościanina, do którego chaty głód zakołatał kościstą swą prawicą. Wprawdzie kraj cały pospieszył z pomocą powodzianom i złożono pokaźną na owe czasy sumę stu piętnastu tysięcy złotych m. k. ale niebaczne ziemiaństwo, uczestniczące przeważnie w tej składce, zgodziło się na rozdawnictwo zapomogi potrzebnym za pośrednictwem rządu, który w ten sposób zyskał sobie miano dobroczyńcy ze strony powodzian.

W ogóle na lud zbyt mało zwracali uwagi nawet sami spiskowi, którzy z Katechizmem demokratycznym w rękach tak piękne o posłannictwie ludowem wygłaszali zdania. Z wiosną u Wiesiołowskiego w Wojsławiu zjechali się Dembowski, Wiśniowski tudzież niedawno przybyły z Pozna-

nia Wiktor Heltman. Narady nad dalszym planem postępowania trwały przez dni kilka z rzędu, lecz ostatecznie zgodzono się, by propagandę rewolucyjną wśród ludu odłożyć na później, poprzestając na razie na agitacyi wśród kół ziemiańskich oraz inteligencyi miejskiej. Podczas gdy Wiśniowskiemu poruczono kierownictwo spisku w obwodach wschodnio-galicyjskich, snuli w zachodniej części kraju robotę konspiracyjną Wiesiołowski i Dembowski, przy pomocy wychodźcy z Królestwa, byłego adwokata, Leona Mazurkiewicza. Widownią ich działalności były przeważnie obwody: bocheński, rzeszowski, jasielski i sanocki, w których, prócz głównych organizatorów przyszłego powstania, uwijali się także: Michał Wiesiołowski brat Franciszka, Henryk Rogaliński, Adolf hr. Bobrowski i Jan Tysowski.

Ten ostatni jako pełnomocnik księcia Władysława Sanguszki czynnym był i wśród oficyalistów hrabstwa Tarnowskiego i w samemże mieście Tarnowie. Kilka słów należy sic na tem miejscu osobistości Tysowskiego, który niebawem w podwawelskim grodzie tak znaczną miał odegrać rolę. Prawnik z zawodu, który jedynie z powodu trudności, stawianych mu przez rząd, nie mógł zająć stanowiska adwokata, wywierał on wpływ ogromny na całe otoczenie zarówno encyklopedyczną swą wiedzą w rozmaitych gałęziach umiejętności jak wymową porywającą, głosem dźwięcznym, postawą ujmującą. Twarz

blada, mało zarastająca, o regularnych rysach, wyróżniała przyszłego dyktatora na pierwszy rzut oka wśród tłumu.

Dzięki ruchliwości tego grona liczba związkowych wzrastała tak szybko, iż we wrześniu 1845 roku, w czasie odbywającego się we Lwowie sejmu Stanowego, znaleźli się wśród sejmujących zwolennicy zasady szlachetnej denuncyacyi, którzy zwracali uwagę prezydenta Kriega na podejrzany ruch w kraju.

Ale baron z zwykłym mu ironicznym uśmiechem na ustach zapewnił lojalnych panków, że w całym tym ruchu nie ma nic strasznego oraz, że w najgorszym razie zaburzenia nie potrwają dłużej nad trzy dni, poczem będzie sto lat pokoju!...

Dowcip ten prezydenta ubawił serdecznie niektórych członków obrad Stanowych, dość bezmyślnych, by nie widzieć tego, co się w koło nich działo w kraju, w którym, jak zwykle w takich razach, żywioły skrajne, energiczniejsze, wzięły górę, prąc siłą mocą do wybuchu. Zwrot ten nastąpił w Poznaniu, dokąd w listopadzie 1845 roku podążyli Wiesiołowski z Dembowskim celem porozumienia się z komitetem centralnym. Działalność tej władzy wywoływała już od dłuższego czasu niezadowolenie w kołach radykałów tamtejszych, skutkiem czego ustanowiono nowy komitet. Zasiedli w nim: Libelt, Guttry, Kosiński, Essman, Dzwonkowski jako przedstawiciel Kongresówki, tudzież Wiesiołowski w charakterze reprezentanta Galicyi. Odnowiony

komitet zdążał do powstania porywając za sobą centralizacyę, która po części łudzona fantastycznemi doniesieniami o gotowości kraju do zbrojnego powstania a po części też pragnąc zatrzymać władzę naczelną w swem ręku, zgodziła się ostatecznie na przyspieszenie terminu rewolucyi na luty 1846 roku.

Łudzono się niestety. Gotowość kraju do powstania była fałszem, głoszonym przez ludzi, którzy przemawiając w imieniu usposobienia i woli ogółu, posiadali w rzeczywistości tylko mandat własnych chęci i wyobrażali jeno swoją gotowość. Koniecznym warunkiem tajemnej roboty — powiada doświadczony konspirator ś. p. Agaton Giller w swej „Historyi powstania narodu polskiego“ jest dobra wiara. Tej nie było w kombinacyach sprzysiężenia a przy trudności porozumienia, niepodobieństwie kontroli oraz rzetelnego sprawdzenia podawanych faktów nieuniknionem jest stracenie prawdy z oczu, zwłaszcza przy pochopności łudzenia się, jaką rodzi gorączka niecierpliwości. W politycznych przędsiębiorstwach tej wagi, jak powstanie, lekkie fałsze, drobne pomyłki, małe zawody, wyrastają zawsze w górę błędów, którą przywala ruch, karząc klęską niewczesne zerwanie się.

Do zbrojnego powstania lud zgoła nie był przygotowany, zaś związkowi mylili się srodze, przypuszczając, że w ostatniej chwili przed wybuchem rewolucyi chłop, ujęty darowaniem pańszczyzny, brataniem się panów z ludem, przemowami księży, chwyci za broń

dla wywalczenia niepodległości. Zapominali szlachetni doktrynerzy, iż chłop nasz nie miał poczucia narodowości, że pogardzany przez surdutowca a nierzadko krzywdzony przez niego, czuł w obec starszej braci nieufność i dostępnym był podszeptom obcej biurokracyi, siejącej przez lat dziesiątki niezgodę między dziedzicem a poddanym. Wprawdzie od czasu do czasu zaglądali pod słomianą strzechę apostołowie ludowej wiary, wiodący propagandę na własną rękę. Ale działalność ich dla naszej sprawy szkodliwą była raczej, niż pomocną. Agitator taki albo prawił wieśniakowi w mglisty, niezrozumiały dla niego sposób o lepszej doli, którą ktoś gotuje ojczyźnie, albo też zmięszawszy garść pszenicy z kupą innego ziarna, starał się w ten sposób wytłómaczyć swym słuchaczom, że w przyszłej, demokratycznej Polsce szlachta rozpłynie się bez śladu wśród mas ludowych.

Chłop kiwał niedowierzająco głową, ale sznurkiem szedł do karczmy, gdzie zaniepokojony szerzeniem się towarzystw wstrzemięźliwości arendarz, rozpity urlopnik, lub uwolniony dla braku dowodów winy kryminalista, prawili mu o rzezi, gotowanej chleborobnemu ludowi przez panów, o zniesieniu przez cesarza dziesięciorga przykazań, o księżach, przekupionych przez szlachtę..... Oliwy do ognia, tlejącego w popiele, dolewali krążący po wsiach landsdragoni, pokątni pisarze i niżsi funkcyonaryusze cyrkularni, podmawiający wieśniaków do pilnowania dworów i czynienia dono-

sów przeciw panu, przyczem nieszczędzili wyrazów ubolewania, iż szlachta krępuje najlepsze chęci cesarza i jego urzędników.

W niektórych obwodach poczęły wśród ludu krążyć pogłoski tej treści, iż cesarz już przed siedmiu laty darował pańszczyznę oraz że na przyszłość chłop wolny będzie od podatku i rekruta. W ten sposób podżegano namiętności i żądze ciemnego tłumu, który z tych sprzecznych opowieści wyrobił sobie przekonanie, że na świecie dopóty dobrze nie będzie, dopóki będą pany...

Ale i pod względem materyalnym Galicya nie była wcale przygotowaną do podjęcia walki z regularnem wojskiem, załogującem w kraju. Kilka tysięcy związkowych rozrzuconych na znacznej stosunkowo przestrzeni, nie mogło stworzyć nawet kadrów dla przyszłej armii powstańczej a bez broni i pieniędzy trudno było marzyć o pomyślnym wyniku przyszłego boju. „Była w tem wielkość i głupstwo“ — jak słusznie zauważył Trentowski. A jednak związkowi postanowili powstać, łudząc się pięknym frazesem, że do powodzenia rewolucyi wystarczą sama myśl i chęć narodu. Aresztowanie znanego pisarza Berwińskiego oraz ziemianina Brudzewskiego, wysłanych przez komitet poznański celem naocznego przekonania się o stanie przygotowań rewolucyjnych w Galicyi, tudzież niewczesna odezwa Juliana Goslara, wystosowana do włościan a wzywająca lud do łączenia się z panami celem wypędzenia wspólnemi siłami wro-

ga, pogorszyły jeszcze sprawę narodową. Zwłaszcza odezwa Goslara, schwytana przez władze rządowe, stała się dla nich wyraźnem ostrzeżeniem o knowanym zamachu, którego twórcy naradzali się tymczasem w Wojsławiu nad ostatecznym rozdziałem czynności w przededniu wybuchu. Zajmowano się głównie organizacyą rewolucyjną wschodniej części naszego kraju.

I tak świeżo przybyłemu z Księstwa emisaryuszowi, Adolfowi Rozwadowskiemu, przydzielono obwody tarnopolski i czortkowski, sanocki i przemyski powierzono Mazurkiewiczowi, zaś stanisławowski i brzeżański pozostawiono Wiśniowskiemu. Lwów, stolica kraju, gdzie Wiśniowski, jako znana osobistość, nie mógł się pokazać bez narażenia się na znaczne niebezpieczeństwo, dostał się Dembowskiemu, który w grudniu 1845 roku zjechał na miejsce i z właściwą mu rzutnością zabrał się do pracy. Mimo czujności policyi, której przewodniczył jednooki Sacher-Masoch, śledzący z argusową podejrzliwością każdy ruch, każdą osobistość podejrzaną w mieście, zdołał Dembowski w ciągu kilku tygodni nawiązać ścisłe stosunki tak z młodzieżą akademicką i rzemieślniczą, jak z mieszczaństwem, z pracownikami rozmaitych wolnych zawodów, a nawet z wojskowością. Co prawda, pomysłowość Dembowskiego w robocie spiskowej była niewyczerpaną, zaś odwaga jego graniczyła z szaleństwem. O przygodach jego na lwowskim bruku krążyły przez długie lata istne

AKADEMIA ŚWIĘTOKRZYSKA Biblioteka Główna w Kielcach

legendy, które posłużyły następnie za temat do powieści naszym belletrystom. Nieustraszony emisaryusz krążył po Lwowie w rozmaitych postaciach i przebraniach. Raz pojawiał się jako żydowski przekupień z wędrownym kramikiem, to znów w księżej sutannie i w wojskowym mundurze, a w razie potrzeby nie pogardzał i kobiecym strojem, w którym twarz jego, pozbawiona zarostu, nie zwracała niczyjej uwagi. Opowiadano nawet, iż przez czas krótki zdołał Dombowski odegrywać rolę lokaja w domu samego prezydenta Kriega, celem przysłuchiwania się rozmowom, wiedzionym w poufnem gronie znajomych tego biurokraty.

Za sprawą Dembowskiego zawiązał się komitet rewolucyjny wśród młodzieży lwowskiej. Czynnymi wśród niej byli Alojzy Boberski, Maryan Sroczyński, Maurycy Sikorski, Kleofas Domaradzki, tudzież młodsi wiekiem studenci: Karol Kaczkowski i Julian Gutowski. Młodzi zapaleńcy liczyli na pomoc szlachty, która pod rozmaitymi pozorami miała w dniu wybuchu przybyć do Lwowa tudzież na posiłki ludności z wsi podmiejskich, o której pozyskaniu dla sprawy narodowej nikt nie pomyślał. Zapominali nieszczęśni, że demokracya bez ludu jest — jak to słusznie zauważył jeden z emigracyjnych autorów — tworem napowietrznym, zjawiskiem chwilowem, niedołężnem wobec zorganizowanego prawidłowo rządu. Ten rząd nie omieszkał użyć zaniedbane-

go przez demokracyę ludu jako narzędzia przeciw niej samej.

To też w chwili, gdy uderzyła godzina czynu, ten lud, o którego wolności, podniesieniu moralnem i materyalnem tak długo rozprawiano, spełnił zadanie ślepego miecza.

Uderzył w tych, którzy go zbawić chcieli !...

---

tamtejszego Seweryna Wszelaczyńskiego, zaledwo trzydziestu związkowych, którzy widząc szczupłość swych sił, powrócili z niczem do domów. W Tarnopolu młodzież gimnazyalna i rzemieślnicza, przygotowana w duchu rewolucyjnym przez Dymitra Czubatego i Mateusza Zdunikowskiego, czekała napróżno hasła do rozpoczęcia walki, gdyż starosta tamtejszy, Karol Sacher, zarządził nadzwyczajne środki ostrożności, używszy do patrolowania nawet żydków, których na konie powsadzał.. Płonnemi były w końcu zabiegi dopieroco uwolnionego więźnia stanu, Henryka Gorskiego, tudzież mandataryusza Cichockiego, którzy w Czerwonogrodzie starali się nakłonić ludność wiejską do ubieżenia Czortkowa. Ogół włościan ruskich zachowywał wszędzie odporną w obec związkowych postawę, lecz nie dopuszczał się też gwałtów, ani rabunku.

Do użycia broni i krwi rozlewu przyszło tylko w dwóch miejscowościach Galicyi wschodniej, w Narajowie i w Horożanie.

Twórcą tak zwanej wyprawy narajowskiej był Teofil Wiśniowski, który niepowiadomiony o wypadkach tarnowskich, znalazł się wieczorem dwudziestego pierwszego lutego w leśnej karczemce, „pod kręglem“, o pół mili odległej od Narajowa. Zastał tam około sześćdziesięciu związkowych, uzbrojonych w broń palną i sieczną. Przedstawiwszy się zebranym w charakterze wysłannika rządu narodowego, odebrał od nich Wiśniowski przy-

sięgę, iż nie prędzej broń złożą, aż nieprzyjaciel z kraju ustąpi i oznajmił oddziałowi, że najbliższym celem jego pochodu będzie Narajów, gdzie stał załogą szwadron huzarów szóstego pułku. Zamierzał on napaść o nocnej porze na uśpionych w trzech stajniach żołnierzy, rozbroić ich i uderzyć następnie na Brzeżany.

Naradę związkowych podsłuchał jednak miejscowy arendarz, Aron Leib Moor i za pośrednictwem znajomego chłopa uprzedził komendanta narajowskiego szwadronu, księcia Loewensteina, o zamierzonym napadzie. Wysłany ku karczmie rekonesans z podoficerem na czele, po wymianie kilku strzałów z powstańcami, powrócił co koń wyskoczy do miasteczka i zaalarmował załogę. Powstańcy obliczyli się z siłami. Zbrojnych w broń palną było wśród nich trzydziestu czterech, a i z tej garstki pięciu jeszcze ubyło po drodze, tak, iż z chwilą przybycia pod cmentarz narajowski, związkowych było zaledwo dwudziestu dziewięciu. Pod samym cmentarzem przyszło do starcia z huzarami, którzy postępujących czwórkami powstańców powitali strzałami z karabinków i pistoletów. Ale odważna garstka, nie odpowiadając na salwę, posuwała się naprzód. Huzarzy ruszyli do ataku. Wówczas powstańcy dali ognia, czem przerażeni napastnicy zwrócili w miejscu konie i poczęli umykać w pełnym galopie. Nie oparli się aż w Brzeżanach, gdzie ich niespodziane przybycie wywołało popłoch wśród mieszkańców, prze-

budzonych z pierwszego snu. Powstańcy pozostawszy panami placu nie mogli i myśleć o zaatakowaniu Brzeżan, lecz udali się do Błotni a następnie do Pomorzan, gdzie na plebanii u księdza Szersznika napróżno oczekiwali przybycia drugiego oddziału, gromadzącego się w Putatorach pod wodzą Ignacego hr. Komorowskiego, właściciela Chorobrowa. Ale związkowi tamtejsi rozeszli się bezradnie, więc też uczestnicy narajowskiej wyprawy, w liczbie których znalazł się znany później historyk, Henryk Schmitt, postanowili się rozłączyć.

Krok ten był konieczny, gdyż ludność wiejska w Pomorzanach poczęła się burzyć przeciw powstańcom i zachodziła uzasadniona obawa, iż przyjść może do rozlewu krwi bratniej. Wiśniowski udał się w Złoczowskie, gdzie spodziewał się znaleść bezpieczny przytułek u Baltazara Szczuckiego i Kazimierza Zamorskiego, cząstkowych właścicieli w Manajowie.

Tymczasem rząd ogłosiwszy stan oblężenia w całym kraju, wyznaczył za ujęcie Wiśniowskiego oraz Dembowskiego nagrodę w sumie po tysiąc złotych. I znaleźli się wśród ludu ruskiego zdrajcy, którzy za judaszowe srebrniki wydali Wiśniowskiego w ręce władzy. Emisaryusz nasz ukrywał się w pasiece, dokąd mu ukradkiem donoszono jadło, lecz w dniu piątym marca włościanin manajowski, Iwan Budnik, zauważył dym z fajki wśród ulów i zajrzawszy do wnętrza obejścia,

spostrzegł nieznanego człowieka w księżem ubraniu. Był nim Wiśniowski, który wobec Budnika przezwał się Lewińskim, twierdząc, że jest księdzem z Królestwa, zbiegłym przed prześladowaniem rządowem. Opowieść ta wydała się chłopu podejrzaną, więc też powróciwszy do domu naradził się z bratem swym Atanazym, oraz z sąsiadami, poczem udali się wszyscy do pasieki i schwytali nieznajomego. Zamorski nie szczędził zabiegów celem uwolnienia Wiśniowskiego i uprzedziwszy jego odstawienie do Złoczowa, zdołał nakłonić starostę Andrzejowskiego do pozostawienia schwytanego na wolnej stopie w mieście. Za kilka dni miano mu ułatwić ucieczkę. Przypadek zrządził inaczej. Ktoś na ulicy poznał Wiśniowskiego. Wzięto go pod straż i dano znać do Lwowa, skąd bezzwłocznie przybył akcesista kryminalny, Wiktor Sellyey, który w mniemanym Lewińskim rozpoznał głośnego emisaryusza. Budnicy otrzymali przyrzeczoną nagrodę zaś Wiśniowskiego, okutego w kajdany, odwieziono pod osłoną silnego konwoju do lwowskiego sądu kryminalnego. Los jego był już z góry postanowiony.

Równocześnie z wyprawą narajowską przyszło do krwi przelewu w Horożanie Wielkiej, wsi leżącej między Drohowyżem a Szczercem, stanowiącej własność Niezabitowskich. Widownią krwawej rozprawy nie był jednak dwór horożański, lecz siedziba mandataryusza tamtejszego, Ferdynanda Czaplickiego, oddalona o kilkaset kroków od zamku.

Czaplicki, człowiek czterdziestoletni, energiczny i wykształcony, dalekim był od przeciętnego typu współczesnych mandataryuszów, dbających jedynie o własną kieszeń. Patryota gorący, był prawdziwym przyjacielem ludu, nad którego oświatą i moralnem podniesieniem wytrwale pracował. W dziele tem prócz księży Antoniego Nahlika i Tomasza Kincla, utrzymujących w pobliskiem Rumnie wzorową szkółkę parafialną, znajdował chętnego pomocnika w osobie horożańskiego leśniczego, Łaszkiewicza, wychodźcy z Litwy, człowieka wymownego i umiejącego przemawiać do ludu.

Czapliccy zażywali wielkiego miru wśród okolicznego ludu. Ojciec Ferdynanda, Józef Czaplicki, sędziwy starzec, w domu syna bawiący, był przez długie lata rządcą i mandataryuszem w Dmytrzu, gdzie pozyskał sobie najwyższą miłość i zaufanie ludu, spieszącego do niego w każdej ważniejszej sprawie po radę i pomoc a znaczna część tej sympatyi, jakiej zażywał ojciec, zdawała się też spływać na syna. Ferdynand Czaplicki należał do związku i jemu też powierzono kierunek powstańczych działań w owej okolicy. Powstańcy mieli uderzyć równocześnie na stacyonowanych w Rodatyczach i w Gródku huzarów a następnie na Sądową Wisznię i Mościska podążać pod Przemyśl. Mimo śnieżnych zamieci i srogich zasp, jakie powstały w drugiej połowie lutego, Czaplicki rozwijał w ostatnich dniach przed oznaczonym terminem wybuchu nadzwyczajną działalność. Ufny w długoletnią

swą pracę nad ludem, dla którego był kochającym ojcem i bratem, nie przypuszczał nawet możliwości zdrady, jakkolwiek nie brakło życzliwych włościan, którzy go ostrzegali, że po wsiach krążą jacyś podejrzani ludzie, wichrzący i buntujący lud przeciw wszystkim surdutowcom. W najgorszym razie sądził on, że lud zachowa się biernie i nie zechce brać udziału w powstaniu. W przeddzień wybuchu znaleźli się w Horożanie młodsi bracia Ferdynanda: Władysław i Henryk Czapliccy, tudzież trzej młodzieńcy, przybyli ze Lwowa: Maksymilian Müller, praktykant fiskalny, Józef Waligórski, zajęty w redakcyi *Gazety lwowskiej* i słuchacz techniki, Maurycy Sikorski. Ci ostatni przyjechali uzbrojeni w broń palną i opowiadali gospodarzowi, iż w pobliżu Horożany pijani chłopi, wypadłszy z karczmy, usiłowali ich zatrzymać, wołając: *Stijte Lachy!* oraz, że z trudnością zdołali się przedostać przez zastępującą im drogę gromadę. Mimo to związkowi nie tracili wiary w powodzenie sprawy.

W dniu dwudziestym lutego sprowadzono do Horożany ukryte w Rumnie kufry z bronią sieczną i palną. Przybyli też pisarz prowentowy Jan Kuzniak, ekonom z Horbacz, Mikołaj Buczyński, wreszcie pracujący u niego szewc Ignacy Baranowski, pomnażając grono biesiadników śmierci. Równocześnie zawezwał Czaplicki wójtów z wsi, należących do jego dominium, zalecając im, by nazajutrz, (21 lutego), o godzinie siódmej rano stawili się

w dziedzińcu mandataryi na czele całej ludności męskiej. Urlopnicy mieli przybyć w mundurach, zaś wszyscy chłopi powinni się byli zaopatrzyć w żywność na trzy dni.

Otrzymawszy powyższe polecenie, udali się wójtowie za radą miejscowego parocha, Horodyskiego, jeszcze tej samej nocy do komendanta stadniny drohowyskiej, majora Eckerta i zawiadomiwszy go o zarządzeniach Czaplickiego, zapytywali o instrukcye co do dalszego postępowania. Eckert nie użyczył wprawdzie denuncyantom żądanej asystencyi wojskowej, lecz pchnąwszy równocześnie gońca z raportem do Lwowa, zalecił chłopom, by spełnili rozkaz Czaplickiego i zawiadamiali go o dalszym przebiegu wypadków.

Zaświtał wreszcie dwudziesty pierwszy luty.

Na dziedzińcu przed urzędem dominikalnym zgromadziły się tłumy ludu, zbrojnego w pałki, widły i kosy. Przybyły prócz chłopów także baby i dzieci. Ferdynand Czaplicki w otoczeniu braci i towarzyszy, z pałaszem u boku i z kokardą rewolucyjną u rogatywki, wystąpił przed ganek i wziąwszy pierwszy lepszy arkusz zadrukowanego papieru, ogłosił ludowi ustanowienie rządu tymczasowego w kraju, zniesienie pańszczyzny, poddaństwa, opłat, danin, akcyzy, monopolu tabacznego, zniżenie podatków, ceny soli, tudzież lat służby wojskowej a zarazem wezwał zgromadzonych do obrony praw wspólnych i ojczyzny.

Głuche milczenie było odpowiedzią tłumu. Widząc to Czaplicki jął tłómaczyć ludowi znaczenie usamowolnienia oraz innych ulg, jakie staną się jego udziałem w przyszłości. Wśród chłopów tu i ówdzie zaczęły się odzywać potakiwania:

Ta każe, może win prawdu howoryt..., gdy w tem nagle podpity jakiś urlopnik wysunął się na czele tłumu i zagadnął w te słowa:

Ta to może prawda, szo wy howoryte, ałe szoż koły nam kazały w Drohowyzi, szobyśmy was wsich pijmały, zwiazały, i do pana majora widstawiły a jakbyśte sia boronoły...

To zdrajca! — krzyknął Czaplicki do chłopów, wskazując na chowającego się za ich plecami urlopnika. — On was zaprzedał. Nie wierzcie mu!

Ale w tej chwili wśród gromady powstał groźny pomruk, wśród którego dolatywały słowa:

My sia toho ne pryjmajem, szczo pan sędzia howoryły i w jednej chwili, kilkotysięczna gromada krzycząc: *My sia toho ne pryjmajem...* ruszyła z miejca i w mgnieniu oka otoczyła dom Czaplickich ze wszech stron.

Nie pomogło nawet pojawienie się starego Czaplickiego, upominającego lud do rozejścia się. Chłopi słuchali go z pokorą, zdjąwszy czapki z głowy, ale oświadczyli stanowczo, że nie odejdą, dopóki nie spełnią otrzymanych z Drohowyża rozkazów. Jakoż zaraz pojmali go i zaprowadzili do aresztu dominikalnego, gdzie też niebawem się znalazł ks.

Antoni Nahlik, który otrzymawszy dopiero o godzinie ósmej rano rozkaz, odwołujący powstanie, spieszył z tą wiadomością do Horożany. Przybył niestety za późno, więc związkowi, osaczeni przez chłopów w głównem domostwie, ani słyszeć nie chcieli o poddaniu się, w nadziei, że zdołają się doczekać przybycia wojska. Tymczasem tłum, podniecony wódką, donoszoną nieustannie z karczmy przez baby i dzieciaków, począł kołami walić w szyby i drzwi oblęganego domu a równocześnie wyprowadzono z aresztu starego Czaplickiego, by go na saniach odstawić do Drohowyża. Wprawdzie chłopi obchodzili się z starcem z jak największą oględnością, gdyż zażądali nawet dla niego futra od oblężonych — *szoby nasz kochany jegomość* — jak twierdzili — *ne zmerzły*. — Mimo to jednak widok ojca, uprowadzanego przez czerń, wzruszył do głębi braci Czaplickich.

Z ich broni padł pierwszy strzał...

Chybił niestety, a zarazem rozwścieklił chłopów do najwyższego stopnia. Czerń, nie czekając już na przybycie wojska, po które słała ciągle ludzi do Drohowyża, uderzyła na domostwo, a równocześnie poczęła się znęcać nad wtrąconymi do aresztu jeńcami, których schwytała podążających do Horożany. Byli tam: Gracyan Łagoński, farmaceuta ze Lwowa, ekonomowie Biliński i Buczyński, aktuaryusz Jan Bredemajer, przejeżdżający przypadkowo przez Horożanę, dzierżawca dóbr Tomasz Łomżyński, Jan Bilewicz, kasyer

z Komarna, wreszcie szewc Baranowski, który rankiem wczesnym wyszedł na wieś między chłopów. Napróżno Czapliccy usiłowali odbić więźniów. Na razie zdołali ocalić tylko Bredemajera i Buczyńskiego, a tymczasem czerń zaczęła oprawiać Baranowskiego, Bilińskiego, tudzież schwytanych później Bilewicza i Waligórskiego. Jęki męczonych mięszały się z wyciem tłumu, szturmującego wściekle do domostwa, z którego okien bronili się powstańcy celnymi strzałami.

Nierówna walka trwała przez kilka godzin z rzędu, gdy oblęgający wpadli na pomysł podpalenia domu, którego siłą zdobyć nie mogli. Pierwszą płonącą głownię rzucił na dach nieszczęsnego domostwa gumienny Czaplickich, który od ich rodziny wielu doznał dobrodziejstw... Za chwilę płomienie objęły nietylko dach ale i krokwie a kłęby dymu poczęły się walić drzwiami i oknami do pokojów. Pierwsza wybiegła z płonącego budynku piastunka, trzymająca na ręku synka Ferdynanda Czaplickiego, kilkoletniego Bolka. Chłopi rzucili się ku niej, chcąc odebrać dziecko, ale poczciwa kobieta, która własną piersią wykarmiła maleństwo, rzuciła się na ziemię i osłoniwszy je własnem ciałem, poczęła wołać:

— *Persze zabyjete mene, jak detynu...*

Czerń ustąpiła i dziecko ocalało.

W tej samej chwili padł, ugodzony kulą, Henryk Czaplicki, który konając błagał towarzyszy, by go co rychlej dobili. A równocze-

śnie huk straszliwy rozległ się wśród pożaru. Ogień dostał się do prochu strzelniczego, złożonego w jednej z izb i gdyby nie wybite drzwi oraz okna, byłby nieochybnie rozerwał mury domu, z którego Müller wraz z Sikorskim usiłowali ratować się ucieczką, biegnąc przez ogród w stronę lasu. Chłopi puścili się za nimi w pogoń. Uchodzący, widząc, że nie zdołają się ocalić, stanęli naprzeciwko siebie w odległości trzech kroków i dali równocześnie ognia. Sikorski, ranny poniżej serca, dobity został później drągami, zaś Müller, mimo siedmiu lotek, które mu naruszyły wnętrzności, porzucony w pierwszej chwili jako trup, odzyskał później zdrowie.

Gdy to się działo na polu, pod lasem, dom Czaplickich płonął gdyby pochodnia, grożąc pozostałym w jego murach nieochybną zagładą. Wyszedł wówczas na dziedziniec Ferdynand Czaplicki, osłaniając pałaszem żonę, będącą w odmiennym stanie. Nie zważali na to chłopi i kamieniami obrzucili nieszczęsnych. W obronie Czaplickiej stanęły wszakże baby wiejskie i starsi gospodarze, nie biorący udz ału w rozruchu. Oderwali ją przemocą od męża i zemdloną odnieśli do jej rodziców, rządców Dyttlofów, zamieszkałych w tej samej wsi. Nie ocalał natomiast jej małżonek. Cięty kosą w głowę, runął na ziemię, gdzie go tłum począł młócić cepami, kołami, drągami i sztachetami. Umierającego dobił sztyletem wójt z Nowosiółki, Palij.

Chwilę jeszcze bronili się w zabudowaniu więziennem pozostali powstańcy, którzy napróżno w tem miejscu szukali schronienia, uchodząc z walącego się domu mieszkalnego. Kolejno legli pod razami napastników: Bredemajer, Łaszkiewicz, Łagoński, a w końcu i najmłodszy z braci Czaplickich, Władysław, zbity na śmierć i odarty do naga, znalazł się na śniegu pod płotem, wśród trupów i umierających. Wówczas to jakaś pijana baba, chcąc się przekonać, czy młodzieniec nie udaje tylko zabitego, zaczęła mu kozikiem wiercić dziurę w pięcie... W końcu wyrwał Czaplickiego z rąk rozwścieczonych chłopów jeden z hersztów rzezi, wójt z Ryczychowa, Dutka, któremu pochlebiła prośba rannego o opiekę. A może też spodziewał się za żywego sowitszej w cyrkule nagrody.

Już noc zapadła nad Horożaną. Czerń krążyła nieustannie w koło dogorywających budynków dominikalnych, z których cenniejsze przedmioty zdołała zrabować. Inni zabawiali się plądrowaniem dworu, w którym chora pani Niezabitowska oddała wszystko na pastwę motłochu. Złupione rzeczy i kosztowności zakupował na miejscu żyd arendarz, płacąc za wszystko wódką.

Co śmielsi chłopi wybierali się na rabunek do rządcy Dyttloffa, Litwina, który ciężką miał dla poddanych rękę. Jeden z hersztów doradzał, aby go przerznąć w pół piłą... Ale inny odwiódł pijane chłopstwo od napadu na Dyttloffa, ozwawszy się w te słowa:

— *Idy, koly choczesz. Ja ne pidu, ja ne durny, ta win by meni zaraz kazau daty sto kijów!*

Ostrzeżenie to poskutkowało. O napadzie na Dyttloffa nie było już mowy między chłopami, wśród których nie brakło i serc litościwych, odczuwających cały ogrom krzywdy, wyrządzonej powstańcom. Ale wyjątki te były bardzo nieliczne, trwożliwe, by ich nie posądzono o wspólnictwo z panami. To też ukradkiem tylko jedna z dziewuch wiejskich imieniem Hapka, napoiła leżących pod płotem, Müllera oraz Czaplickiego, ciepłem mlekiem i nakryła skostniałych od zimna porzuconymi przez rabusiów kocami.

Dopiero późnym wieczorem przybył na miejsce rzezi oddział huzarów, wysłany ze Lwowa skutkiem doniesienia majora Eckerta. Dowodzący oddziałem oficer kazał przenieść rannych do dworu i umieścić ich na posłaniach, tudzież dodał straż dla zabezpieczenia ich wobec chłopów. Mniej ludzkim natomiast okazał się towarzyszący huzarom praktykant gubernialny, Karol Sumper, który nietylko groził rannym, że w razie niewyjawienia całej prawdy wyda ich na pastwę chłopom, lecz nadto podczas rewizyi, zarządzonej u Dyttloffów, kazał usunąć z łóżka wijącą się w bolach przedwczesnego porodu żonę Ferdynanda Czaplickiego. W kilka chwil później powiła nieszczęśliwa córkę, sierotę.

Zwłoki Ferdynanda i Henryka Czaplickiego, Sikorskiego, Łagońskiego, Łaszkiewi-

cza, Bredemajera, Waligórskiego i Bielewicza spoczęły na horożańskim cmentarzu. Lud z wsi okolicznych, towarzyszący pogrzebowi, zalewał się podobno rzewnemi łzami. Skrucha ta nie trwała wszakże zbyt długo, gdyż w dwa lata później świętokradcze dłonie obaliły pomnik, wystawiony na grobie pomordowanych.

Pozostałych przy życiu związkowych: Władysława Czaplickiego, Müllera, Łomżyńskiego, Bilińskiego i Baranowskiego, przewieziono do Drohowyża, gdzie znaleźli troskliwą opiekę ze strony wojskowego lekarza. Po tygodniu odstawiono ich do Lwowa na chłopskich wozach. Rogatką stryjską, w samo południe, pierwszego marca wszedł do miasta ten smutny kondukt, otoczony huzarami. Rysy leżących na wozach osób trudne były do rozpoznania. Wszystkie twarze były czarne z pobicia, poranione, pozalepiane plastrami. Każde, silniejsze uderzenie kół o bruk wyrywało jęki z piersi rannych. Mimoto wozy pomykały szybko dzisiejszym placem Maryackim i ulicą Karola Ludwika w kierunku tak zwanych Brygidek. W mieście widok ten ponury widoczne wywołał przerażenie. Przechodnie spoglądali z boleścią na te ciała półżywe, nagie, zaledwo pokryte kocami żołnierskimi. Lękali się jednak okazać rannym żywsze współczucie, gdyż po ulicach gęsto snuły się gładko wygolone postacie z tryumfującym uśmiechem na ustach... To biurokracya napawała się widokiem swego zwycięstwa! Zacne Polki nie taiły jednak swych uczuć. Mimo

gróźb i obelg żołnierzy, przypadały do wozów z słowami pociechy i otuchy.

Nie lękajcie się! Bóg was nie opuści! — powtarzały skrwawionym jeńcom, za którymi z złowrogim trzaskiem zawarły się więzienne wrota.

III.

Urzędowa wiadomość o rzezi w zachodnich obwodach galicyjskich doszła do Lwowa już w nocy z dnia dwudziestego na dwudziesty pierwszy lutego, skutkiem czego stacyonowany w Przemyślu batalion piechoty z pułku Leiningen wyprawiono na wozach do Tarnowa, dokąd też wysłano szwadron szwoleżerów. Dopiero jednak w dniu trzecim marca dozwolono *Gazecie Lwowskiej*, będącej podówczas własnością prywatną, na ogłoszenie opisu wypadków lutowych a styl oraz sposób przedstawienia rzeczy w owej relacyi nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do źródła jej pochodzenia...

Dnia 18 lutego — pisze jedyny w owym czasie organ polityczny we Lwowie — zgromadziło się w okolicy Tarnowa kilkuset uzbrojonych powstańców, starając się nakłonić włościan z okolicy obietnicami uwolnienia ich od pańszczyzny, podatków, niskiej ceny soli i podobnemi ponętami do przyłączenia się do pow-

stania i do współdziałania w swym zbrodniczym zamachu. Gdy włościanie, wierni obowiązkowi poddanych, zwodzicielów usłuchać nie chcieli, odważyli się ci grozić ludowi wiejskiemu zbrojną ręką a w razie wzbraniania się, śmiercią i zniszczeniem. W tym strachu przybywają jeszcze tego samego wieczora do tarnowskiego starosty gońcy od przeszło 70 gmin, błagając go o rozkazy, co czynić mają i o pomoc. Gdy więc starosta przez tych posłańców gminy upomnieć kazał, ażeby w swej powinnej wierności dla monarchy i rządu trwały i od niej się ani obietnicami, ani groźbami, ani użyciem przemocy odwieść nie dały a oraz żądaną pomoc wojskową, skoro tylko okoliczności pozwolą, dać przyobiecał, powstały wszystkie gminy poddańcze, jeszcze tej samej nocy przeciw zbrojnym powstańcom i walczyły z nimi odważnie także dnia następnego. Kilkaset powstańców zabrali chłopi i odstawili do c. k. urzędu obwodowego i wielu z nich w boju, to pokaleczono, to zabito"...

W rzeczywistości miały się rzeczy odmiennie.

W myśl pierwotnego planu związkowych powstanie miało, jak wiadomo, wybuchnąć w dniu dwudziestym pierwszym lutego. W samym Tarnowie liczono do tysiąca uczestników spisku, drugie tyle dostarczyć miała najbliższa okolica, jakkolwiek pierwsze siły powstańcze rekrutować się mogły tylko z szla-

chty, z oficyalistów prywatnych, z służących dworskich, z mieszczan i małomieszczan. Co do udziału ludu wiejskiego w powstaniu, to zdania były podzielone i ostatecznie kierownicy spisku postanowili, ażeby włościan w pierwszej chwili nie poruszać ogólnie, jeno werbować wśród nich ochotników na pojedynkę. Narady związkowe odbywały się w Tarnowie niemal jawnie. Szlachta rozprawiała głośno o powstaniu w hotelu krakowskim, położonym w bezpośredniem sąsiedztwie urzędu obwodowego, nie taiła się z swymi planami wobec urzędników a z oficerami toastowała na pomyślność przyszłej walki. Nie trudno było zatem staroście tarnowskiemu, Breinlowi, wiedzieć o wszystkiem i środkami zapobiegawczymi stłumić w zawiązku powstanie, podobnie jak to się stało w Poznaniu i we Lwowie.

Ale Józef Breinl von Wallerstern rozgłośniejszych zapragnął wawrzynów i w rzeczy samej herostratową okrył się sławą. Czech z rodu, wychowanek praskiego uniwersytetu, przybył za przykładem licznych swych ziomków z nad Wełtawy do Galicyi, gdzie szybko posuwał się w hierarchii urzędniczej. Rok czterdziesty szósty zastał go na wpływowem stanowisku naczelnika obwodu tarnowskiego, gdzie spadała na niego tem większa odpowiedzialność, ile że komendant tamtejszej załogi, feldmarszałek br. Czollich, człek stary i głuchy, zupełnie nie odpowiadał swemu zadaniu. Średniego wzrostu, barczysty, odznaczał się

Breinl fizyognomią, zdradzającą fałsz i podstęp, zaś małe, głęboko osadzone oczy zdawały się przenikać wszystko i wszystkich. Mimo pozornej ogłady towarzyskiej, którą starał się okupić wstęp do kół zamożniejszego, okolicznego ziemiaństwa, nie cieszył się tarnowski starosta najmniejszą choćby sympatyą w tych sferach. I właśnie ten wzgląd miał być głównem źródłem nienawiści, jaką pyszałkowaty biurokrata żywił wobec szlachty swego okręgu. Bezimienny autor, (Maurycy Kraiński?), wydanych wroku 1847 w Lipsku „Pamiętników i Dokumentów“, (*Memoiren und Actenstücke aus Galizien*), charakteryzuje Breinla temi słowy: „Ograniczonego umysłu, miał tylko zmysł do złego, podniecany nienawiścią przeciw polskiemu ziemiaństwu, oraz przeciw religii katolickiej. Nie omieszkał też przy żadnej sposobności znęcać się nad tymi nienawistnymi przedmiotami nikczemnem szyderstwem lub pogardliwą mową. Widok Polaków, zhańbionych niegodnymi czynami, był mu najmilszy, więc też z prawdziwą przyjemnością spoglądał na zepsucie, jakie się wkradło do szkół publicznych oraz na namiętność do gry, ogarniającą pewnych ziemian“.

„Dlatego też nie używał przysługującej mu władzy celem zapobieżenia występkom, które zgodnie z jego życiem poniżały i upokarzały polską szlachtę. Ulubionem jego marzeniem było wytępienie polskiej narodowości. Twierdził on, że do zaludnienia Galicyi wystarczą chłopi i — urzędnicy, zaś klasa

posiadająca jest tu zupełnie zbędną...“ Nie dziw przeto, iż mimo wyraźnego upoważnienia ze strony władzy gubernialnej, nie kwapił się Breinl z aresztowaniem naczelników spisku, których mu przydzielony do pomocy komisarz policyi, Adolf Brzeżany, po imieniu wskazywał. Że jednak nie działał w tej mierze samowolnie, wykazywała dowodnie okoliczność, iż po katastrofie lutowej, Breinl wyszczególniony został wysokim orderem, zaś Brzeżany otrzymał dymisyę. Słusznie więc wyraził się wówczas tarnowski starosta: Gdybym działał z własnego natchnienia, nie byłoby dość wysokiej szubienicy dla ukarania mię, ale order mi nadany wskazuje, że rozkazy otrzymane dobrze wykonałem...

Zresztą prócz Brzeżanyego, posiadał Breinl mniej skrupulatnych a bardziej gorliwych pomocników w osobach komisarzy: Joachima Chomińskiego, Karola Żminkowskiego i Kaspra Leśniewicza, kancelisty, Marcelego Trojanowskiego i kasyera miejskiego, Adolfa Kamienobrodzkiego. Gorliwym sojusznikiem starosty był również starozakonny, Izak Luksemberg, zamożny propinator tarnowski, utrzymujący za pomocą swych wierników nader rozległe stosunki wśród żydowstwa całego obwodu.

W dniu siedmnastym lutego kierownicy powstania pod pozorem balu składkowego zjechać się mieli w Tarnowie celem ułożenia ostatecznego planu rewolucyi.

Tymczasem Czechowski, który jako były major wojsk polskich, miał oddane przez Mie-

rosławskiego dowództwo działań zbrojnych w Tarnowskiem, przerażony wiadomością o aresztowaniach lwowskich i poznańskich, na własną rękę przyspieszył termin wybuchu. Atak na miasto miał nastąpić równocześnie z dwóch stron. Okoliczni ziemianie, zebrani na dawnym cmentarzu cholerycznym pod wodzą Czechowskiego, uderzyć mieli na koszary piechoty, podczas gdy zadaniem drugiego oddziału, wiedzionego przez Józefa Eisenbacha, byłego kapitana z rewolucyi listopadowej, było zaatakowanie koszar jazdy od strony Tarnowca. Usiłowania obu tych oddziałów poprzeć mieli związkowi tarnowscy, którym jako dowódcę przydzielono Jana Machowicza.

Termin przyspieszonego wybuchu nie był znać dla chłopów okolicznych tajemnicą, gdyż już wieczorem siedmnastego lutego przybywali włościanie z rozmaitych gmin do Tarnowa, donosząc, że panowie i księża namawiają ich do powstania. Breinl wynagrodził ich za fatygę — jak twierdził w swym raporcie — zalecając posłańcom chwytanie związkowych, bez uciekania się do przemocy, chyba w razie ostatecznej potrzeby.

Zapadła wreszcie noc pamiętna z ośmnastego na dziewiętnasty luty. W okolicy Tarnowa szalała straszliwa zamieć, która nawet świadomym drogi związkowym utrudniała stawienie się na umówionem miejscu. Jednymi z pierwszych, którzy wyruszyli na ową fatalną wyprawę, byli Franciszek i Michał Wiesiołowscy, którzy wraz z dziedzicem Kiełko-

wa, Gumińskim i z dzierzawcą, Stanisławem Kłobukowskim, dążyli pod Tarnów. Wiesiołowscy byli jak najlepszej myśli. Poddani ich w Wojsławiu i w Goleszowie przyjęli z wdzięcznością wiadomość o ogłoszeniu pańszczyzny a nawet kilkunastu parobków dobrowolnie zaciągnęło się pod ich rozkazy. Licząc około czterdziestu ludzi dobili się późnym wieczorem do Jastrząbki, gdzie zostawili cały oddział pod dowództwem byłego wojskowego, Gromczewskiego i Wilhelma Romera, sami zaś w samoczwart puścili się w dalszą drogę, chcąc koniecznie stanąć na godzinę drugą po północy w miejscu zboru. Ale zadymka i śnieżne zaspy na drodze sprawiły, iż dopiero o świcie znaleźli się w Lisiej Górze i ominąwszy wieś dotarli do karczmy, stojącej przy tarnowskim gościńcu.

Tu opadła nadjeżdżających zgraja podpiłych chłopów w liczbie około dwustu i poczęła przybyłych ściągać z bryczki. Napróżno chcieli powstańcy przemawiać do napastników, krzyczących w niebogłosy. Wówczas Franciszek Wiesiołowski chciał dać ognia do napastników, ale myśl, iż nie podobna rozpoczynać powstania od mordowania ludu, skłoniła go do oddania się chłopom bez walki. Chciał się też bronić Kłobukowski sztyletem, ukrytym w zanadrzu, lecz padając z bryczki, wbił sobie ostrze tegoż pod serce. Konającego złożyła czerń na stole karczemnym, zaś powiązani jego towarzysze żadnej umierającemu przynieść nie mogli pomocy. Z szyn-

kowni wepchnięto jeńców do piwnicy, gdzie niebawem znalazła się, sprępowana powrozami, reszta ich oddziału, pozostawiona w Jastrząbce. Gromczewski bowiem pierwszy broń rzucił, a za jego przykładem inni powstańcy dali się wiązać jak barany.

W Lisiogórskiej karczmie, strzeżonej przez urlopników oraz przez dwóch żołnierzy, przysłanych z Tarnowa, zastali już Wiesiołowscy schwytanych przez chłopstwo związkowych z Pilzna, którzy o godzinie jedenastej w nocy z Józefem Kapuścińskim na czele zgromadzili się na poczcie tamtejszej i zmusili zarządcę do dania im dwóch wozów w drogę do Tarnowa. Przedtem jednak postanowili związkowi zgładzić burmistrza tamtejszego, Kaspra Markla, który jako gorliwy ajent Breinla, niebezpiecznym był dla sprawy narodowej. Kapuściński, jako kancelista pilzneńskiego magistratu, miał aż nadto wiele sposobności do przekonania się o nieustannych stosunkach, jakie burmistrz utrzymywał z chłopami, zamykając się wraz z nimi w kancelaryi, w godzinach pourzędowych. Przedmiotem owych narad — jak się na własne uszy przekonał Kapuściński — była instrukcya, udzielana włościanom na wypadek powstania. Nietrudno przeto zrozumieć, dlaczego Kapuściński, nie żywiący zresztą wobec swego przełożonego żadnej osobistej urazy, lecz zapalony aż do fanatyzmu dla idei rewolucyjnej, postanowił zgładzić Markla z tego świata.

O północy ruszyli powstańcy do mieszkania burmistrza, który przesłuchując przez cały wieczór chłopów, udał się już na spoczynek. Jakkolwiek Markl, przeczuwając niebezpieczeństwo, utrzymywał w przyległej do domu oficynie czternastu chłopów, zbrojnych w widły i cepy, to jednak straż ta nie ruszyła się i krokiem podczas napadu, wykonanego przez czterech tylko związkowych. Z okrzykiem: *Śmierć zdrajcy!* — wpadli oni do wnętrza domu. Przerażony burmistrz usiłował ratować się ucieczką i w ogrodzie przebity został na wylot dzidą przez jednego z powstańców, który zastąpił drogę uciekającemu. Odgłos strzałów zwrócił uwagę mieszkańców Pilzna, zabawiających się w ostatki tańcami po chatach, ale nikt nie stawiał przeszkody związkowym, których było ogółem ośmiu. Wsiadłszy do przygotowanych już dwóch szybkowozów, odjechali powstańcy w kierunku Tarnowa, lecz w Lisiej Górze podzielili smutny los swych poprzedników, popadłszy w ręce chłopskiej czerni.

Wśród niej rej wodzili urlopnicy. Oni wydawali polecenia podchmielonej tłuszczy, wysyłali do tarnowskiego cyrkułu gońców z zapytaniem o dalsze rozkazy i przeraźliwem bębnieniem na próżnych beczkach, wytoczonych przed karczmą, dawali znać towarzyszom o zbliżających się gromadkach powstańczych. Do pojmanych, natłoczonych gdyby śledzie w karczemnym lochu, zaglądały nieustannie przez okienko baby i dzieci wiej-

skie, ciskając na bezbronnych błotem, szturkając ich widłami i wymyślając im najpotworniej w świecie.

Wreszcie o godzinie dziewiątej rano rozległy się przed karczmą okrzyki:

— Wojsko idzie! Wyruszaj! Wyruszaj!

Wyprowadzono wówczas więźniów z piwnicy na gościniec, gdzie ujrzeli szwadron szwoleżerów, uszykowany w jednej linii, z podpułkownikiem Ludwigiem na czele. Naczelnicy czerni z odkrytemi głowami składali mu raport ze swych czynności, a tymczasem chłopi naigrawali się, plwali lub kamieniami rzucali na pojmanych, na co oficerowie — a byli w ich gronie i Polacy — spoglądali z godną podziwu obojętnością.

Rozległa się komenda:

— *Laden!*

Atoli w chwili, gdy nieszczęśni jeńcy sądzili, że pod eskortą wojska wyruszą w pochód, zawołał Ludwig:

— *Haut zu auf die verfluchten Polen!* — czem ośmielone chłopstwo poczęło powstańców młócić cepami i pałkami. Tych, którzy pod razami padli, zawleczono za nogi na wozy, silniejszych pędziła czerń kłusem po gościńcu, nagląc ustających biciem i klątwą. Żołnierze dopomagali im, płazując więźniów pałaszami.

Przy wjeździe do Tarnowa zatrzymano tabor wozów, na których ranni i zabici tworzyli bezkształtną, krwią ociekającą masę.

— *Koho wezietc?* — pytał, kapral, dowodzący wartą, pierwszego woźnicę.

— *Herr Korporal, retten Sie mich!* — zawołał jeden z młodziuchnych powstańców z czaszką rozpłataną nad czołem.

— *Sind Sie ein Philosoph?* — zainterpelował proszącego szwoleżer.

— *Ja* — brzmiała odpowiedź.

— *Ne bijte jeho, on bedie wisicl!* — krzyknął poczciwy Czech do chłopów, którzy w tej chwili usadowili rannego wygodnie między sobą, a jeden z gorliwszych począł mu zakładać na głowę znalezioną konfederatkę, na nieszczęście zbyt ciasną.

Powstaniec syknął z bolu i krzyknął:

— Zmiłuj się, co robisz?

Chłop na to:

— *Jesce ci ksywda, ze ci capkę zakładam, zebyś nie nie wjezdzał do miasta jak huncwot!...*

Częstokroć w życiu śmieszność sąsiaduje z grozą. Grozę położenia pomnażało zachowanie się motłochu tarnowskiego. Pospólstwo, żydzi, ulicznicy, wybiegli na spotkanie więźniów. Była to prawdziwa droga krzyżowa. Plwano na pojmanych, ciskano na nich błotem i kamieniami, wymyślano od złodziei i rabusiów. W tak zwanej Bramie Pilzneńskiej, w otwartem oknie, z fajką na długim cybuchu, rozsiadł się wspomniany już poprzednio, Luksemberg, spoglądając z tryumfującą miną na ów okropny pochód, który skierował się na rynek. Przed ratuszem, otoczeni wojskiem i chłopami, czekali więźniowie przeszło go-

dzinę, wystawieni na obelgi i razy ze strony pospólstwa i żołnierzy, zanim zawiedziono ich do aresztu wojskowego. Przed budynkiem tym ustawiono piechotę w dwa szeregi i kazano więźniom postępować owym szpalerem. Żołnierze obrócili karabiny kolbami do góry i jęli niemi młócić przechodzących. Dopiero wdanie się oficera od kirasyerów, Bierfeldnera, położyło kres temu barbarzyństwu. Bierfeldner znalazł szlachetnego towarzysza w baronie Berlichingen, który również zasłaniał bezbronnych jeńców od ciosów rozhukanego żołnierstwa.

Powstańców, silniej pokaleczonych, umieszczono w szpitalu wojskowym, a następnie w osobnym lazarecie, urządzonym w kamienicy Kamienobrodzkiego. Siedm dużych sal zapełnionych było rannymi i w każdej sali mieściło się kilkadziesiąt łóżek. Był to widok, sprawiający wrażenie Dantejskiego piekła — opowiada jeden z naocznych świadków tej doby. Ten z głową rozpłataną, ów z połamanemi żebrami, nogami lub rękami. Ten bez oczu, lub z wybitemi, tylko na żyłach wiszącemi oczyma. Inny z odbitą szczęką, trzymającą się zaledwo na kawałku skóry. Tam znów bezkształtne ciała bez rąk, bez nóg, bez nosów, z pogruchotanemi szczękami. Nieludzkie jęki, zabijająca zaducha, krzyki gorączkujących, tworzyły chaos straszliwy. Jeden z rannych przez kilka nocy powtarzał w malignie grobowym, monotonnym głosem:

— Jenerale, miej litość, szanuj tę młodzież! Szkoda jej, to kwiat narodu!

Niejaki znów Pieńkiewicz z Ropczyckiej Góry, który broniąc się, kilku chłopów zabił, leżąc w lazarecie z rozpłataną głową, wyśpiewywał w gorączce różne krakowiaki...

A i te majaczenia nie uszły baczności władzy. Wieczorami przychodzili do szpitala Żminkowski i Trojanowski, siadali przy gorączkujących i zapisywali skrzętnie każde ich słowo. Z początku dopuszczano do sal zacne Polki, które niosły rannym pomoc w bieliznie, w chłodzących napojach; pielęgnowały ich i przynosiły wiadomości od rodziny. Później odmówiono więźniom i tej pociechy. Lekarze wojskowi opatrywali chorych starannie. Natomiast posługacze szpitalni dokuczali niemało bezsilnym ofiarom, dla których prawdziwym opiekunem, obrońcą i dobrodziejem okazał się kapelan wojskowy, którego nazwiska nie podają niestety współczesne publikacye. On pamiętał o każdej potrzebie rannych, stawał w ich obronie wobec zarządu szpitalnego, pocieszał i krzepił ducha cierpiących, spowiadał i grzebał tych, którzy w lazarecie skończyli życie.

Tarnów w owych dniach sprawiał wrażenie ohydne. Chmary chłopstwa, pijanego, zbroczonego krwią swych ofiar, snuły się po ulicach wespół z szumowinami miejskiemi, wygrażając się surdutowcom, którzy przerażeni zamknęli się po domach. Breinl bratał

się z hersztami rzezi, ośmielając ich tem samem do dalszych nadużyć.

Pięć złotych za rannego powstańca stanowiło zwykłą nagrodę, wypłacaną chłopom pod pozorem zwrotu kosztów na podwody. Skoro jednak dostarczono do cyrkułu zwłoki Bobrowicza, przez Breinla szczególniej znienawidzonego, ucieszony starosta wypłacił mordercom dziesięć złotych, która to kwota stała się od tej chwili zwykłem wynagrodzeniem za szlacheckiego trupa. Widząc to chłopi, zaczęli dobijać rannych pod bramą cyrkułu. Zachęcali ich do tego żołnierze i Trojanowski. Żona Augustyna Chmielowskiego, dzierzawcy Migdałówki, towarzysząca schwytanemu w Tarnowie mężowi do urzędu obwodowego, zeznała pod przysięgą, iż Trojanowski gromił chłopów w te słowa:

— „Nacoście go żywego przyprowadzili? Czemuście go nie zabili? Po co żywych do cyrkułu przywozicie?“

W obecności Chmielowskiej wypłacano też chłopom w urzędzie nagrody za dostarczone zwłoki, zaś żalącym się na zbyt niskie wynagrodzenie, zapowiedział odnośny funkcyonaryusz, iż później dostaną więcej...

Napróżno duchowieństwo tarnowskie starało się ukoić rozbestwioną tłuszczę, przemawiając do niej w imię miłości chrześcijańskiej. Próby, czynione w tej mierze przez gorliwszych kapłanów uważała władza jako podżeganie do buntu. Dowodem takiego zapatrywania rządzących było prześladowanie księ-

dza Waleryana Serwatowskiego, profesora teologii w seminaryum tarnowskiem. Serwatowski od dawna już był niemiłą dla rządu osobistością Jemu to z powodu kazania, wygłoszonego z okazyi śmierci księcia Eustachego Sanguszki, jenerała Kościuszkowskiego, ośmielił się czynić wyrzuty brutalny Breinl, przemawiając do zacnego kapłana: „*Du niederträchtiger Pfaffe!*“

W dniach rzezi ksiądz Serwatowski spowiadał umierających w lazarecie, poczem utrudzony zamierzał udać się do domu. „Ale to, co na ulicy ujrzałem“ — pisze zacny ów kapłan w swej skardze do tronu — „okropnie mię nanowo wzruszyło. Spostrzegłem pijanego chłopa, który wynoszonego na płachcie z sali szpitalnej trupa przebijał żelaznemi widłami. Dwóch rzemieślników pochwyciło chłopa, chcąc go zaprowadzić na policyę, ale przechodzący właśnie oficer z pułku Haynau kazał uwolnić pojmanego. Szedłem dalej i ujrzałem kupę chłopów, uzbrojoną w cepy i w widły, zbliżającą się ku mnie. Chłop jeden na pańskim jechał koniu i wołał do tej gromady: Naszych panów jużeśmy pozabijali!... To wszystko zniewoliło mię do przemówienia kilku słów do ludu, a to tej treści: Bóg jest mścicielem krwi przelanej, ponieważ on dał piąte przykazanie „Nie zabijaj“ a siódme „Nie kradnij!“ Rabusie i zbójcy odpowiedzą za to przed tronem Boga Najsprawiedliwszego! Pokornie wysłuchali ci chłopi słowa Bożego, zdjąwszy czapki z głowy. Poszedłem spokoj-

nie do domu, i ani mi przez myśl nie przeszło, iżbym się przez to stać miał winnym zbrodni. Jak wielce więc musiałem się zdziwić, gdy zaraz potem zostałem aresztowany, a do księdza biskupa przyszła nota rządowa, obwiniająca mię o zbrodnię stanu z powodu, iż mieszczan i chłopów przeciw rządowi burzyłem i publicznie w mieście środki rządowe ku stłumieniu rewolucyi zmierzone, wobec chłopów karciłem"... Tyle słów księdza Serwatowskiego, który pozbawiony katedry, odzyskał wprawdzie wolność po trzymiesięcznem więzieniu, lecz w charakterze wikarego przeniesiony został do Lincu. Suknia duchowna przestała być świętością dla ludu, który nietylko mordował kapłanów, łączących się z rewolucyą, lecz znieważał i katował także spokojne sługi ołtarza.

Ze związkowych, gotujących się do napadu na Tarnów, ocalała szczupła jeno liczba. Około czterystu powstańców jawiło się o umówionej porze na punktach zbornych, by rozprószyć się po dłuższem wyczekiwaniu. Powracających chwytało chłopstwo, które tymczasem obsadziło wszystkie drogi, wiodące do miasta. Czechowski dostał się do niewoli, Eisenbacha zabito, zaś jedną z najważniejszych ofiar z grona okolicznego ziemiaństwa był Karol Kotarski. Mąż ten, gorliwy opiekun wiejskiego ludu, wzorowy gospodarz, był szczególnie znienawidzonym przez Breinla, oraz przez jego sojusznika, Luksemberga. — Zawiadomiony w dniu ośmnastym lutego o

szerzącej się wśród ludu pogłosce, iż szlachta rozpoczęła rzeź chłopów, udał się Kotarski z siedziby swej, w Oleśnie, do drugiej wsi, Ćwikowa, będącej również jego własnością, celem uspokojenia burzącego się chłopstwa. Ale chłopi, niepomni doznanych od dziedzica dobrodziejstw, nie usłuchali jego rady i zmusili Kotarskiego do powrotu. Tymczasem przejeżdżający przez Ćwików strażnicy skarbowi donieśli do Tarnowa, iż Kotarski na czele kilku tysięcy chłopów ciągnie na miasto.

Dziewiętnasty luty minął spokojnie dla mieszkańców Oleśna i dopiero nazajutrz rano chłopska czerń napadła na dwór tamtejszy, z którego wywlokła dziedzica, mandataryusza Grzywińskiego i plebana Kaznowskiego do karczmy. Tam odbyto naradę, kto ma odstawić pojmanych do Tarnowa, poczem Kotarskiego wraz z jego towarzyszami wsadzono na wóz poprzednio przygotowany. Zanim jednak ruszono z miejsca, gdy nadbiegli chłopi z Łukowa i z Odporyszowa, wołając do swoich:

— Zabijcie go i zawieście do Tarnowa. Tam wam dobrze zapłacą, gdyż wyznaczono tysiąc złotych nagrody za głowę Kotarskiego!

W tej chwili włościanin z Swiebodzina, Grzegorz Masztalerz, któremu co dopiero oddał Kotarski wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie, ugodził go kozicą od pługa w głowę. Zaraz też przewrócono wóz i bito pojmanych na śmierć. Kotarski i Grzywiński zgi-

nęli na miejscu, zaś ksiądz Kaznowski, zbity straszliwie, zawdzięczał ocalenie babom wiejskim, które go wyprosiły od śmierci. Po dokonanej zbrodni tłuszcza chłopska rzuciła się na dwór oraz na plebanię. We dworze zamordowała czerń krwi chciwa dwadzieścia sześć osób, częścią domowników, częścią też z okolicy przybyłych a nie poprzestając na rabunku inwentarza oraz zapasów gospodarskich, niszczyła całe urządzenie, zabierając bieliznę, naczynia, srebro, obrazy. Nie przepuściła nawet papierom wartościowym, dokumentom prawnym oraz kwitom, świadczącym, iż zamordowany dziedzic do dwudziestu tysięcy złotych rozdał na pożyczki swym poddanym... Niszczono drzwi, okna, malatury, drzewa, rosnące w koło dworu, jak gdyby rozszalały motłoch pragnął zatrzeć ślady istnienia siedziby swego dobroczyńcy.

Zaciekłość ta byłaby trudną do pojęcia, gdyby nie stwierdzona zeznaniami licznych świadków okoliczność, że już na dzień przed napadem na Oleśno tłum, poduszczony przez żydów, biegał po ulicach Tarnowa z okrzykiem:

Spieszmy się, gdyż za głowę Kotarskiego wyznaczono tysiąc złotych nagrody!

Tym samym pobudkom przypisać należy zamordowanie Prospera barona Konopki z Brnia, księdza Cieszkowskiego i Michała Sroczyńskiego. Tragicznym w całem tego słowa znaczeniu był zgon Onufrego Wolskiego, dzierżawcy Lubczy. Wolski, były oficer ka-

waleryi austryackiej, przeznaczony był przez związkowych na dowódcę powstańców w Pilźnie, lecz skutkiem nieszczęśliwego upadku z konia, nie mógł stawić się na oznaczonem stanowisku. Czerń napadła go nad ranem dziewiętnastego lutego, lecz odstraszona wystrzałami Wolskiego, odstąpiła po czterogodzinnej walce od dworu, zostawiając kilku rannych i zabitych. Wolski przypuszczając, że napastnicy powrócą niebawem w znaczniejszej liczbie, postanowił ratować się ucieczką. Razem więc z żoną, będącą w ciąży, z dziesięcioletnim Pieniążkiem, pozostawionym u niego na opiece, oraz z wiernym strzelcem, Ignacym, puścił się nocą przez lasy chotowskie i machowskie do Tarnowa. Żona, zziębnięta i chora, nie mogła iść szybko, więc o też o świcie dnia następnego zaskoczeni zostali uciekający w polu przez chłopską czerniawę. Jak długo starczyło nabojów, bronił się Wolski wobec napastników, lecz widząc w końcu niemożność dalszej walki, postanowił ostatnim strzałem odebrać sobie życie. Przykląkł przy żonie i oddając jej pugilares z pieniądzmi, szepnął:

— Bądź zdrowa! Pamiętaj o dzieciach! — poczem chciał strzelić do siebie. W tej chwili jednak rzucili się na niego chłopi, wołając:

— Jużeś się wystrzelał bestyo!

Wolski, porywczy z usposobienia, wypalił do pierwszego z napastników i położywszy go trupem, spokojnie oczekiwał końca. W mgnieniu oka, czerń stojąca dotychczas zdala, opadła bezbronnych, związała ich, obdarła do

naga i poczęła się pastwić nad związanymi. Wolska, rozpruta kosą, pierwsza skonała, podczas gdy męża jej, strzelca i małego Pieniążka, biło chłopstwo bez pamięci i nieżywych na pozór porzuciło pod kuźnią machowską. Tu dopiero kowal, widząc, że Wolski daje jeszcze znaki życia, rozwalił mu głowę siekierą i w ten sposób dobił, podczas gdy strzelca i Pieniążka, skostniałych i zbitych, ocalił jakiś chłop litościwy z Machowej, który po odejściu czerni, zabrał ich do swej chaty, ogrzał i nakarmił.

Nazajutrz odzianych we własne sukmany odwiózł do Tarnowa i częstując ich po drodze wódką, dodawał:

— Choć wy szelmy wyrżnąć nas chcieliście, przecież ja mam miłosierdzie nad wami i nic wam złego zrobić nie pozwolę. Mieliście już za swoje!

Nie brak więc było i wśród obłąkanych tłumów ludzi, mających serca litościwsze. Niestety jednak wyjątki tego rodzaju były rzadkością, a zresztą któż zbadał tajniki duszy chłopskiej? I tak w Wojsławiu, jak już wspomniano, lud wiejski z rozrzewnieniem wysłuchał ogłoszenia o zniesieniu pańszczyzny, zaś wójt tamtejszy, Tomasz Sarana, sam przywiódł do dworu swego zięcia, Marka Mazura, tłómacząc się wobec Wiesiołowskiego, iż jako człowiek zbyt stary sam nie może wziąć udziału w wyprawie.

Skoro jednak rozeszła się wieść o r a b a c y i — jak chłopi nazwali swe napady na

dwory — nie namyślał się zbyt długo wójt wojsławski, lecz sam poprowadził chłopów na dwór tamtejszy. Co prawda, rabunek odbyto dość względnie, gdyż nie tknięto ani bydła, ani też zapasów zboża. To też zięć wójtowy, Mazur, który po rozbiciu powstańców w Lisiejgórze, hulał przez dni kilkanaście z bandami, rabującemi w okolicy, powróciwszy do domu, nie mógł się dość nadziwić okazanej wobec Wiesiołowskiego względności.

— Wszak to tu — prawił — widzę i owce są całe i gorzelnia nie tknięta! Nie tak to, moiściewy, gdzieindziej rabują!

W kilka miesięcy później, gdy śledztwo wykazało, że Mazur należał do panów, uwięziono go jako zbrodniarza stanu i przez trzy miesiące z rzędu trzymano w tarnowskim kryminale. Tak więc użył on wszystkiego — pisze w swych wspomnieniach Wiesiołowski — czego w owych czasach użyć było można...

Głównym hersztem rzezi w Tarnowskiem był Jakób Szela, włościanin z Smarzowej, wysłużony wojskowy. Kilkakrotnie sądownie karany za kradzież, podpalenie ojcowskiej chaty i zabójstwo żony, był Szela duchem niespokojnym i pieniaczem zapalonym. Z tego też powodu jako deputat gminy wiódł ciągłe procesy z właścicielami Smarzowej, Boguszami, wobec których piekielną płonął nienawiścią. Jako deputata poznał Szelę tarnowski starosta i odkrył w nim podatne do swych celów narzędzie. W tym celu wzywał go bar-

dzo często do Tarnowa, gdzie omówiono cały plan działania. Szela, lubo niepiśmienny, odznaczał się wyborną pamięcią tudzież znajomością okolicznych stosunków. Dobrawszy sobie do pomocy syna swego, Staszka, urlopnika z pułka Nugent, tudzież licznych krewniaków, rozwinął szaloną agitacyę przeciw dworom i dziedzicom. Chodząc od wsi do wsi, wybierał zaufanych wójtów i urlopników, których po zaprzysiężeniu przypuszczał do tajemnicy. Na dowódców czerni wyznaczał albo urlopników albo też uwolnionych z kryminału przestępców, wskazując im punkty zborne i ofiary, które przedewszystkiem wymordować należało. Przemawiając do gromad chłopskich, pokazywał im zawsze jakieś druki i papiery, twierdząc, że są to cesarskie rozkazy. Bo też: Bóg i cesarz — były to hasła, jakiemi się ten zbrodzień posługiwał. Wydawał też podróżnym glejty bezpieczeństwa i z podwładnem mu chłopstwem postępował z wojskową surowością, wybierając z rabunku dziesięcinę. To też chata Szeli w Smarzowej przepełnioną była krwawo zdobytymi łupami. Obok kupy sreber i bronzów stały tam niecki z mąką. Na drogich futrach siedziała kura z kotem, biżuterye pomięszane z jagłami leżały na patelni zaś wśród kosztownych mebli i stosów starej porcelany przewalały się stosy marchwi i wędliny, wypróżnionych butelek i brudnych garnków.

Szela w owym czasie liczył lat pięćdziesiąt. Był to chłop wysoki, średniej tuszy. Ry-

sów twarzy nie miał wcale odrażających. Oblicze jego znamionowała raczej powaga, połączona z wyrafinowaną przebiegłością. Gorliwych pomocników posiadał Szela w żydach okolicznych, z którymi porozumiewał się za pośrednictwem Lewka Sterna, arendarza smarzowskiego. Żydzi służyli wiernie hersztowi rzezi w nadziei spodziewanych zysków, gdyż oni to zakupowali za bezcen od chłopów wszelkie zrabowane kosztowności. Byli więc Szeli szpiegami, powiernikami, denuncyantami, pośredniczyli w roznoszeniu jego rozkazów do poszczególnych gromad i w doręczaniu raportów władzy. Główna zasada operacyi herszta czerni polegała na tem, iż z reguły do danej miejscowości wysyłał na rabacyę obcych, rozpojonych chłopów. W ten sposób nie potrzebował się obawiać, by wskazane przez niego na śmierć ofiary zdołały uprosić litość u swych morderców a i w razie śledztwa na przyszłość wykrycie sprawców rabunku lub mordu stawało się wielce utrudnione.

Najsroższa zawziętość Szeli wrzała przeciw rodzinie Boguszów. Głową tej rodziny w Galicyi był sędziwy Stanisław Bogusz, wychowaniec szkół pijarskich, dworzanin i sekretarz Stanisława Augusta, za którego wstawiennictwem, lubo sam niemajętny, pozyskał rękę bogatej dziedziczki, Apolonii Stojowskiej. Biegły w prawie i w językach, oddawał w młodszych latach krajowi liczne usługi, odegrywał też ważniejszą rolę w rewolucyi kościuszkowskiej a ożywiony prawdziwym pa-

tryotyzmem nieprzyjmował od austryackiego rządu żadnych tytułów ani też dostojeństw. Dom Boguszów słynął w całym kraju z gościnności i rządności, zaś poddani ich doznawali iście ojcowskiej opieki. Boguszowie mieli jedną córkę, Ludwikę, zaślubioną Gorayskiemu, tudzież pięciu synów, z których jeden tylko Henryk, poświęcił się służbie publicznej, piastując urząd prokuratora przy trybunale krakowskim, podczas gdy reszta braci: Feliks, Stanisław, Wiktoryn i Nikodem, osiadła na roli. Tej to rodzinie poprzysiągł herszt rzezi zemstę i spełnił takową w sposób, urągający uczuciom ludzkości na sześciu Boguszach, przedstawiających w swych osobach trzy pokolenia.

Pierwszy ofiarą czerni padł Stanisław Bogusz, (syn), z Rzędzianowic. Wzorowy gospodarz, ożeniony z Maryą Stojowską, był gorącym patryotą i należał do związku. Chłopi schwytali go w Jaworzu, podążającego do Siedlisk w dniu dziewiętnastym lutego. W powozie znalezione dwa pałasze oraz pistolet dały czerni pożądany pozór do zatrzymania go jako więźnia i odstawienia pod strażą do Pilzna. Zrazu chłopi obchodzili się z więźniem po ludzku, ale już na postoju w trzegocickiej karczmie dzicz poczęła się znęcać nad więźniem, zaś przychylne przyjęcie, jakiego doznał Bogusz ze strony urzędników magistratu w Pilznie, pogorszyło jego dolę. Chłopi zaczęli się burzyć i wygrażać, czem zastraszony asesor tamtejszy, Gorczyca, kazał

więźnia co rychlej odstawić do Tarnowa. Obdartego do koszuli i zepchniętego ze schodów wywleczono z magistratu Bogusza, który wyrwał się swym prześladowcom i usiłował ratować się ucieczką. Ukrył się więc naprzód w domu mieszczanina Jakubowskiego, a gdy i stamtąd wyprowadzili uciekającego urlopnicy, główni jego prześladowcy, rzucił się w stronę kościoła. Ale drzwi świątyni były zamknięte i ścigany padł krzyżem u kościelnego progu, podczas gdy tłum chłopski okładał go drągami. Wówczas urlopnik, Jan Kloch, chwycił go cepem między nogi i krzycząc na całe gardło: „Jeździłeś w pojeździe, teraz będziesz jeździł saniami!“ — wlókł go do wozu. Tłum chłopów i żydów, przepełniający rynek, przypatrywał się obojętnie temu widowisku. Co bliżsi młócili kijami i cepami męczennika, który już głosu nie mógł wydać z siebie. „Krew za nim broczyła i nie znać już było czy żyje„ bo był czarny jak maź“ — opowiada w odnośnym protokole naoczny świadek tej sceny. Mimoto nieszczęsna ofiara żyła jeszcze i wrzucony na wóz, ocknął się Bogusz w drodze do Tarnowa przed karczmą, zwaną Wygodą. Tam spotkali chłopi dyliżans, eskortowany przez dwóch żołnierzy, którzy oświadczyli czerni, że w Tarnowie dość już mają szlachciców i że lepiej zrobią, jeżeli zabiją więźnia. Chłopstwo nie dało sobie dwa razy powtarzać usłyszanej rady i cepami dobiło Bogusza.

Tego samego dnia (dwudziestego lutego) przytrzymała czerń w Kamienicy przejeżdżającego gościńcem Wiktora Bogusza, właściciela Siedlisk, wraz z dwoma synami najstarszego brata, Feliksa. Wywleczonych z pojazdu i zbitych zamknęli chłopi w karczmie w oczekiwaniu na przybycie komisarza Heyrowskiego, który wysłany z Jasła wraz z wojskową asystencyą, krążył po okolicy. Zanim to jednak nastąpiło, nadciągnął sam Szela wraz z chłopską bandą a ujrzawszy Bogusza zawołał:

— Jeszcze ty żyjesz? Zawsze mi groziłeś kryminałem. Teraz ci pokażę, że zginiesz! Chłopcy! Weźcie się do roboty!...

Arendarz Tintenfass, chcąc ocalić Bogusza, przypomniał zamierzającemu się na niego z siekierą chłopu, iż otrzymał od swej ofiary niedawno budulec na chatę, ale przemogło wezwanie Szeli:

— Nie zważajcie na nic! bijcie na śmierć!

W mgnieniu oka Wiktor Bogusz nie żył zaś przybyły wieczorem tego dnia Heyrowski mógł ocalić jedynie dwóch jego bratanków, których, mimo pobicia, zdołano się docucić.

Morderca Wiktora Bogusza chlubił się otwarcie z swego czynu wobec przybyłego komisarza:

— Tak panie komisarzu! — prawił do Heyrowskiego. — To ja Tomasz Jardys ze wsi

Kamienicy zabiłem Bogusza własną ręką. Ja, który służyłem dziesięć lat cesarzowi.

Komisarz i towarzyszący mu landsdragoni z najzimniejszą krwią wysłuchali tego zeznania, nie tykając wcale zabójcy.

Wprost z Kamienicy wyruszył Szela na czele swej tłuszczy do Siedlisk, gdzie prócz kobiet: Apolonii i żony zabitego w Wygodzie Stanisława, zastano też patryarchę rodziny, starego Bogusza, starca liczącego lat ośmdziesiąt siedm. W pierwszej chwili synowa ukryła go na stryszku, ale rychło mordercy wytropili swą ofiarę i nie dawszy się ubłagać ofiarowanemi pieniądzmi, wyprowadzili pojmanego na dziedziniec. Szela, który z zasady udziału czynnego w rzezi nie brał, siedział na poręczy i wywleczonego z dworu staruszka powitał drwiąco:

— Jak się masz Stasiu? Już mię teraz do aresztu sadzać nie będziesz! Przyszła już twoja godzina!

Tu skinął ręką a wójt z Gorzejowej, Gurzan, zadał Boguszowi pałaszem cios śmiertelny w głowę. Wraz z sędziwym Stanisławem Boguszem zginął jego bratanek, Tytus a równocześnie inny oddział czerni zamordował mandataryusza Kalitę, pisarza Bielińskiego i rządcę Stradomskiego. Na razie ocalał od pościgu złoczyńców czternastoletni Włodzimierz, syn Stanisława, który ukrył się w wychodku.

W pierwszej chwili zapomniało o nim chłopstwo, spieszące do Smarzowej, gdzie przebywał najmłodszy z braci Boguszów, Ni-

kodem, człowiek w sile wieku, ożeniony z Józefą Stojowską, lecz od lat czterech tknięty paraliżem. Służba na widok zbliżającej się tłuszczy uciekła. Dzieci i żony nie przypuścili napastnicy do chorego, którego siedzącego w krześle, ubili. Teraz dopiero przypomniał sobie Szela o Włodzimierzu Boguszu, o którego ukryciu w Siedliskach doniósł mu tamtejszy chłopak kredensowy. Co rychlej więc powróciła czerniawa do Siedlisk i wydobytego z schowku na jabłka Włodzimierza Bogusza zamordowała cepami. Zdrajca, Jan Siepacz, zawołał do matki, która padła zemdlona na widok śmierci jedynego syna:

— Wstań babo! Zmów Zdrowaś Marya za syna, który już nie żyje! Miał on nas, woleliśmy jego zabić!

Wdowę po starym Boguszu, Apolonię, tudzież obie jej synowe, wdowy po Stanisławie i Nikodemie, zatrzymywał Szela przez cztery dni w swej chacie, traktując je gdyby niewolnice. Apolonia Boguszowa musiała nawet z rozkazu herszta spisywać raport, wysyłany przez niego do Breinla. Wobec przerażonych i zbolałych kobiet snuł Szela plany tej treści, iż syna swego ożeni z córką Nikodema Bogusza, zaś grunta dworskie podzieli między swych krewniaków. Wówczas też opowiadał o swej rozmowie z Breinlem, do którego został wezwany z początkiem lutego.

— Ty jesteś człowiekiem, na którego rząd rachuje — mówił do Szeli przy tej sposobności tarnowski starosta. — Daję ci pełnomo-

cnictwo robienia w twej okolicy wszystkiego, co się podobać będzie. Zważ tylko, kim jesteś. Arcyksiąże jest pierwszym a ty drugim w Galicyi. Masz, mówię, zupełną władzę: W ciągu dwudziestu czterech godzin możesz zabijać, rabować i mordować szlachtę. Cały zysk z grabieży należy do ciebie. Dalej łamiąc ręce i nogi szlachcie, masz związanych odstawiać do cyrkułu, gdzie zapłacę ci za każdego trupa dziesięć złotych, za rannego pięć złotych, a za zdrowego dwa złote.

Rozmowa powyższa, ogłoszona w krakowskim *Orle Białym*, w dniu 27. maja 1848 roku, nie doczekała się żadnego zaprzeczenia ze strony rządu austryackiego.

Wracając do wypadków w Tarnowskiem, zauważyć wypadnie, że po Boguszach najwięcej ucierpiała patryotyczna rodzina Chrząstowskich z Szczepanowic, prześladowana od dłuższego czasu przez biurokracyę z powodu patryarchalnego stosunku, łączącego dwór ich z gromadą. Edwarda Chrząstowskiego, który wyszedł naprzeciw czerni z pytaniem, czego żąda, zabili mordercy na miejscu. Matka widząc co się dzieje, spieszy mu na pomoc. Ktoś z tłumu strzela do niej, lecz nie trafia i młodszy syn, Roman, unosi zemdloną w głąb domu. Motłoch rzuca się za nim, wywala drzwi i bije schwytanego tak długo, dopóki nie stracił przytomności. Porzucony jako trup, zdołał się schować w jakimś zakątku a następnie z pomocą wiernego żyda, arendarza, który go pod słomą ukrytego przewiózł na swym wóz-

ku, dostał się Roman Chrząstowski do Tarnowa, gdzie już zastał brata, Juliana. Ten schwytany i zbity przez chłopów został również odwieziony go cyrkułu. Tam na spotkanie jego wyszedł oficer, a widząc młodzieńca jeszcze żyjącego, krzyknął do żołnierza: d o b i j g o! — sam zaś zadał mu tak silny cios kolbą, iż biedakowi krew się ustami rzuciła. Nędznik ten zwał się Galateo... Najstarszy z braci Chrząstowskich, Aleksander, który już w roku 1837 skazany był na pięcioletnie więzienie w Szpilbergu, zamordowany został przez chłopów na gościńcu, gdzie go umyślnie wywrócił uciekający przed czernią furman. Tak więc nieszczęsna matka w jednym dniu czterech postradała synów, a do udręczeń miotanej straszną niepewnością, dodawało chłopstwo okrutną igraszkę, wpadając co parę godzin do opustoszałego dworu pod pozorem świeżych poszukiwań.

Chłopska czerniawa szalała nietylko po wsiach i gościńcach, lecz wpadała także do miasteczek, by mordować upatrzone ofiary. Okropny los Stanisława Bogusza, umęczonego w Pilźnie, stał się również udziałem Dominika hrabiego Reja z Przyborowa, który zabrawszy żonę i dzieci umykał z niemi do Dembicy. Już w Latoszynie mieli Rejowie trudną przeprawę z chłopami, którzy, zabiwszy towarzyszącego hrabstwu guwernera, Francuza, poprzestali na razie na rabunku ich rzeczy. — W chwili jednak, gdy Rejowie, wziąwszy w Dembicy konie pocztowe, zamierzali w dal-

szą puścić się drogę, napadli na nich chłopi, wywłóczyli hrabiego z powozu i oderwawszy go od żony, zbili w okropny sposób. Gdy Rej nie dawał już znaków życia, odeszli mordercy. Wówczas zaczęto cucić pobitego z pomocą przywołanego lekarza, lecz zaciekła tłuszcza, dowiedziawszy się, że ofiara jej żyje jeszcze, wpadła ponownie do izby, w której rannego złożono, i dobiła go na miejscu.

W tym samym czasie, w dniu dziewiętnastym lutego, padł ofiarą rzezi dziedzic pobliskiego Latoszyna, Morski, człowiek bezżenny i schorzały, który, mimo ostrzeżeń życzliwego mu arendarza, zbyt późno zdecydował się na ucieczkę.

Czerń, obstawiwszy wszystkie wyjścia, wyłamała drzwi i wpadła do dworu, w którym pozostał sam dziedzic, opuszczony przez służbę.

— Kogoż szukacie? — zawołał Morski, widząc tłoczących się w sieni chłopów, zbrojnych w widły, cepy i kosy.

— Ciebie! — odparł jeden z hersztów.

— A więc mię macie! — wyrzekł nieszczęsny i w tej chwili otrzymał kosą cios śmiertelny w głowę. Broczącego w krwi własnej wyciągnięto na dziedziniec i zabito drągami, poczem cały dwór stał się pastwą rabunku. Chłopstwo nie przepuszczało nawet tym z ziemian, których o należenie do powstania nie posądzało. Każdego schwytanego we wsi czy na drodze szlachcica obdzierało do naga i biło na śmierć. Zurawskiego, który z napa-

dnionego przez rabusiów dworu, ratował się ucieczką do pobliskiego lasu, schwytali chłopi pod Czarną i zbili na miazgę cepami. O zaciekłości morderców świadczy najlepiej okoliczność, iż nawet znaleziona przy porzuconym trupie tabakierka rozbitą została w kawałki drobne i ani jedna kość w zwłokach nieszczęsnego nie była całą.

Okropną też śmiercią zginął rządca Dominika Reja w Przyborowie, Józef Ziątkowski, który po wyjeździe państwa, widząc tłum chłopski, zmierzający do pałacu celem rabunku, ukrył się na strych szpichlerza między okłotami słomy. W tem ukryciu przebył całą dobę a gdy rabusie splądrowawszy dwór już odeszli, wyszedł na chwilę, by znaleść jakikolwiek posiłek. To go zgubiło, gdyż jedna z dziewek dworskich podpatrzywszy skrytkę Ziątkowskiego, naprowadziła na niego chłopów. Rządca ujrzawszy wdzierających się na stryszek morderców, wyskoczył bez namysłu przez okno strychowe i upadając strzaskał sobie nogę. Wijącego się z bolu przytroczyli chłopi do konia i zawlekli do karczmy, gdzie poczęli radzić o losie schwytanego. Jedni chcieli Ziątkowskiego odstawić do cyrkułu, drudzy zabić bezzwłocznie. To ostatnie zdanie przemogło i jeden z chłopów, mający dawną urazę do rządcy, roztrzaskał mu czaszkę młotem. Zwłoki zamordowanego, obdarte do naga, wrzucili chłopi do rowu, gdzie leżały przez dni kilka, aż wkońcu żyd arendarz ulitował

się nad niemi i kazał je pochować w polu pod figurą.

Tak więc żyd bardziej ludzkim się okazał od oficera cesarskiej armii, dowodzącego patrolem w Krzyżu pod Tarnowem, dokąd przywieziono zbitych najokropniej: Ludwika Hubickiego dzierżawcę z Luszowic, tudzież teścia jego, siedmdziesięcioletniego Antoniego Leśniowskiego. Hubicki ujrzawszy oficera, prosił go o opiekę wobec rozbestwionego chłopstwa, lecz w zamian usłyszał z ust jego następujące słowa:

— Czemu nie zabijecie tych psów buntowników, wszak za trupów więcej wam zapłacą jak za żywych!

Na to wezwanie tysiące pałek posypało się na plecy więzionych, którzy ocaleli istnym cudem, choć w pierwszej chwili porzucono ich na placu przed szpitalem między stosem trupów. Hubicki jako młodszy odzyskał zwolna zdrowie dzięki opiece zacnego chirurga tarnowskiego, Feliksa Hryniewicza, który się rannymi gorliwie zajmował. Natomiast Leśniowski zmarł skutkiem otrzymanych ran.

Widownią wyrafinowanej zbrodni stał się również w tym okropnym czasie Dobrków, własność Józefa Bobrownickiego, który nie czując się dość bezpiecznym w dzierżawionym przez niego Przecławiu, przeniósł się wraz z żoną i dziećmi do dziedzicznego Dobrkowa. Czerń napadła ich w dniu dwudziestym lutego, lecz nie odrazu zabrała się do dziedzica. Rzuciło się naprzód chłopstwo na ple-

banię, gdzie zamordowało wikaryusza Goleckiego i dopiero po przybyciu świeżych tłumów z Parkosza, uderzyło na dwór. Bobrownicki wyszedł naprzeciw napastników pytając ich łagodnie:

— Czego chcecie moje dzieci?

Na to hersztowie czerni odparli zuchwale, iż otrzymali rozkaz odebrania ukrytej broni, a jakkolwiek dziedzic oddał im dobrowolnie fuzyę, oraz dwa pałasze, to jednak splądrowali dwór cały od strychu do piwnicy. Nieznalazłszy broni, rzucili się mordercy na oficyalistów dworskich: Kulczyckiego i Adolfa Winogrodzkiego, których zabili kosami na dziedzińcu, mimo prośb i pieniędzy, ofiarowanych przez Bobrownickiego. Teraz i na niego przyszła kolej. Urlopnik Kasper Guziec pierwszy cios zadał dziedzicowi. Bobrownicka ciałem swem chce osłonić męża od morderczych razów.

— Odejdź Maryo! Jesteś matką! — krzyknął mordowany, który w tej chwili ugodzony widłami w głowę, runął na ziemię, by pod cepami i drągami swych katów niebawem wyzionąć ducha.

Przerażona Bobrownicka ukryła się w oborze, a następnie, gdy chłopstwo rzuciło się na rabunek dworu, znalazła chwilowy przytułek w pobliskiej chacie zagrodnika, gdzie już zastała swą matkę, sędziwą Pelagię Morską. Morska, przebrana za wieśniaczkę, postanowiła szukać ocalenia w ucieczce, zaś Bobrownicka, niechcąc się oddalać od zwłok mę-

ża, przebyła następną dobę w dole na kartofle, gdzie ją ukrył wierny ogrodnik. Z skrytki swej słyszała przeraźliwe jęki gospodyni proboszcza, Stawickiej, którą chłopi piekli żywcem na wolnym ogniu, chcąc, by wskazała miejsce, gdzie ksiądz ukrył pieniądze a czyn ten godny Kamibalów nie przeszkodził rabusiom, iż w najbliższą niedzielę zażądali od proboszcza Wyżkowskiego, by mszę świętą odprawił za szczęśliwie dokonaną rabacyę...

Dopiero trzeciego dnia udało się Bobrownickiej ujechać do Pilzna, gdzie złączyła się szczęśliwie z dziećmi. Matkę jej natomiast znaleziono w polu uduszoną. Mordercy złakomili się na kilkaset złotych gotówki, które staruszka miała przy sobie i ograbiwszy ją, zabili.

Idźmy dalej w ślad za demonem zbrodni i zniszczenia, który czarne swe skrzydła roztoczył nad nieszczęsną krainą.

W Sieradzy młody Starzyński Bronisław bronił się długo przeciw czerni, lecz w końcu, widząc niepodobieństwo dalszej obrony, sam sobie wystrzałem z pistoletu życie odebrał. Matkę jego, obdartą do naga, zawlekli chłopi do karczmy, gdzie ją żyd uratował, odwiózłszy przebraną do Tarnowa.

Ofiarą rzezi padli również bracia Dembińscy, osiedli w Gromniku i w Chojniku, mimo walecznej obrony wobec chłopstwa, które ostatecznie przemocą wtargnęło do wnętrza dworu.

Nie ocaleli z patryotycznych ziemian nawet ci, którzy schronili się pod opiekę władzy. Doświadczył tego na sobie Erazm Łazowski, oficer wojsk napoleońskich i współwłaściciel Pstrągowej, który dowiedziawszy się o nadciągającej czerni, uszedł wraz z trzema dorosłymi synami do pobliskiego Rzeszowa. Ale starosta tamtejszy, Lederer, odmówił mu w mieście przytułku z powodu, iż Pstrągowa leży w cyrkule tarnowskim... Landsdragonami za rogatki wyprowadzić kazał Łazowskich, którzy napróżno też błagali o schronienie mieszczan w Czudcu. Atoli trwożliwe łyki, lękając się napadu czerni, odmówili bezdomnym swej opieki, nagląc ich do wyjazdu z miasteczka. Powrócił tedy Łazowski z synami do Pstrągowej, lecz, zatrzymawszy się w polu, wysłał kolejno synów na zwiady, co się we wsi dzieje. Jednego po drugim chłopi pochwytali, zamordowali, a w końcu pojmali i starego Łazowskiego, który zniecierpliwiony długiem czekaniem, znalazł się wśród wiejskich chałup. Tyle tylko mieli dla swego pana względności, iż pozwolili mu odprawić spowiedź, przyjąć Przenajświętszy Sakrament i pożegnać się z rodziną. Wyprowadzony na dworski dziedziniec, rzekł Łazowski do chłopów:

— Słuchajcie! Mam jeszcze parę słów do powiedzenia. Oto ja służyłem w wojsku. Byłem oficerem. Gdybyście mnie pałkami zabili, bylibyście za to karani. Jeżeli mam ko-

niecznie z rąk waszych ginąć, niech padnę od kuli.

Zgodzili się na to łersztowie czerni. Jeden z nich, szlachcic zagonowy, podjął się wykonania egzekucyi. Stary żołnierz przykląkł pod ścianą dworu, rozpiął koszulę na piersiach i z okrzykiem:

— Mierz dobrze! — padł, ugodzony w samo serce.

Rozszalała czerniawa nie poprzestała na doszczętnym rabunku dworu Łazowskich, lecz pragnęła pojmać podstępnie najmłodszego z synów zamordowanego, Franciszka, bawiącego w szkołach rzeszowskich. W tym celu udał się jeden z chłopów na furze do miasta, twierdząc, że został przysłany przez rodziców po panicza. Ale opiekunka chłopca, Misiągiewiczowa, przeczuła podstęp i odprawiwszy z niczem posłańca, uratowała dziecku życie.

Nie uszanowali też mordercy żałobnego obrzędu, jaki odprawiał się w dniu dwudziestym lutego w Łączkach przy zwłokach dziedzica tamtejszego, śp. Szymona Brzeskiego, zmarłego po dłuższej chorobie. Brzeski był dla poddanych prawdziwym ojcem, więc też w smutku pogrążona rodzina nie myślała wcale o grożącem jej ze strony włościan niebezpieczeństwie i z całym pietyzmem zajęła się eksportacyą zwłok nieboszczyka do Przecławia.

Już atoli w czasie pogrzebu dowiedzieli się chłopi z Łączek o gwałtach włościańskich w okolicy i dobrawszy sobie sprawnych pomo-

ników z wsi sąsiednich, uderzyli na dwór z chwilą powrotu jego mieszkańców z kościoła. W przeciągu kilku minut dziesięć ofiar legło pod razami zbójeckiej czerni a w liczbie zamordowanych, prócz oficyalistów i służby dworskiej, znaleźli się: Michał Psarski, dzierzawca z Dulczy, Józef Fuchs, dzierzawca z Wadowic, ksiądz Trutty z Wadowic i Feliks Michlik, szwagier Brzeskiego. Dziekan Żmudziński z Radomyśla uszedł cało dzięki przytomności swego woźnicy, który widząc co się dzieje, zawrócił konie z przed dworu i w pełnym galopie uwiózł swego pana z miejsca katastrofy.

Przerażona napadem, Salomea Brzeska, żona zmarłego Szymona, rzuciła się do nóg hersztów czerni, prosząc o darowanie życia dzieciom. Odpowiedzieli jej wprawdzie, że „mają nakaz mordowania tylko mężczyzn“, gdy jednak podczas rabunku rozigrało się chłopstwo, nie pozostało wdowie nic innego jak uciec w przebraniu wiejskiem do Tarnowa. Nie wiedząc, iż zaufana służąca zdołała już wywieść dzieci jej do Radomyśla, udała się Brzeska do komendy wojskowej z prośbą o dodanie jej choćby jednego żołnierza do asystencyi, by mogła powrócić do Łączek i zabrać pozostałą tam dziatwę. Feldmarszałek Czolich odmówił temu żądaniu. Użyto więc podstępu. Zawarto pozorną umowę o dostawę zboża z piekarzami tarnowskimi, którzy dla osłony transportu zażądali pomocy wojskowej.

Wysłano więc do Łączek szeregowca z czternastej kompanii pułku Haynau, starozakonnego, nazwiskiem Ancker. Jemu to zleciła nieszczęśliwa matka sprowadzenie sierót a oraz wskazała miejsce, gdzie ukryła srebra stołowe. Jakoż dzielny ten człowiek nie zawiódł położonego w nim zaufania. Sam jeden wśród pianej i rozbestwionej krwi przelewem czerni, która podejrzywając w nim przebranego „Polaka“ groziła mu śmiercią, nietylko spełnił swe posłannictwo, lecz nadto dostawił do Tarnowa w kajdanach dwóch hersztów rabunku, dybiących na jego życie. Za ten czyn wynagrodził Anckra hojny komendant tarnowski darem — jednego cwancygera!

W ujęciu przewódców czerni, hulającej w Łączkach, pomocnymi byli Anckrowi mieszczanie z Radomyśla, którzy na wieść o rzezi uzbroili się, jak mogli i pod wodzą niejakiego Kosturkiewicza zorganizowali na własną rękę straż bezpieczeństwa. Otoczywszy wszystkie dostępy do miasteczka silnemi wartami, niedopuszczali do siebie chłopów, którzy sądząc, że w Radomyślu stoi wojsko, omijali tę miejscowość.

Choć jednak przewódcy chłopstwa przy każdej sposobności głosili o nakazie z góry otrzymanym, a dotyczącym wymordowania ziemian, należących do powstania, to jednak nie pomijali oni żadnej sposobności do rabunku. Napadali nawet takie dwory, których mieszkańcy żadną miarą nie mogli popaść w podejrzenie władzy, lecz posiadali znaczniejsze

funduszy w gotowiźnie. Do liczby ofiar tego rodzaju należał były rotmistrz armii rosyjskiej, Aleksander Sek, dziedzic Słotowej, człowiek podeszły w latach i zgoła nie mięszający się do spraw publicznych.

Chłopstwo napadło dwór słotowski w dniu dwudziestym lutego, a jakkolwiek oddano napastnikom całą gotowiznę, jaka się w domu znajdowała, to mimoto dziedzic został zamordowany cięciem kosy a i sędziwej jego małżonce nie przepuścili rabusie i pokaleczyli ją w straszliwy sposób. Pewnej śmierci uszedł też proboszcz Wrześniewski z Niedźwiady, do którego plebanii zawitała czerń zbójecka pod wodzą kryminalisty Sebastyana Locha.

Tłuszcza pod pozorem poszukiwania ukrytej broni wdarła się do wnętrza budynku, gdzie Loch w czapce na głowie, potrząsając żelaznemi widłami, trzymanemi w ręku, zawołał groźnym tonem do proboszcza:

— Fałszywym jesteś księże! Już od sześciu miesięcy posiadasz patent, znoszący pańszczyznę. Nie ogłosiłeś go jeszcze, bo z panami trzymasz. Teraz nam za to odpowiesz.

To mówiąc, zamierzył się z widłami na księdza, lecz jedni z chłopów pochwycili Locha za ręce, podczas gdy i inni ułatwili strwożonemu kapłanowi ucieczkę. Przez noc całą błąkał się ksiądz Wrześniewski po polach i dopiero następnego dnia, przeziębły do szpiku kości, zdołał się dostać do Ropczyc. Oczywi-

ście na probostwie zostawiło chłopstwo cztery gołe ściany. Jeszcze gorzej hulała czerniawa na probostwie w Wadowicach górnych. Uszanowała ona wprawdzie sędziwego proboszcza, Jakóba Kolasińskiego, lecz zamordowała w jego oczach okolicznych dzierżawców: Aczkiewicza, Siedleckiego i Swiderskiego. Żonę tego ostatniego, będącą w odmiennym stanie, zatłukło chłopstwo kijami. Mandataryusza Terleckiego, który schronił się na drzewo, ubili chłopi wystrzałem z fuzyi, zaś schwytanego we wsi Władysława Komorowskiego, syna dzierżawcy z wsi sąsiedniej, przecięli piłą na poły. Toż samo ubiła czerniawa dzierżawcę wsi Parkosz, Jerzego Nowaka, któremu na dzień przed śmiercią właśni chłopi kazali w swem towarzystwie odprawiać warty przeciw „Polakom", zaś Marynowskiego, właściciela Wolicy, wytropili zbójcy ukrytego wśród lasu i zamordowali wraz z wiernym gajowym.

Ostatnią wreszcie, znakomitszą ofiarą rzezi tarnowskiej był Konstanty Słotwiński, były dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Uwięziony pod zarzutem zbrodni zdrady stanu jeszcze w r. 1834, osiadł po wyjściu z więzienia w czerwcu 1843 roku w swem rodzinnem ustroniu, w Głobikowie dolnej. Skutkiem przebytych cierpień, stał się Słotwiński potroszę odludkiem. Stronił od sąsiadów i zamknął się w czterech ścianach swego domostwa, zajęty pisaniem dzieła religijnego w dziewięciu językach, wychowaniem synów i opieką nad poddanymi. W okolicy

zwano go anachoretą, chłopomanem, świętoszkiem. Wójt i życzliwi włościanie ostrzegali Słotwińskiego już z końcem grudnia 1845 r. o zamierzonej rabacyi, radząc mu, by uchodził z dziećmi do miasta. Nie zważał na to nasz uczony, jak również lekceważył bałamutne baśnie, jakie w lutym krążyły wśród ludu, „że Polaki napadają nocami na wsie i że wszystkich chłopów wycinają do izna, (do szczętu), że z wielkiem wojskiem ciągnie Francuz na pomoc Polakom a Hangelczyk spieszy także w sukurs balonem“.

Poranek dnia dwudziestego pierwszego lutego przekonał mieszkańców głobikowskiego dworu o smutnej rzeczywistości. Tłum, złożony z kilkuset pianych chłopów, uderzył na dwór i w chwilę później Słotwiński, klęczący przed obrazem Chrystusa ukrzyżowanego, poniósł śmierć męczeńską. Dobił śmiertelnie rannego własny jego leśny, Michał Polański, którego żonę na kilkanaście dni przedtem ratował Słotwiński w chorobie, brnąc po pas w śniegu do jego chaty. Nieletni synowie zamordowanego cudem niemal ocaleli przy pomocy przychylnych domowi włościan.

Opis powyższych okropności nie jest bynajmniej dokładnym, jeżeli się zważy, iż według urzędowych relacyj przywieziono w ciągu dni trzech rzezi do Tarnowa sto czterdzieści sześć trupów, 99 rannych i 444 mniej lub bardziej ciężko pobitych więźniów. Natomiast głos ludu oceniał liczbę ofiar w życiu ludz-

kiem w samym tylko cyrkule tarnowskim na tysiąc głów.

Przeważna część dworów tarnowskiego obwodu leżała w gruzach, a zrujnowane budynki gospodarskie: stajnie, obory, szpichlerze świeciły pustką, gdyż chłopstwo unosiło lub niszczyło doszczętnie wszystko, co mu wpadło pod rękę. Czerniawa uszanowała wszakże dobra Franciszka Moszczyńskiego, zaopatrzonego w glejt żelazny przez cyrkuł, tudzież Ryglice, majątek Leśniewskiego, zięcia jednego z dygnitarzy wojskowych. Okoliczność ta jest jednym więcej dowodem, wskazującym na istnienie ścisłego związku między czernią chłopską a biurokracyą, która zresztą nie kryła się z radością na widok pomordowanych.

Gdy przywieziono pierwszy transport zwłok i rannych do Tarnowa, znaleźli się wśród urzędników i wyższych oficerów ludzie, którzy krwią zbroczonych chłopów klepali po ramieniu, powtarzając z czeska: *dobre, dobre!* zaś niejaka pani Hoppe, wesołego życia osoba, rozdawała z własnej ochoty sprawcom rzezi cwancygiery. Z tem większem przeto uznaniem zapisać należy postępek ludzki oficerów konsystującego w Tarnowie pułku szwoleżerów: Chaima i de Polignac'a, którzy pomni na honor żołnierski, starali się, o ile możności, nieść pomoc ofiarom rabacyi oraz ich rodzinom. Objawy tego rodzaju były niestety rzadkością.

W przyległym do tarnowskiego cyrkule bocheńskim nie przyszło wprawdzie do samoistnego wybuchu rewolucyi, mimo to jednak rabacya i w tych stronach szalała na dobre. Było to po części winą band chłopskich, które niczem nie powstrzymane wpadały z tarnowskiego obwodu, po części zaś — jak ogólnie twierdzono — sprawą starosty bocheńskiego, Karola Bernda, zazdroszczącego widocznie wawrzynów Breinlowi. Jako pomocników Bernda wskazywano: praktykanta konceptowego, Adolfa Vitzthuma, tudzież kancelistów Franciszka Wojakowskiego i Ernesta Hoscharda, smutnie zapisanych w pamięci ziemian bocheńskich, którzy natomiast z wdzięcznością wspominali o ludzkości okazanej w tej strasznej dobie przez komisarza Józefa Syktowskiego.

Naznaczony na dowódcę ruchu w bocheńskiem przez władzę rewolucyjną Antoni Lewiecki, aresztowany został już na trzy dni przed rabacyą skutkiem doniesienia własnych poddanych, zaś wieść o wypadkach tarnowskich do reszty sparaliżowała zamiary związkowych. Tak więc kontrrewolucya chłopska w tych stronach była wyłącznie aktem zemsty biurokratycznej wobec polskiego ziemiaństwa. Czerń w bocheńskiem nie przepuszczała i kobietom, jak świadczyła katastrofa w Nieznanowicach. Ubili chłopi w tej miejscowości nietylko Henryka Kępińskiego i szwagra jego, Mieczysława hr. Dębickiego, ale trupem położyli i panią Kępińską, której zwłoki zdeptane

nogami i zeszpecone do niepoznaki, odstawili do cyrkułu. Podobny los omal, że nie stał się udziałem Marcyanowej Żeleńskiej w Grodkowicach. Mąż jej, żołnierz z rewolucyi listopadowej, cieszył się szacunkiem sąsiadów, miłością poddanych, więc też spokojnie dosiadywał na wsi, mimo, iż okoliczni ziemianie na pierwszą wieść o rzezi, umknęli do Krakowa lub do Bochni. Pozrywane mosty na Rabie utrudniały komunikacyę, a ze strony własnych poddanych nie lękali się Zeleńscy niczego, żyjąc wśród nich od dziada i pradziada.

Stało się niestety inaczej. Zbrodniczy przykład wsi okolicznych wetknął i grodkowickim chłopom broń bratobójczą do ręki. O wieczornym zmroku wpół pijana tłuszcza uderzyła na dwór. W jednej chwili cały dom był otoczony, szyby w oknach rozleciały się z przeraźliwym brzękiem, a ryk straszliwy, gdyby dzikich, krwi żądnych zwierząt rozległ się wokoło.

Przed drzwiami zatrzymała się tchórzliwa zgraja, lękając się prawdopodobnie wystrzałów. Ale mieszkańcy dworu nie myśleli o oporze i Żeleńska, chcąc zasłonić męża oraz czworo drobnej dziatwy, wyszła na ganek. Prosiła napastników, by zaniechali gwałtów i spokojnie powiedzieli, czego żądają. Nie zdołała jednak wymówić i słów kilku, gdy rozzuchwalone prośbą chłopstwo powitało ją gradem kamieni i wygrażając słabej niewieście cepami, pytało ją z urąganiem:

— Kiej broń, kiej Polaki? Kiej proch i noże, którymi nas wyrzynać macie?

I bez litości zrzuciła tłuszcza dziedziczkę swą ze schodów, a motłoch, cisnący się do drzwi, deptał ją ciężkimi butami.

Widząc to Żeleński, porwał się do pałasza, ale kilka ciosów siekierą w głowę otrzymanych ubezwładniło go niebawem. Krwią zbroczonego jęli wiązać chłopi, pokrzykując zaciekle:

— Nic ci już nie pomoże. Godzina twoja wybiła!

Skrępowanego dziedzica wyrzucili hersztowie oknem na podwórze, gdzie wśród piekielnego wrzasku tłum rozszalały dobił go, zanim jeszcze zdołali rabusie wyszukać ukrytych we dworze kuzyna Zeleńskich, Stańskiego, i nauczyciela domowego, Promera. I tych wyrzucono przez okno na pastwę czerni. Stański, z roztrzaskaną czaszką, zginął na miejscu. Natomiast Promer, lubo porąbany okropnie, żywy dostał się do Bochni, oświetlonej z rozkazu władzy odświętnie.

Synem Marcyana Żeleńskiego jest twórca „Konrada Wallenroda“ i „Goplany“, który dzieckiem sześcioletniem patrzył na zgon okropny ojca.

Straszną też śmiercią zginął Antoni Horodyski, dziedzic Wesołowa. Wydany czerni przez własnego gajowego, u którego szukał schronienia i zawleczony do Zakluczyna, padł zemdlony pod ratuszem tamtejszym, zaś mordercy rozpłatali mu brzuch i wyrwali wnętrz-

ności. Nie przestali się pastwić nad swą ofiarą i po śmierci. Jeden z chłopów wetknął zabitemu widły w usta, mówiąc :

— Kiedyś palił za życia fajkę na długim cybuchu, to zapal sobie i po śmierci...

W równie barbarzyński sposób znęcali się mordercy nad Dominikiem Dąbskim z Drogini, którego zwłoki przedstawiały bezkształtną masę z głową odciętą od tułowu. Wobec tych okrucieństw o szczęściu mógł mówić Henryk Fischhauser, właściciel części Gdowa, który dobrem słowem i pianiądzmi do tego stopnia zdołał przejednać swych poddanych, iż bronili dworu od napaści cudzych gromad. Widząc jednak, iż rabacya się wzmaga, pozwolił się Fischhauser swoim chłopom związać i odstawić do Bochni. Żona z dziećmi towarzyszyła więźniowi i przekupiwszy żołnierzy, którzy przy rogatkach bocheńskich usiłowali ją rozłączyć z mężem, dotarła aż do samego starosty Bernda, prosząc go o oswobodzenie ojca swych dzieci oraz o dozwolenie jej pobytu w mieście. Ale brutalny biurokrata kopnął tak silnie włóczącą się u stóp jego kobietę, iż omdlała upadła, zaś dziecko, które na ręku trzymała, dostało z przestrachu konwulsyi. Obecny przy tem zajściu prosty landsdragon, któremu starosta kazał Fischhauserową za drzwi wyrzucić, okazał się bardziej ludzkim od swego zwierzchnika i zabrał nieszczęśliwą matkę wraz z dziećmi do swego mieszkania, podczas gdy mąż jej, obdarty z odzieży i z pieniędzy, wtrącony został do jakiegoś lochu,

przeznaczonego na więzienie. I tam jeszcze uwięzieni byli wystawieni na straszliwy wyzysk ze strony dozorców, którzy za bochenek czarnego chleba lub za konewkę wody kazali sobie płacić po trzy cwancygiery.

Widownią krwawych zbrodni w bocheńskiem była również Dąbrowica, gdzie pod lipą przydrożną zamordowano schwytanych dnia dwudziestego lutego w przejeździe: Henryka Milna, mandataryusza i Kazimierza Bielińskiego, dzierżawcę z Zegartowic. Wraz z panami ofiarą chłopstwa padła też towarzysząca im służba, zaś żona Milna, zasłaniająca męża od razów zbójeckich, otrzymała siedm ran głębokich w głowę i porzucona na wozie między trupami, przywiezioną została do Bochni. Następnego dnia napadło znów chłopstwo na mandataryusza Karola Schlossera w Łapanowie, który przeczuwając grożące niebezpieczeństwo, napróżno prosił Bernda o jakąkolwiek asystencyę, przedstawiając staroście, że w mieszkaniu jego znajduje się zasobna kasa podatkowa z czternastu wsi. Bernd odmówił prośbie Schlossera, którego chłopi najstraszliwiej męczyli, chcąc wydobyć z niego tajemnicę, gdzie schował pieniądze. Półżywego jesze odwiozła czerń do Bochni, gdzie w dni kilkanaście życia dokonał. Z mózgu skatowanej ofiary wydobywali lekarze trzaski i słomę.

Ogółem podczas rzezi przywieźli chłopi do Bochni 426 więźniów, zaś około sto dworów padło ofiarą rabusiów.

Bochnia — pisze w swych wspomnieniach Aleksander Wybranowski, który schwytany przez czerń w Glichowie i srodze pobity, odstawiony został do tamtejszego cyrkułu — przepełniona była nieszczęśliwemi rodzinami, które mając w więzieniach lub w szpitalach mężów, ojców i synów, czekały na ich wyzdrowienie, uwolnienie oraz na uspokojenie chłopstwa po wsiach. Mieszkańcy Bochni okazywali się dla więźniów najżyczliwszymi, nie szczędząc im przy żadnej sposobności oznak współczucia. Duchem opiekuńczym więźniów, pocieszycielką i gorliwą protektorką była przedewszystkiem panna Gross, siostra niedawno zgasłego Piotra Grossa, która nie lękała się żadnych trudów ni też zabiegów, byle przynieść najdrobniejszą choćby ulgę nieszczęśliwym. Panie bocheńskie spieszyły z całą gotowością na usługi rannych ziomków, dostarczając znajdującym się w lazarecie leków i posilnego pokarmu, ale już po kilku dniach odmówiono więźniom i tej pociechy, strasząc chorych, że dla zabezpieczenia się co do ich osoby będą więźniowie spuszczeni w głąb salin, to znów że ich rozbiorą do naga, by nie mogli połączyć się z powstańcami, których napadu spodziewano się każdej chwili. W ogóle w mieście panowała nieokreślona obawa wobec tych bajecznych powstańców. Urząd cyrkularny sprawiał wrażenie koszar. Żołnierze przepełniali poszczególne sale siedząc przy broni w kozły złożonej. Urzędnicy pełnili swe obowiązki

z jakimś gorączkowym pospiechem, gdyby na popasie, otoczeni prócz wojskowej asystencyi, strażą bezpieczeństwa, zorganizowaną z mieszczan, uzbrojonych w kosy. Obawiano się ciągle jakiegoś napadu i widziano powstańców tam, gdzie ich nigdy nie było.

Obwód jasielski, mimo, iż związkowi w tych stronach nie rozwinęli sztandaru rewolucyjnego, stał się również widownią krwawych rozruchów, dzięki sąsiedztwu z obwodem tarnowskim, zkąd krwi i łupów żądne zgraje chłopskie zapuszczały niejednokrotnie swe zagony. Ośmieleni przykładem ich bezkarności zabrali się jasielscy chłopi do rabacyi, plądrując dwory, wiążąc dziedziców, dzierżawców i mandataryuszów. W Gogołowie zamordowała czerń dziedzica tamtejszego, Fryderyka Denkera, jego syna Erazma, tudzież pięć osób, schwytanych we dworze, w liczbie których znalazł się też brat Denkerowej, Zdzieński. Denkerową oraz jej siostrzenicę, Honoratę Ramułt, pobiła czerń straszliwie i biedne kobiety, przebrane po chłopsku, ledwo uszły z życiem. W Kamienicy czerniawa przybyła z Tarnowskiego pod wodzą Staszka Szeli, zamordowała braci Seweryna i Wiktora Gorskich, poczem miejscowi chłopi już na własną rękę wytropili ukrytego w lesie leśniczego, Michalskiego i ubili go wraz z trzynastoletnim synkiem, Adolfem.

Gdy zwłoki zamordowanych Denkerów przywieziono do Jasła, zauważył jeden z biu-

rokratów z pobłażliwym uśmiechem na ustach: *Ein kleines Exces schadet nichts!*

Bandy Szeli zagrażały nawet mieszkańcom miasteczka Brzostka, gdzie surdutowcy pod opieką straży skarbowej schronili się do kościoła. Rozzuchwalony herszt rzezi żądał od mieszczan brzosteckich, by mu wydano osoby przez niego wskazane z justycyaryuszem Strzelbickim na czele. Jakkolwiek na razie mieszczanie odmówili temu żądaniu, to jednak Strzelbicki widząc burzące się przeciw „ciarachom“ w miasteczku żywioły, uznał za stosowne schronić się do Jasła. Brzostek ocalał od rabacyi jedynie w drodze układów między mieszczanami a Szelą. Natomiast ofiarą czerni padł Wincenty Pol, osiadły w owym czasie wraz z rodziną w folwarku Maryipolu pod Gorlicami. Pol nie brał żadnego udziału w konspiracyi lutowej, której był zasadniczym przeciwnikiem, więc już w przededniu rzezi widząc grożące ze wszech stron niebezpieczeństwo, zabrał dziatwę i żonę a spakowawszy cenniejsze przedmioty na wozy, wyruszył do Lwowa.

Na nocleg zdążył do Polanki, wsi Tytusa-Trzecieskiego, gdzie znalazł się też brat poety, Józef, lekarz w Krośnie osiadły. Zamieć śnieżna zatrzymała podróżnych przez całą dobę w Polance, dokąd też nadciągnęła w dniu dwudziestym lutego czerniawa od strony Odrzykonia. Jakkolwiek we dworze podostatkiem było broni i prochu, gdyż Trzecieski kochał się w łowach, to jednak nikomu nie

postało nawet w głowie strzelać do ludu. I znany z łagodności oraz z dobroczynności dziedzic Polanki i gość jego, poeta, rolnik, zaufali w potęgę słowa, nie chcąc bronić dworu, w którym było wiele niewiast i dzieci. Przemowa, jak wszędzie, tak i tu okazała się bezskuteczną.

W jednej chwili dwór w Polance został zrabowany, zaś Trzecieskiego i obu Polów, usiłujących przed gankiem uspokoić rozbestwionych chłopów, obalono na ziemię, rzuciwszy im znienacka linę pod nogi. Powalonych jęła czerń młócić cepami, gdyby snopy. Skrępowano zemdlonych postronkami i przywiązano wszystkich trzech do drzewa. Przez pięć godzin zawiśli oni w ten sposób, wystawieni na obelgi i ciosy tłuszy, która jadła i piła w zrabowanem domostwie, to znów powracała do swych jeńców, by nowe im zadawać katusze.

Żona poety, Kornelia, usiłowała męża zasłonić od oprawców, od których uderzona toporkiem w głowę, padła krwią oblana. Syna, siedmioletniego Wincentego, który konwulsyjnie tulił się do ojca, odrzucili kaci gdyby psiaka w śnieg...

Zaledwo odzyskawszy przytomość, powróciła Polowa do męża.

— Zmówię z tobą pacierz, — rzekła — bo może to już ostatni.

I wspólnie z mężem i z dzieckiem zaczęła odmawiać pacierz, do którego przyłączyli się również Józef Pol i Trzecieski. Zażarte chłop-

stwo odstąpiło na chwilę, a przy słowach: „W ręce Twoje Panie oddaję ducha mego!“ zdawało się nieszczęsnym, że już nadeszła ostatnia dla nich chwila, gdyż na dziedziniec wpadło dwóch konnych posłańców. Jeden z nich, widocznie przebrany tylko za chłopa, łamanym językiem i rozkazującym tonem odczytywał z karteczki nazwiska poszukiwanych osób, poczem kazał więźniów odstawić do Jasła. Odczepiono ich od słupa i powiązano w ten sposób, że nogi jednego dotykały szyi drugiego. Najbardziej pokaleczonym był Wincenty Pol, który ani razu nie jęknął, ani słowem nie odezwał się do chłopów, co ich najbardziej obruszało. Jeszcze więc w chwili wsiadania skrępowanych na wóz, przyskoczył jeden z czerni do poety i ciął go kosą w głowę. Ranny, który już trzy cięcia otrzymał w czaszkę, padł twarzą na wozie, a Polowa widząc to, zawołała rozdzierającym serce głosem:

— Zabity! zabity!

— Bądź spokojna — pocieszał ją mąż — nie szumi mi w głowie. Ta rana nic nie znaczy.

Wtedy rzuciła się rozpaczająca kobieta ku chłopstwu i chcąc uchronić męża od dalszych katuszy, krzyknęła:

— Macie, czegoście chcieli, zabiliście go!

Jakoż chłopi odstąpili od wozu, z czego korzystając płacząca znów zapytała męża:

— Ciebie biorą. Ja cię już nie obaczę. Jakąż mi dajesz radę?

— Nie umiem ci dać rady — brzmiała odpowiedź.

W tej chwili wóz ruszył w drogę do Jasła, lecz przy każdej karczmie świeży grad cepów i pałek spadał na wiezionych. Ten męczeński pochód trwał aż do Moderówki. Tu rabusie poczęli uciekać i rannych otoczyło wojsko, które ich odstawiło do Jasła. Przywiezionych wtrącono do piwnicy, przezwanej więzieniem, w której znaleźli już dwudziestu i dwóch towarzyszów niedoli. W tem piekle przebył Pol kilka tygodni i z za kraty więziennej odezwał się po całym kraju bolesny śpiew Janusza:

Pusto tam stoi mój dom pod dębami
I sam zostałem i oni tam sami
I w gniazdo moje gdyby piorun strzelił
I od serdecznych piskląt mię oddzielił!

I ja w więzieniu i w koszuli krwawej,
A moi, biedni, wśród zbójców, bez domu,
I bez ogniska, przytułku i strawy
I nawet ręki nie ma podać komu.

I rany w duszy i rany na ciele,
O Panie! Panie! za coś się odwrócił?
Czy tych boleści nie będzie zawiele,
Żeś nas wśród tylu nieprzyjaciół rzucił!

Ale nietylko piewców narodu dotykała mściwa ręka biurokracyi. Nie oszczędziła ona i lojalnych ziemian jak Jana Stojowskiego z Potoka. Stojowski, były kapitan austryjac-

kich ułanów, który po siedmnastoletniej służbie opuścił szeregi armii, doznał również w dniu dwudziestym drugim lutego napadu czerni. Rabusie splądrowali cały dwór do szczętu, ekonoma Kaczkowskiego zamordowali cepami, zaś Stojowskiego wraz z trzema synami zbitych i skrępowanych odstawili do Jasła. Nie uszły też rabunku chciwej łupów zgrai dwory w Łużni i w Zagórzanach, w dobrach Tadeusza Skrzyńskiego, mimo, iż rodzina Skrzyńskich z ojca na syna starała się utrzymywać patryarchalny stosunek z włościanami. Najstarszego syna dziedzica zazwyczaj cała gromada trzymała do chrztu, dwór opłacał we wsi szkołę i spieszył poddanym z pomocą w każdej chwili.

Tem boleśniejszą była czarna niewdzięczność włościan, okazana w owej dobie. Do szczętu zniszczyła również czerń gospodarstwo i dwór w Swoszowej, wypędziwszy z domu na śnieg dzierżawcę tamtejszego, ośmdziesięcioletniego starca, Józefa Boznańskiego. — Wobec bezprzykładnej chciwości chłopstwa, na tem większe podniesienie zasłużył postępek gromady wiejskiej w Bieżdziedzy, która dziedzica swego, Henryka Romera, nietylko bez szkody odstawiła do Jasła, ale nadto przez cały czas rzezi z jak największą gorliwością czuwała nad jego mieniem, odpędzając wpadających do wsi rabusiów. W dwa lata później, już po zniesieniu pańszczyzny, chłopi tamtejsi za darmo stanęli dziedzicowi do żniwa. W ogóle rozruchy chłopskie wrzały gło-

wnie w miejscowościach, graniczących z cyrkułem tarnowskim, podczas gdy wsie wzdłuż granicy węgierskiej, oraz gminy ruskie zachowały się zupełnie spokojnie. Było to w znacznej części zasługą prawdziwie obywatelskiej działalności komisarzy: Narcyza Pajączkowskiego, Edwarda Poh i Karola Banhölzla. Ten ostatni urzędował podczas rzezi w Gorlicach, gdzie dodano mu do asystencyi oddział, złożony z kilkunastu dragonów. Z szczupłą tą siłą utrzymywał Banhölzel wzorowy porządek w powierzonym mu okręgu, gdyż urlopników i włóczęgów, zdradzających chętkę do rabunku lub podburzających lud wiejski, kuł w kajdany, karał kijami dla postrachu, a winniejszych odstawiał do Jasła.

Inaczej wszakże pojmował obowiązki urzędnika naczelnik tego obwodu, starosta Stanisław Przybylski, który wobec przywiezionego do Jasła majora Podoleckiego nie zawahał się powiedzieć:

— Samiście sobie winni panowie! Wcale was nie żałuję!

A na uwagę majora, iż rząd łacno mógłby koniec położyć srogim wybrykom chłopstwa, odparł pan starosta ze złością:

— Pan jesteś taki jak i drudzy. Ja was zanadto dobrze znam wszystkich. Dlatego jedź pan w swoją drogę!

Bliższe szczegóły o rabacyi w Jasielskiem podaje także zasłużony w dziejach literatury galicyjskiej, Walenty Chłędowski, w listach swych do komisarza Biesiadeckiego, zachowa-

nych w zbiorze autografów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. „Barbarzyństwa zapust galicyjskich“ — pisze Chłędowski, który z Wietrznego schronił się do Dukli — „przeszły nieszpory sycylijskie, przeszły noc św. Bartłomieja, przeszły rzeź Humańską. Gromady naszej okolicy aż po Duklę stały uzbrojone. Nikt już przejechać nie mógł. Co chwila nowe, coraz okropniejsze nadchodziły wieści. Kto miał sposobność schronienia się do Dukli albo do Jasła pod opiekę wojska, uniósł przynajmniej życie. Do cyrkułu zwoziło rozhukane chłopstwo trupów, sprowadzało zbitych, poranionych i związanych obywateli i otrzymywało zapłatę i pochwałę chwalebnych czynów. Wściekły lud był wykonawcą prawa. U niego była zwierzchność. Wojsko, urzędnicy, spokojnie na to patrzyli, zachęcali do bezprawia. Rządu nie było, byliśmy na łasce chłopów. Nasze życie, nasze mienie były w ich ręku“.

Wozy z rannymi i umierającymi zalegały bez przerwy plac przed cyrkułem jasielskim. Trupów nie przyjmowali urzędnicy, lecz zwracali mordercom z poleceniem pogrzebania ofiar na miejscu popełnionej zbrodni. Niektórzy umierający przyjmowali na wozach ostatni Sakrament, by wyzionąć niebawem ducha w oczach swych oprawców. Całe Jasło przepełnione było rodzinami więźniów lub też ziemiaństwem wczas jeszcze zbiegłem przed rabacyą. To też powstał w miasteczku popłoch nieokreślony, gdy w dniu 26. lutego ogłoszono w Jaśle stan oblężenia i nakazano wszystkim

zamiejscowym powrócić do dawnego miejsca pobytu. Kto mógł, chronił się od tej ostateczności, żądając paszportu do innych prowincyi monarchii.

Jedyny, jaśniejszy promień, jaki zaświtał w tych dniach mordu i pożogi, pojawił się w obwodzie sądeckim. Nie należy przez to rozumieć, jakoby rabacya nie srożyła się i w sądeckim cyrkule. Przeciwnie, upamiętnił się w Sądeckiem herszt rzezi, Koryga, za którego sprawą w przeciągu dni kilku poszło w ruinę 92 szlacheckich dworów i ośmnastu ziemian utraciło życie. Limanowa cudem prawie ocalała dzięki roztropności swych mieszkańców, którzy nietylko odpędzali zaglądające do miasteczka gromady rabusiów, lecz nadto oswobodzili kilkunastu obywateli, wiedzionych przez chłopstwo na śmierć pewną. Ratunek, niesiony przez mieszczan limanowskich nieszczęsnym ofiarom, omal że nie naraził miasteczka na srogi odwet, gdyż rabusie pospieszyli do cyrkułu z doniesieniem, że w Limanowej są powstańcy. Skutkiem owego oskarzenia w d. 28 lutego przybył do tej miejscowości oddział jazdy, wiodący za sobą kilkotysięczną chłopską obławę. Szczęściem jednak obyło się bez krwi rozlewu a tylko oswobodzeni dopieroco ziemianie udać się musieli pod eskortą wojskową do Sącza. W Rożnowie znów właśni poddani stanęli w obronie dziedzica, Antoniego Dobrzyńskiego i nietylko dwór ocalili od rabunku, lecz nadto jedenastu rabusiów schwytali i zamknęli w lochu pod gorzelnią.

Schwytani z głodu żywić się zaczęli surowymi kartoflami, złożonymi w piwnicy i kilku z nich umarło skutkiem tej strawy. Nie wszyscy jednak ziemianie mogli się poszczycić równie przywiązanym ludem. Wielu z nich a zwłaszcza znaczna liczba kobiet, szukało ocalenia w siedzibie władzy obwodowej w Nowym Sączu. Ale nieludzki starosta, Karol Bochyński, kazał wydalić żądających przytułku z obrębu miasta i dopiero wdanie się pułkownika Feyervarego, komendanta miejscowego garnizonu, zapewniło bezbronnym stosowną opiekę. Czyn swój szlachetny przepłacił Feyervary usunięciem go z czynnej służby. Wogóle władza wojskowa niechętnie widziała oficerów, którzy starali się ocalać szlachtę wobec chłopskich gwałtów. Prócz Feyervarego doświadczył tej niełaski na sobie oficer od piechoty, Offenheim, konsystujący w Jaśle. On to oswobodził z rąk Szeli wdowy i sieroty pozostałe po Boguszach, lecz w zamian za swą ludzkość ukarany został aresztem, naganą i przeniesieniem do innego pułku.

Podobnie jak Offenheim nie znalazł też uznania u władzy przełożonej stacyonowany w Jaśle kapitan Möre, który krążąc po okolicy z oddziałem żołnierzy wiele zrobił dobrego tamtejszej szlachcie.

W armii austryackiej przepomniano wówczas o zasadzie, że żołnierz nie jest żbirem.

Jaśniejszym promieniem, o którym poprzednio wspomniano, wśród ogólnej sromoty było powstanie ludowe w Chochołowie, gdzie

proboszcz tamtejszy, ksiądz Józef Kmietowicz przy pomocy organisty, Jana Andrusikiewicza, żołnierza z rewolucyi listopadowej, wywierał wpływ do tego stopnia dodatni wśród ludności miejscowej, iż na wezwanie do powstania nie wahała się ani na chwilę z pochwyceniem za broń. W ciągu jednej doby stanęło pięciuset chłopów, zbrojnych w kosy. Na czele włościan opanowali związkowi koszary straży skarbowej w Chochołowie i w Witowie, gdzie zdobyto nieco broni i amunicyi, zaś w dniu dwudziestym trzecim lutego stoczyli zwycięską utarczkę z komisarzem straży skarbowej, Romualdem Fintowskim, który na czele swych podwładnych oraz dwustu chłopów z Czarnego Dunajca napadł na Chochołów. Fintowski, ciężko ranny, tylko prośbom Andrusikiewicza zawdzięczał życie wśród mściwych górali. Niebawem wszakże nadciągnął liczniejszy zastęp strażaków skarbowych wraz z spędzoną z dalszych okolic czernią, wobec czego powstańcy musieli się poddać. Przy aresztowaniu księdza Kmietowicza i Andrusikiewicza omal, że znów nie przyszło do krwawego starcia, gdyż włościanie chochołowscy nie chcieli opuścić swych naczelników. Wraz z przywódcami ludowego powstania uwięziono też dziesięciu górali. Trzej z nich skazani zostali wraz z innymi związkowymi na więzienie w Grajgórze, a mianowicie: Koisowie Jacenty i Jaśko, wójt i przysięgły z Chochołowa, tudzież Janek Styrcula, młody parobczak z tejże wsi.

Za przykładem Kmietowicza usiłował też podnieść powstanie ludowe w Białym Dunajcu ksiądz Michał Janiczak z Szaflar, lecz widząc zbyt szczupłą garstkę swych zwolenników, zdołał ujść szczęśliwie na węgierską stronę.

Rabacya nie oszczędziła także wadowickiego obwodu, jakkolwiek zarządzone w dniu dwudziestym lutego aresztowanie naczelników tamtejszego związku: Adolfa hr. Bobrowskiego, Mikołaja Kańskiego i Władysława Siemońskiego, ubezwładniło na razie plany powstańców. Przeciw szlachcie wystąpiła wrogo i przeważna część gromad włościańskich, zachęcona do rabunku odgłosem o bezkarnych gwałtach, dokonywanych przez chłopów tarnowskich, a nadto pojawiły się na dołach bandy opryszków, rekrutujących się z pogranicza węgierskiego.

Ofiarą tej czerni padła między innemi także wieś Rabka, w dniu dwudziestym szóstym lutego, zkąd rabusie, przybrawszy do pomocy chłopów miejscowych, pociągnęli w głąb obwodu, niszcząc i paląc wszystko po drodze. W ciągu dwóch dni splądrowali około siedmnaście dworów, lecz ofiar w życiu ludzkiem nie było na szczęście żadnych, gdyż ziemianie dość wcześnie zdołali się schronić do miast i miasteczek. Jedynie Adam Padlewski, cząstkowy dziedzic w Libertowie, usiłował pod wpływem pomyślnych wiadomości o rewolucyi krakowskiej spowodować wybuch powstania w Wadowickiem. Zdołał nawet pozyskać dla sprawy narodowej część swych poddanych, na

których czele wyruszył do Borka Falenckiego i do Gajów. Ale ludność tamtejsza nie okazała się przychylną powstańcom, wobec czego zamach Padlewskiego spełzł na niczem.

Tymczasem chłopstwo z okolicy Kalwaryi, zaniepokojone formacyą oddziału zbrojnego, jaki tworzyć począł u siebie właściciel wsi Brody, Wojciech Brandys, celem obrony domu od rabusiów, napadło na dwór tamtejszy w dniu dwudziestym szóstym lutego i splądrowało takowy do szczętu, zaś dziedzica uwięziło. Nieco broni myśliwskiej, zrabowanej w Brodach, zdołała odebrać chłopom przybyła zapóźno asystencya wojskowa, wyprawiona przez starostę wadowickiego, Losertha ale reszta zagrabionych łupów przepadła. Raźniej powiodło się władzy uśmierzenie hulających w tym obwodzie band rozbójniczych. Dzięki energii inżyniera cyrkularnego, Lenerta, wysłanego z odpowiednią komendą wojskową, udało się nietylko schwytać około dwustu zbójców, ale także odebrać im znaczniejszą część złupionych przedmiotów.

Do pacyfikacyi wadowickiego obwodu przyczyniła się niepomiernie energiczna interwencya burmistrza tamtejszego, Mateusza Mogiły Stankiewicza, który nie szczędził kijów podżegaczom wśród chłopstwa, skutkiem czego gruchnęła po całym cyrkule pogłoska, że w Wadowicach nic nie płacą „za panów“ a nadto biją chłopów. Stankiewicz miał tem większe pole do działania, iż starosta Loserth umył ręce od wszystkiego, zdając rządy cyr-

kułu na komisarza, Jerzego Ostermana. Osterman natomiast dał się dobrze we znaki okolicznemu ziemiaństwu, wydalając z miasta szukającą tamże przytułku szlachtę. Między innymi chciał w ten sposób wypędzić Aleksandra Wybranowskiego, przybyłego do Wadowic wraz z matką i tylko wdanie się Stankiewicza ocaliło ich od tej niebezpiecznej ostateczności.

Później jednak musiał Wybranowski udać się do Kossowej, będącej dawniej własnością jego rodziny i tam pod strażą wójta przebywając nasłuchał się sporo bajecznych wieści, krążących w tym czasie między chłopami. Pewnego dnia przyszedł do Wybranowskich jeden z tamtejszych włościan, Jan Paulus, z poselstwem od gromady, iż takowa postanowiła sobie ich zatrzymać za panów, gdyż obecny dziedzic, Dąmbski, już nie powróci z więzienia ołomunieckiego. Wczoraj w Wadowicach — prawił Paulus — ogłosili na rynku, iż dają w cyrkule cwancygera za milę temu, kto pójdzie do Ołomuńca przypatrzyć się, jak w przyszłym tygodniu będą wieszali Dąmbskiego z synami...

Wszystkie perswazye, czynione w tej mierze, nie zdały się na nic; lud tamtejszy lubo niegłupi z natury, obałamucony był w zupełności i wierzył najpotworniejszym bajkom. Opowiadano sobie między innemi, że w lasach kryją się ludzie o jednem oku, którzy przyszli z Ameryki, aby mordować chłopów. Baby kossowskie przysięgały się na wszystkie

świętości, iż widziały owych potworów i żadne przedstawienia nie zdołały im wybić z głowy bredni, nabajanych przez nieznanych wichrzycieli.

W Sanockiem organizacya spiskowa przygotowywaną była nader gorliwie przez emisaryusza Mazurkiewicza, który zyskał gorliwych współdziałaczów w Antonim Popielu, Sylwerym Brześciańskim i Romualdzie Żurowskim. Obok nich krzątali się gorliwie : Teofil Romer, Tekstorys, Feliks Urbański, Franciszek Bal tudzież księża Szóstkiewicz i Stokowski. Naradzał się też ze związkowymi były major wojsk polskich, Jerzy Bułharyn, dojeżdżający z Węgier, zaś władzę komisarza rewolucyjnego w sanockiem powierzono Sylweremu Brześciańskiemu. W pierwszym rzędzie myśleli związkowi o ubieżeniu Sanoka pod wodzą Bułharyna. W tym celu wyznaczono powstańcom jako punkty zborne Jurowce i Nowosielce, zkąd zebrani ochotnicy w nocy dwudziestego pierwszego lutego uderzyć mieli na stolicę obwodu.

Wroga postawa ludu, który z widoczną niechęcią przysłuchiwał się odczytywanym manifestom rewolucyjnym i odmawiał swego udziału w powstaniu, udaremniła przywiedzenie do skutku zamierzonego napadu. Mimo zabiegów gorliwych Aleksandra Bobczyńskiego tudzież Lucyana i Pauliny Boguszów z Jabłonicy ruskiej, zaledwo ośmdziesięciu ochotników zebrało się u Teofila Ostaszewskiego we Wzdowie. Zebrani uznali swą niemoc i

rozjechali się do domów, nie uprzedziwszy związkowych, gotujących wyprawę na Sanok od strony południowej, o swem postanowieniu, Tymczasem ochotnicy z Cisny, Procisnego i Kalnicy złączyli się w Uhercach, opanowali koszary straży skarbowej w Lutowiskach i po krótkim wypoczynku u Feliksa Terleckiego w Skorodnem, udali się do tamtejszej cerkwi, gdzie odczytano ludowi manifest rewolucyjny. W Wydrnem, u Popielów, wyszli naprzeciw powstańców zebrani we dworze ochotnicy z księdzem Łachetą na czele, który poprzednio już w Polanie poświęcił był powstańczą chorągiew z napisem: Wolność, równość i niepodległość! Po złączeniu się w Uhercach z ochotnikami, przybyłymi z Baligrodu, oddział powstańczy liczył stu ośmdziesięciu zbrojnych. Bułharyn, który ów pochód dognał pod Stefkową, stanął na czele oddziału i stoczywszy z chłopami utarczkę, dotarł do Zagórza. Tam kazał zapalić chałupę celem zawiadomienia zebranych we Wzdowie o swem przybyciu. Ale sygnał ten pozostał bez odpowiedzi, zaś wysłane pod Sanok zwiady doniosły Bułharynowi, iż żadnego oddziału powstańczego nie widać w okolicy. Wieść ta wywołała zniechęcenie w szeregach powstańczych. Jaki taki ciskał broń i niepostrzeżenie wymykał się do domu, tak, iż w przeciągu kilku godzin zostało przywódcy zaledwo czterdziestu ludzi. Ci postanowili szukać schronienia w Węgrzech i osiągnęli cel swój szczęśliwie.

lubo chłopi z Baligrodu usiłowali im odciąć drogę do odwrotu.

Również bezskutecznym był ruch trzeciego oddziału sanockich powstańców, gromadzących się w Ustyanowej u Stanisława Brześciańskiego. W ustyanowskim dworze zebrało się zaledwo trzynastu związkowych, którzy udali się do kościoła w Jasieniu, gdzie po odprawionem przez księdza Putałkiewicza nabożeństwie odczytał Brześciański zgromadzonemu ludowi odezwę rewolucyjną. Chłopi wysłuchali z uwagą słów manifestu, lecz nie omieszkali też rozbroić związkowych, których skrępowanych, na wozach, odstawili do urzędu obwodowego w Sanoku.

W ogóle przywieźli chłopi w owym czasie około czterystu schwytanych dziedziców, mandataryuszów, dzierżawców i księży, lecz tylko 254 zatrzymała władza w więzieniu; reszta bezwłocznie odzyskała wolność. Nie obyło się wszakże bez grabieży i dwadzieścia pięć dworów szlacheckich padło jej pastwą. W niektórych dworach rabująca czerń dopuszczała się i czynnych gwałtów wobec pojmanych ziemian. Wypadek tego rodzaju zdarzył się w Izdebkach, gdzie tłuszcza, złożona z urlopników, kryminalistów i podpojonych chłopów, napadła dwór w dniu dwudziestym lutego. Napastnicy nietylko splądrowali doszczętnie całe domostwo, ale pobili w okrutny sposób schwytanych we dworze mężczyzn: Bonawenturę i Edwarda Bukowskich, tudzież Józefa Kotarskiego, powiązali więźniów i przy

odgłosie sprowadzonej z sobą muzyki zapraszali rozpaczające żony pojmanych do pląsów, pokrzykując z szyderstwem: „Magnateczki, hrabianeczki, teraz z nami w taniec“!

W końcu udało się nieszczęśliwym kobietom ujść z pod straży rozpasanego chłopstwa i boso, nawpół okryte od zimna wyprzedziły one transport więźniów w Sanoku. Napróżno jednak błagały władze tamtejsze o litość dla swych mężów. Przywiezionych późną nocą wtrącono do piwnicy ratuszowej i trzymano o chłodzie i o głodzie przez dwie doby, zanim znalazło się dla nich miejsce w więzieniu. Dla rozzuchwalonego motłochu nie miały żadnego znaczenia ani wiek, ani dobrodziejstwa, świadczone przez dwór, ani też powolność i ustępstwa wobec coraz to większych żądań czerni. Doświadczył tego na sobie dzierżawca Prusieka, Franciszek Laskowski, któremu chłopi zabrali kolejno kucharza i ekonoma a w końcu napadli bezbronnego i nie stawiającego wcale oporu, by zbitego do nieprzytomności, z wyłamanymi palcami od rąk, odwieść do Sanoka. Jeszcze gorzej obeszli się chłopi z Julianem Goslarem, poetą i żarliwym patryotą, straconym za rządów Bacha we Wiedniu. Goslar, poszukiwany już w r. 1845 przez władze z powodu nieostrożnie rozrzuconej odezwy do włościan, ukrywał się po węgierskiej stronie i dopiero bezpośrednio przed wybuchem powrócił do kraju. Polecono mu udać się do Haczowa, gdzie lud miał być już pozyskany dla sprawy rewolucyj-

nej. O mylności tego twierdzenia przyszło się Goslarowi przekonać na własnej osobie, gdyż chłopi nietylko niechcieli udać się do kościoła, gdzie miano im odczytać odezwę powstańczą, lecz nadto schwytali przebywającego na plebanii emisaryusza, obdarli go do naga i bili tak długo, dopóki dawał znak życia. Tylko siłom młodości i nadzwyczajnej wytrzymałości zawdzięczał poeta przetrwanie zadawanych mu katuszy. Dość powiedzieć, że nagiego trzymano bez jadła i napoju przez całe dwie doby w kostnicy i dopiero po upływie tego czasu wywieziono okrytego kocem do Sanoka. Uwięzionego w kostnicy biły coraz to nowe gromady, przybywające do Haczowa, a gdy męczony omdlewał, starano się w nim odkryć ślady życia przypiekaniem w pięty... Więźniów po przywiezieniu do Sanoka zamknięto w dusznym i ciasnym magazynie, z którego co dopiero usunięto skład owsa i anyżu. W jednej izbie mieściło się sześćdziesięciu więźniów, natłoczonych bez żadnego posłania wśród ścian wilgotnych, bez światła i powietrza. W tej ciemnicy przetrzymał ich starosta sanocki, Jan Osterman, przez dni kilkanaście z rzędu.

Kończąc wzmiankę o rabacyi w Sanockiem, niepodobna nie wspominać o głośnej w owym czasie obronie Birczy oraz o bitwie stoczonej z czernią pod Czechowskim lasem. Starcie to bowiem rozstrzygnęło o losie kilku wschodnio galicyjskich obwodów, które w razie zwycięstwa napastników, padłyby nieo-

chybnie ofiarą ich rabunku. Dziedzicem państwa birczańskiego był w owym czasie Adam Habdank Kowalski, pan ludzki dla poddanych, ale człek energiczny i czynny. W połowie lutego bawił on we Lwowie, lecz na pierwszą wieść o rozruchach w Tarnowskiem, pospieszył do domu, gdzie pozostawił żonę z drobną dziatwą. Już po drodze w Olszanach warty chłopskie chciały go zatrzymać i tylko rączości koni zawdzięczał Kowalski szczęśliwy powrót do Birczy. Zaraz za powrotem doniesiono dziedzicowi, że we wsi najbliższej dwaj urlopnicy podburzają lud przeciw niemu, twierdząc, że starosta Osterman przeznaczył za ujęcie jego, zmarłego lub żywego, nagrodę pięciu, względnie dziesięciu dukatów. Co rychlej kazał aresztować Kowalski owych podżegaczy, a osadziwszy ich w lochu, zawezwał wójtów i starszyznę gromadzką z birczańskiego państwa do dworu, gdzie przedstawił im całą ohydę rabacyi i zagroził w razie buntu, surową odpowiedzialnością. Równocześnie uzbroił służbę dworską oraz oficyalistów w broń palną, której było podostatkiem we dworze i ogłosił pospolite ruszenie w miasteczku. Mieszczanie, nawet żydzi, w strachu o własną skórę, uzbroili się w co kto miał i pospieszyli na oznaczony punkt zborny. Rabusie nie długo dali na siebie czekać.

W dniu 20. lutego, około południa, wpadł do dworu birczańskiego Schmidt, właściciel sąsiedniej Rudawki, uchodzący wraz z dziatwą przed nadciągającą czernią. W ślad za nim

ukazały się tłumy hultajstwa, przeciw którym wyruszył Kowalski nad rzekę. Lód na rzece już tajał, więc chłopstwo nie posunęło się dalej, gdyż kilku śmiałków, próbujących przeprawy, omal nie utonęło pod załamującą się gołoledzią. Czerń wśród krzyków i pogróżek zrabowała kilka domów po przeciwnej stronie rzeki położonych i pociągnęła dalej, zapowiadając, że niebawem w większej gromadzie powróci.

W obec tego Schmidt, mający znajomych, czy też krewnych w cyrkule przemyskim, postanowił udać się do tego miasta. Po drodze spotkał jednak i przywiózł do Birczy jednego z urzędników cyrkularnych, który ujrzawszy we dworze mnóstwo ludzi uzbrojonych, zaraportował za powrotem staroście:

— *In Bircza ist der Herd der Revolution!*

Skutkiem owej relacyi Schmidt, za przyjazdem do Przemyśla, miasto spodziewanej pomocy, został uwięziony...

Tymczasem Kowalski miał się nieustannie na baczności, gdyż opłacani przez niego dziady, włóczący się po okolicy, donosili mu o nowych rozruchach chłopskich od węgierskiej strony. Wiedząc atoli o smutnym losie, jaki spotkał Schmidta, pragnął dziedzic birczański pozyskać dla swego postępowania pozór bodaj legalności. Wyprawił przeto w tym celu do starosty Ostermana sprytnego żydka z pismem, zawierającem prośbę o wojskową asystencyę. Posłańcowi zalecił, by pod żadnym warunkiem nie powracał bez pisemnej

odpowiedzi starosty. Jakoż posłaniec sprawił się dobrze. Wyrzucony przez Ostermana z biura, wśliznął się do jego mieszkania w porze obiadowej, gdzie prośbą i płaczem zdołał wyprosić od starosty karteczkę tej treści: *Ich kann dem Herrn Gutsherrn Kowalski nicht helfen. Soll er machen, was er will!...* O to tylko chodziło Kowalskiemu, gdyż otrzymany z cyrkułu świstek sankcyonował zarządzone przez niego środki własnej obrony, która w dniu dwudziestym ósmym lutego okazała się konieczną.

Dnia tego już około godziny ósmej rano na wzgórzach, okalających Birczę, ukazał się tłum wielotysięczny chłopstwa, które zamierzało otoczyć miasteczko z wszech stron. Przerwanie tej obręczy było rzeczą konieczną, więc też zostawiwszy stu ludzi dla obrony dworu, wyruszył Kowalski z resztą zbrojnych, do których się przyłączyli dwaj przysłani na egzekucyę podatkową żołnierze, naprzeciw czerni pod las, Czechów zwany. Uzbrojonym w strzelby kazał dawać ognia jeno ślepymi ładunkami, główną obronę poruczając tym, którzy z cepami, widłami i drągami wyruszyli w pole. Czerń przyjęła Birczan krzykiem, wrzaskiem, wyciem, lecz niebawem rozległy się wśród chłopstwa okrzyki trwogi, poczem część napastników poczęła umykać na boki, podczas gdy stojący na przedzie, zastraszeni salwą z palnej broni, rzucali kosy i dawali się mieszczanom wiązać jak barany. Powodem tego popłochu był zręczny manewr

Kowalskiego, który wysłał kilkunastu jezdnych na tyły chłopstwa. Ci wpadłszy na polankę wśród lasu istniejącą i okładając harapami najbliżej stojących, rzucili straszliwy popłoch na rabusiów, których przeszło stu schwytano. Reszta umknęła na wszystkie strony, gotując się — jak mówiono — do ponownego napadu.

Tymczasem nadeszła tak długo wyczekiwana asystencya wojskowa. W dniu pierwszym marca przybył do Birczy pluton huzarów pod komendą porucznika, hr. Humnickiego, któremu towarzyszył przysłany z Sanoka kancelista, Ignacy Böhm. Chcąc rzucić postrach na chłopstwo, kazał wówczas Kowalski zbudować dwie szubienice, które schwytani rabusie sami musieli sporządzić i postawić. Szalone przerażenie zapanowało w całej okolicy. Pojmani ze łzami błagali stróżów:

— Bijcie, tłuczcie, tylko nie wieszajcie!

Oczywista skończyło się na postrachu. Schwytanym napastnikom przetrzepali huzary skórę, poczem wypuszczono ich na wolność, lecz widok szubienic podziałał tak odstraszająco na wzburzone pospólstwo, że już po odejściu wojska mandataryusz birczański bez żadnego oporu odbierał we wsiach okolicznych pochodzące z rabunku sprzęty. Co więcej, obrona Birczy miała ten skutek, iż rozzuchwalone hultajstwo, które zamierzało zrabować w dalszym pochodzie Dobromil i Sambor, skryło się wśród gór i przepadło bezpowrotnie.

Wobec tych gwałtów o szczęściu mogli mówić ziemianie cyrkułu rzeszowskiego, gdzie mimo nieporadności i złej woli starosty, Tadeusza Lederera, usuniętego zaraz po rzezi z tego stanowiska, rabacya nie wywołała krwawych następstw. Włościanie napadali i plądrowali dwory pod pozorem poszukiwania ukrytej broni tudzież powstańców i odstawili około stu więźniów do cyrkułu, ale do przelewu krwi na szczęście nie przyszło.

Wprawdzie na morderczych zamachach nie zbywało i w tych stronach, gdyż z sąsiedniego cyrkułu tarnowskiego wpadały w Rzeszowskie bandy chłopskie, krwi i łupu chciwe, które usiłowały swym przykładem zagrzać do zbójeckiego rzemiosła miejscowych włościan. Ziemianie atoli częścią mieli się na baczności a w niektórych wypadkach gwałt odpierali gwałtem. I tak Kolbuszowę obronił Rudzki od chłopskiego napadu przy pomocy tamtejszych mieszczan, zaś w tradycyi rzeszowskiego ziemiaństwa aż do naszych czasów przetrwała pamięć o śmiałym czynie Jakóba — czyli, jak go ogólnie nazywano — Kuby Woynarowskiego, dziedzica Lutczy, który na wiadomość o zbliżających się do dworu bandach chłopskich zlecił obronę gospodarstwa od rabunku służbie dworskiej, sam zaś na dobrym koniu, z dubeltówką, przewieszoną przez ramię i z harapem w dłoni, wyruszył przeciw napastnikom. Objechał ich zręcznie i znalazłszy się za plecami tłuszczy, zawezwał ją do rozejścia się. Dla bandy, nieprzywykłej do

oporu, wezwanie to było niespodzianką. Cóż dopiero, gdy Woynarowski spiąwszy konia, wpadł w tłum i harapem jął okładać najbliższych, wołając:

— A do domu! A do domu!

Czerń rozpierzchła się w pierwszej chwili, później wszakże upamiętawszy się, chciała otoczyć śmiałka i w tym celu kilkunastu chłopów, konno i zbrojno, posunęło się ku Woynarowskiemu. Ten wołał, iż strzelać będzie — i w samej rzeczy pierwszym strzałem położył jednego z atakujących na miejscu, a równocześnie w szalonym pędzie wymknął się z koła, by znów zatrzymać się na odległość strzału i nabić broń wypaloną. Szło mu to z trudnością, gdyż koń rzucał się pod nim gwałtownie. Nie tracąc przytomności, podjechał Woynarowski ku chłopstwu i zawołał na pierwszego lepszego:

— Łotrze! trzymaj konia, albo kulą w łeb!

Zawołany, natychmiast rzucił kosę, zdjął czapkę, przyskoczył i — potrzymał konia, podczas gdy reszta czerni stanęła w przyzwoitej odległości, by po nabiciu broni przez Woynarowskiego, z tem większą natrzeć zajadłością. Niebawem i drugi z napastników legł na miejscu, a po kilku następnych wystrzałach cała zgraja poszła w rozsypkę i dwór w Lutczy ocalał.

Według innej znów wersyi, bracia Eustachy i Kuba Woynarowscy, przy pomocy jednego tylko lokaja, który im broń wystrze-

loną nabijał, odegnali cały tłum rabusiów aż pod Rzeszów.

W każdym razie szalona odwaga Woynarowskich zaliczała się do arcyrzadkich wyjątków w owej dobie. Przeważna część ziemiaństwa albo oddawała się bez oporu w ręce zbójeckiej tłuszczy, nie chcąc kalać swej broni bratobójczą walką, albo też zaskoczona znienacka, szła pod nóż morderczy, nie mogąc i myśleć o oporze wobec przewagi liczebnej napastnika.

„Stało się. Ziemia nasza zbroczoną została potokami krwi w sposób, jakiego dzieje jeszcze nie przedstawiały“ — pisze wspomniany już poprzednio Chłędowski w liście do przyjaciela. — „Mordowano winnych i niewinnych, bez sądu, bez przeświadczenia. Rząd na to patrzył spokojnie, zezwalał — powiem najcięższe słowo: płacił. Beobachter temu zaprzeczy, Guizot nie wierzy, Aberdeen wypowie mowę pochwalną w parlamencie. A jednak to jest prawda. Coraz więcej zbiera się dowodów, przyjdzie czas, że ta okropna prawda będzie stała w księdze dziejów jako mściciel po wieczne czasy!...“

IV.

Wolne, niepodległe i ściśle neutralne miasto Kraków nie było również obojętnym świadkiem lutowej rewolucyi, choć słabiuchnej tej rzeczypospolitej pozostawiły dwory opiekuńcze zaledwo cień niepodległości. Po okupacyi w roku trzydziestym szóstym dokonanej i wydaleniu emigrantów z podwawelskiego grodu, ustanowiły w dwa lata później mocarstwa rozbiorowe osobną komisyę, mającą czuwać nad postępowaniem trybunału miejscowego w sprawach politycznych. Pełnomocnicy trzech dworów zgromadzali się w stałych odstępach czasu we Wiedniu na naradę w sprawach rzeczypospolitej, której zarząd przeniesiono faktycznie z rąk senatu rządzącego do konferencyi rezydentów, stale przebywających w Krakowie. Mimo dozoru policyjnego, pod jakim pozostawała rzeczpospolita, przygotowania do wybuchu rewolucyi odbywały się w niej niemal jawnie. Oficyaliści krzeszowiccy, rekrutujący się w znacznej części z weteranów listo-

padowej rewolucyi, krzątali się nader gorliwie około gromadzenia kos i lanc, zaopatrzonych w groty.

Na bruku krakowskim krążyła pogłoska, iż Potoccy przeszło milion złotych reńskich przeznaczyli na sprawę rewolucyjną. Opowiadano, że hrabina Adamowa z własnej szkatuły sprawiła ekwipaż, potrzebny do ośmiu dział, że w piwnicach pałacu Krzeszowickiego znajduje się siedmnaście tysięcy broni siecznej ukrytej, że znaczne składy broni istnieją w podziemiach kościołów parafialnych w Jaworznie i w Bobrku. W tej ostatniej miejscowości, będącej własnością Potulickich, należeli również wszyscy dworscy oficyaliści do związku, zaś w Krakowie, prócz miejscowych związkowych, snuło się wielu ze szlachty, przybyłej w sprawie spisku z zachodnio galicyjskich obwodów. W sklepach przepłacano broń i proch na wagę złota a niecierpliwa młodzież mówiła głośno w lokalach publicznych o bliskim już terminie wybuchu powstania. Wszystkie te objawy nie pozostawały tajemnicą dla obcych rezydentów, którzy zwrócili się do senatu rządzącego z zapytaniem, czy istniejącą w mieście milicyę uważa jako dostateczną siłę do stłumienia rozruchu. Powolny rozkazom rezydentów senat nie omieszkał zauważyć, iż nie bierze odpowiedzialności za utrzymanie spokoju publicznego w mieście, wobec czego rezydent austryacki, radca dworu Liehman von Palmrode, zawezwał dowodzącego w Podgórzu jenerała-majora Col-

lina, by zajął miasto. Jakoż Collin wkroczył w dniu 18. lutego do Krakowa na czele 1.280 ludzi piechoty, dwustu jazdy i pół bateryi artylleryi. Oddział ten o godzinie ósmej rano przeszedł most podgórski w szyku bojowym. Piechota postępowała z nabitą bronią, przy odgłosie muzyki i z rozwiniętymi sztandarami. Artylerzyści kroczyli przy działach z zapalonymi lontami. Wśród ogólnego osłupienia mieszkańców Austryacy zajęli rynek i główną strażnicę, poczem Collin rozesłał pomniejsze oddziały pod dowództwem oficerów w okolice Chrzanowa, Krzeszowic i Jaworzna.

Równocześnie naczelnicy ruchu naradzali się, co im uczynić wypada. Z członków przyszłego rządu bawili już w Krakowie: Alcyato, Gorzkowski i Tyssowski. Pierwszy z nich wyraził przekonanie, że powstanie odwołać należy i odjechał za granicę, podczas gdy dwaj jego towarzysze oświadczyli, iż pozostaną na miejscu i zobaczą, co Galicya zrobi... Tymczasem w mieście wrzało, gdyby w kotle. Ludność, zaniepokojona okupacyą obcego żołnierza, napróżno przez dwie doby oczekiwała na jakiekolwiek wyjaśnienie ze strony władzy miejscowej. Dopiero dnia 20. lutego, o godz. dziesiątej w nocy, rozlepiono na rogach ulic odezwę senatu, która nie mogła wywrzeć dodatniego wrażenia wśród mieszkańców, gdyż pomijała milczeniem zarówno przyczynę jak i cel okupacyi. Zresztą nie mieli Krakowianie i czasu do odczytania tej proklamacyi, ponieważ wojsko już o godz. siódmej wieczorem

zamknęło wszystkie ulice, wiodące do rynku. Zatoczone przed strażnicę armaty, tudzież zatrzymanie wszystkich zegarów wieżowych i obsadzenie strażą dzwonnic kościelnych, wskazywały aż nadto dobrze, że Collin ma się na baczności oraz, że siłą starać się będzie zdławić powstanie w samym zawiązku.

„Już samo wprowadzenie wojsk austryackich na dwa dni przed wybuchem, uszykowanie ich wczesne w porządku strategicznym na kilka godzin przed atakiem spiskowych, wiadomość cyrkulująca już o godzinie ósmej wieczorem w teatrze, że powstańcy są w pochodzie od Mogiły“ — pisze w memoryale dla Röppla przeznaczonym, naoczny świadek wypadków krakowskich, Antoni Zygmunt Helcel — „wszystko to dowodzi, iż ze świadomością uprzednią każdego ruchu i czynu powstańców nie chciano wstrzymać, lecz chciano widzieć powstanie w samem mieście!“ Tak się też stało. Patrole austryackie schwytały już wieczorem dwudziestego lutego w ulicy Świętej Anny czterech aktorów polskiego teatru, uzbrojonych i zaopatrzonych w biało-czerwoną chorągiew. Po krótkim oporze pokaleczonych odprowadzili żołnierze na strażnicę. Byli to pierwsi jeńcy powstańczy.

Długa noc lutowa mijała spokojnie i dopiero o godzinie wpół do czwartej nad ranem padły pierwsze strzały na wojsko w rynku ustawione z okien restauracyi Fochta, tudzież z domu „pod murzynami“. Żołnierze wywalili bramę i pojmali trzech powstańców,

ukrytych w domu Fochta, który dopiero po-rozpaczliwej obronie, przebity na wylot bagnetem, dostał się w ręce wojska.

Strzały w rynku dały hasło do walki związkowym, którzy zaatakowali nieprzyjaciela licząc zaledwo czterystu zbrojnych, podczas gdy Collin wzmocnił swe siły milicyą krakowską, złożoną z wysłużonych żołnierzy austryackich. Do godziny ósmej z rana trwała palba z ręcznej broni. Wojsko strzelało do poszczególnych osób całymi plutonami, zaś przerażeni mieszkańcy, pozamykani w domach, byli najświęciej przekonani, że na ulicach miasta toczy się zacięta walka.

Wschodzące słońce oświeciło w końcu pobojowisko. Powstańcy oddawna już cofnęli się na Kleparz, zabierając z sobą rannych, zaś w liczbie trupów, broczących bruk uliczny, znalazło się pięć wieśniaczek z Krowodrzy, donoszących nabiał do miasta, oraz kilkunastu bezbronnych przechodniów. Dwaj z nich, przybrani w strój balowy, zamordowani zostali przez żołnierzy w chwili powrotu z zabawy tanecznej do domu... Wojsko nie przepuściło nawet Bogu ducha winnemu lampiarzowi, który z koszem lamp i z zawieszadłem przechodził ulicą. Zastrzelono go, przyłożywszy biedakowi karabin do piersi. Żołnierze chwytali, kogo mogli i kolbując, wiedli do kościółka Swiętego Wojciecha, zamienionego na więzienie.

Od godziny ósmej do dziesiątej trwała przerwa w walce, którą podjęli na nowo

związkowi, uderzając na wojsko pod wodzą Bellego i Boczkowskiego od strony ulic Sławkowskiej, Mikołajskiej i Wesołej. Wojsko strzelało i do bezbronnego tłumu, który nie uprzedzony przez nikogo o ponowieniu boju, nie zdołał dość wcześnie schronić się po za odległość strzałów.

Szczególniej zacięta walka toczyła się przy bramie Floryańskiej, lecz powstańcy po stracie obu dowódców zmuszeni zostali do zaniechania boju. O godzinie siódmej wieczorem ucichły strzały, wojsko biwakowało na rynku, jazda zajęła pobliskie stajnie hotelowe. Mieszkańcom kazano zapalić po dwie świece w każdem oknie, a gdzie tylko światła zabrakło, wpadali żołnierze, szukając ukrytych powstańców. Collin, straszony przez żydków, którzy, wysłani na zwiady, opowiadali mu następnie o dziesiątkach tysięcy powstańców, okalających miasto, przetrzymał noc całą oddział swój pod bronią, zamierzając z nadejściem dnia cofnąć się na zamek i tam wyczekiwać nadejścia posiłków rosyjskich. W południe dwudziestego drugiego lutego kuryer, wysłany z Kielc, doniósł wszakże jenerałowi, że garnizon tamtejszy nie może wyruszyć w pochód przed upływem dni pięciu, wobec czego przerażony wódz austryacki postanowił opuścić Kraków.

O godzinie szóstej wieczorem ozwały się bębny i trąby i w kilka chwil później nieprzyjaciel cofał się z niezwykłym pośpiechem ku Podgórzowi, podczas gdy powstańcy razili

z wiślanego brzegu uciekających strzałami. Za wojskiem udała się na Podgórz milicya krakowska; pospieszyli tam również: prezydent senatu, Schindler wraz z przedstawicielami władzy, biskup Łętowski, tudzież nieciesząсy się sympatyą w mieście bankier, Wincenty Kirchmajer. Tymczasem w Krakowie pospólstwo, jak zwykle w takich razach, poczęło się dopuszczać rozmaitych wybryków, przeciągając ulicami wśród pogróżek i hałasów oraz wygrażając się osobistościom, podejrzanym o sprzyjanie Austryakom. Celem przywrócenia ładu w mieście, zgromadzili się przeto poważniejsi mieszkańcy u Józefa Wodzickiego, obywatela, zażywającego szczególniejszego miru u ogółu ludności, poczem z swego grona wybrali delegacyę dla przekonania się, czy jest w Krakowie jakakolwiek władza, powołana do utrzymania porządku publicznego. Po chwili powrócili delegaci z wiadomością, iż prezydent Schindler wyjechał a pozostali w Krakowie członkowie senatu uważają się sami jako osoby prywatne. Tak więc zawiązanie komitetu bezpieczeństwa okazało się rzeczą konieczną i powołano w skład tej władzy, prócz Wodzickiego, także Piotra Moszyńskiego, Józefa Kossowskiego, Leona Bochenka i Antoniego Helcla.

Zaledwo jednak komitet zdołał ukonstytuować się i ogłosić ludności swe powstanie, gdy zawezwano komitetowych do Krzysztoforów, gdzie o godzinie ósmej wieczorem Tyssowski wraz z Gorzkowskim i z Aleksandrem

Grzegorzewskim ustanowili rząd narodowy rzeczypospolitej polskiej. Sekretaryat rządu objął Karol Rogawski. Członkowie komitetu bezpieczeństwa, zawezwani przez nową władzę do posłuszeństwa, ustąpili bez oporu. Jedną z pierwszych czynności rządu narodowego było spisanie protokołu, w którym tłómacząc swe wystąpienie wyborem, dokonanym w styczniu t. r., przysięgali członkowie tej magistratury, iż tak długo władzę rewolucyjną będą wykonywać, dopóki nie odzyska wolności cała Polska. Za środek, wiodący do tego celu, uznawał rząd narodowy: poruszenie ludu przez zniesienie przywilejów i nadanie włościanom na własność ziemi, przez nich dotychczas uprawianej.

Po odczytaniu protokołu wysłano zbrojnych gońców do powstańców, krążących w okolicy miasta, z wezwaniem do jak najrychlejszego przybycia a tymczasem członkowie rządu udawszy się na strażnicę w rynku, ogłosili z niej ludowi manifest do narodu polskiego. Autorem tego aktu był Libelt, lecz oryginał manifestu uległ zniszczeniu podczas aresztowań, zarządzonych w Poznaniu przez władze pruskie. Tyssowski jednak, obdarzony niezwykłą pamięcią, odtworzył rzeczone pismo, które kilkakrotnie przedtem odczytywał, niemal dosłownie. W jego redakcyi opiewał ten dokument jak następuje:

„Polacy!

„Godzina powstania wybiła — cała rozszarpana Polska dźwiga się i wzrasta — powstali już bracia

nasi w W. Ks. Poznańskiem, w Polsce Kongresowej, na Litwie i na Rusi biją się z wrogiem. Biją się o najświętsze prawa, wydarte im podstępem i przemocą. — Wszak wiecie, co się działo i co się ciągle dzieje, kwiat naszej młodzieży gnije w więzieniach, starcy, co wspierali nas radą, oddani bezcześci, księża, obrani z wszelkiej powagi — słowem, każdy kto czynem, a nawet myślą tylko pragnął żyć i umierać dla Polski, lub zniszczony, lub gnije w więzieniu, lub co chwila jest na to wystawiony. Odbiły się w sercach naszych i rozdarły aż do krwi jęki milionów zaknutowanych, wywiędłych w podziemnych lochach, pędzonych w szeregach ciemiężców, męczonych wszystkiem, czemu tylko siła człowieka wystarczy — wydarli nam sławę, zabraniają nam naszego języka, nie pozwalają nam wyznawać wiary ojców naszych, kładą nieprzebyte tamy ulepszeniom składu towarzyskiego, uzbrajają braci przeciwko braciom, sieją potwarze na najgodniejszych synów ojczyzny".

„Bracia! Jeszcze krok tylko, a nie będzie już Polski ani jednego Polaka — wnuki nasze przeklinać będą pamięci naszej, żeśmy z najpiękniejszej krainy ziemi zostawili im tylko gruzy i pustynię, żeśmy lud najbitniejszy pozwolili okuć w kajdany — że muszą wyznawać obcą wiarę, mówić obcym językiem i być niewolnikami gwałcicieli praw swoich. Wołają na nas z grobu prochy ojców naszych, męczenników za sprawę narodową, abyśmy się ich pomścili, wołają na nas niemowlęta, abyśmy im utrzymali ojczyznę od Boga nam powierzoną, wołają na nas wolne narody całej ziemi, abyśmy nie dali upaść najświętszej zasadzie, narodowości. Woła na nas Bóg sam, który od nas kiedyś rachunku żądać będzie".

„Jest nas dwadzieścia milionów — powstańmy razem, jak mąż jeden, a potęgi naszej żadna nie przemoże siła, będzie nam wolność, jakiej dotąd nie było na ziemi. Wywalczymy sobie skład społeczeństwa, w którym każdy według zasług i zdolności z dóbr ziemskich będzie mógł użytkować, a przywilej żaden i pod żadnym kształtem nie będzie miał miejsca, w którym każdy Polak znajdzie zabezpieczenie dla siebie, żony i dzieci swoich, w którym upośledzony od natury na ciele, lub na duszy, znajdzie bez upokorzenia niechybną pomoc całego społeczeństwa, w którym ziemia dzisiaj przez włościan warunkowo tylko posiadana stanie się bezwarunkową ich własnością, ustaną czynsze, pańszczyzny i wszelkie tym podobne należytości bez żadnego wynagrodzenia, a poświęcenie się sprawie narodowej z bronią w ręku będzie wynagrodzone ziemią z dóbr narodowych".

„Polacy! Nie znamy odtąd między sobą żadnej różnicy. Jesteśmy odtąd braćmi, synami jednej Matki Ojczyzny, jednego Boga Ojca na niebie! Jego wezwijmy na pomoc, a On pobłogosławi orężowi naszemu i da nam zwycięstwo; ale, aby wysłuchał głosów naszych, nie kalajmy się pijaństwem, ani rabunkiem, nie plammy poświęconej broni samowolnością lub morderstwem bezbronnych różnowierców i cudzoziemców, bo nie z ludami, ale z ciemięzcami naszymi bój prowadzimy. A teraz na znak jedności przypinajmy kokardy narodowe i wykonajmy przysięgę: Poprzysięgam radą, mową i czynem służyć Ojczyźnie mojej, Polsce! Poprzysięgam jej poświęcić wszystkie moje widoki osobiste i majątek. Poprzysięgam posłuszeństwo bezwarunkowe Rządowi Narodowemu w Kra-

kowie na dniu 22. t. m. o godzinie 8 wieczorem w domu pod Krzysztoforami zawiązanemu i wszystkim władzom od tegoż postanowionym. Tak mi Panie Boże dopomóż!"

„Manifest niniejszy ma być w „Dzienniku Rządowym" umieszczonym, w osobnych odciskach na całą Polskę rozesłanym i natychmiast we wszystkich kościołach z ambon i we wszystkich gminach przez przybicie na miejscach publicznych obwieszczonym. Kraków dnia 22. lutego 1846 roku".

Akt ten, przytoczony z urzędowej *Gazety Krakowskiej*, odznaczał się, mimo swej ogólnej treści, śmiałością programu w nim zawartego i wywołał wśród Krakowian radośne uniesienie. Tyssowskiego zaniesiono na rękach z strażnicy do Krzysztoforów, skąd niebawem przeniósł się rząd narodowy do historycznej Szarej Kamienicy, która w r. 1794 służyła Kościuszce za siedzibę.

Brakło jednak lutowemu rządowi tej energii i znajomości stosunków, jakie znamionowały działalność Naczelnika. Poprzestawszy na zamianowaniu Jana Waltera burmistrzem miasta, Kościuszkowskiego oficera, Czerwińskiego naczelnym wodzem i Sebastyana Korytowskiego komisarzem cywilno-wojskowym, spoczęli naczelnicy powstania na wawrzynach a raczej zasiedli do pisania ustaw, odezw i dekretów rozmaitej treści, pozostawiając trud zorganizowania straży bezpieczeństwa zacnemu Wodzickiemu.

Jedną z ważniejszych czynności owego rządu, prócz wezwania pod broń oficerów da-

wnej służby, oraz odezwy, wystosowanej do braci Izraelitów, było ogłoszenie ustawy rewolucyjnej, streszczającej w siedmiu artykuach zasady organizacyi powstańczej. Zaznaczywszy u wstępu, iż rząd rewolucyjny jest „jeden dla całej Polski, absolutny, narodowi odpowiedzialny“, groziła rzeczona ustawa karą śmierci każdemu, ktoby okazał się nieposłusznym poleceniom rządowym, nie stawił się pod broń na wezwanie, lub dopuszczał się jakiejkolwiek samowoli, nadużycia władzy, oraz przeniewierstwa. Formujący kluby, lub stowarzyszenia bez upoważnienia rządu, stawał się tem samem zdrajcą ojczyzny. Końcowe dwa artykuły ustawy mówiły o słupach alarmowych, jakie w każdej gminie miały być urządzone, tudzież o godle i barwach narodowych. Te ostatnie były: biała i amarantowa, zaś znak urzędowy przedstawiał orzeł biały na tle amarantowem, ze skrzydłami do lotu rozwinionemi, z głową na prawo zwróconą, dzierżący w szponach: na prawo wieniec dębowy, na lewo wawrzynowy.

Po trzydziestu sześciu godzinach przestał istnieć ów rząd i Tyssowski, biorąc dyktaturę w swe ręce, oznajmił w odezwie do narodu, ogłoszonej w dniu dwudziestym czwartym lutego, iż spowodowały go do tego kroku: „nieład, który się począł zakradać w rządzie zbiorowym i nadchodzące ze wszech stron wiadomości, iż chłopstwo, nie wiedząc o co chodzi, rzuca się na szlachtę.“

Dyktatura nie polepszyła niestety sprawy narodowej. Tyssowski, mimo wielu zalet umysłu i charakteru, nie dorósł do wysokości zadania, jakie mu z biegiem wypadku dostało się w udziale. Niepodobna było mu odmówić gorącego patryotyzmu, ale łagodny z usposobienia, chwiejny w postanowieniach, nie był Tyssowski ani żołnierzem, któryby w pole zdołał powieść zastępy powstańcze, ani politykiem dość wytrawnym, by nie dać się unieść chwilowym porywom i hamować skrajne zachcianki Edwarda Dembowskiego, który umknąwszy szczęśliwie ze Lwowa, objął obok Rogawskiego urząd sekretarza przy dyktatorze i stał się faktycznie duszą całego rządu.

Jeszcze przed przybyciem do Krakowa ogłosił Dembowski w dniu dwudziestym, czwartym lutego powstanie w Wieliczce, której administrator, radca dworu hr. Blagay, umknął w ślad za wojskiem austryackiem pozostawiając na Bożej opiece saliny i kasę. Górnicy i mieszczaństwo wieliccy przyjęli z zapałem wiadomość o powstaniu i bezzwłocznie sformułowali oddział, liczący dwustu kosynierów. Tyssowski, zawiadomiony o dokonanym już fakcie, wysłał do Wieliczki oddział z pięciuset ludzi złożony pod wodzą Suchorzewskiego, któremu towarzyszył komornik Adam Siedmiogrodzki w charakterze komisarza dla obwodu bocheńskiego. Zaraz też przeznaczył dyktator na każdą rodzinę krakowską i podgórską pięć cetnarów soli rocznie do bezpłatnego rozdziału, a równocześnie przystąpił do

ukonstytuowania władz rewolucyjnych, na których czele stanęli ministrowie: Kasper Wielogłowski, (sprawy wewnętrzne), Józef Krzyżanowski, (wydział sprawiedliwości), ks. Antoni Rozwadowski, (sprawy wyznaniowe) i Wincenty Wolf, (skarb). Dowództwo naczelne powierzył dyktator Edwardowi Skarzyńskiemu, prezydenturę miasta Karolowi Stróżeckiemu, dyrekcyę poczt Hieronimowi Kochanowskiemu. Dyrektorem kancelaryi dyktatora zamianowany został Waleryan Kalinka, późniejszy autor „Sejmu czteroletniego“, zaś redakcyę *Dziennika Rządowego Rzeczypospolitej Polskiej*, któremu zawdzięczamy wiele ciekawych szczegółów, dotyczących rewolucyi krakowskiej, objął Antoni Tessarczyk. Prócz ogłoszeń i rozporządzeń władzy rewolucyjnej, zamieszczał *Dziennik* w części nieurzędowej artykuły Dembowskiego, występującego namiętnie przeciw ex-szlachcie, tudzież niezbyt zgodne z rzeczywistym stanem rzeczy relacye o pomyślnym rozwoju rewolucyi w zachodnich i we wschodnich obwodach galicyjskich. Według doniesień *Dziennika*, napady chłopów na exszlachtę były nieliczne, zaś ofiary w życiu ludzkiem trafiały się tam tylko, gdzie szlachta, zaskoczona przez włościan, stawiała czynny opór....

Lud galicyjski — zdaniem tego pisma — pozostawał w poufnej zgodzie z dziedzicami, chętny do podania braterskiej dłoni tym, którymi rząd go straszył, oraz do wystąpienia wspólnemi siłami przeciw Austryakowi! Podo-

bnej wartości były doniesienia organu urzędowego o pułkach ułańskich, spieszących z Węgier w pomoc powstańcom, tudzież o posiłkach, przyrzeczonych przez Węgry. Z aktów Tyssowskiego najbardziej znamienną była ogłoszona w dniu 25. lutego odezwa, wystosowana „do wszystkich Polaków, umiejących czytać“:

„Każdemu, ktokolwiek umie czytać“ — słowa proklamacyi — „natychmiast po odebraniu niniejszej odezwy nakazuje dyktator lud wiejski zwołać i doń mniej więcej temi słowami w serca przemawiać, aby lud dążenie rewolucyi jasno pojął i uczuł: Ludu Polski! Rewolucya w Rzeczypospolitej polskiej dokonana — znosi pańszczyznę, czynsze i daniny a zatem grunta, z których dotąd odrabialiście lub płaciliście jakiebądź powinności, są odtąd waszą bezwarunkową własnością, której jak wam się podoba, na wasze dobro używajcie. Ktoby was do pańszczyzny lub danin przymuszał, ten ukarany będzie. Tych, którzy gruntów nie posiadają, parobków, komorników a szczególniej walczących w szeregach Rzeczypospolitej, z dóbr narodowych po ukończonej walce o niepodległość uposaży — dla rzemieślników zaś warsztaty narodowe założy, gdzie płaca za robotę będzie dwa razy większa, niż ją dziś pobierają. Rzeczpospolita Polska wszystkie przywileje szlachectwa i uciski znosi i wszystkich ludzi równymi stanowi. A więc dla twojego dobra o ludu rewolucya dokonana, powraca ci prawa, które ci wy-

darto. Wszędzie o ludu, głoś to, coś słyszał i pomnij, że bronić praw swoich powinieneś, jak każdy Polak bronić ich będzie i przeciwko Austryakom cesarskim, Prusakom i Moskalom i przeciwko każdemu, ktoby te prawa wydrzeć chciał nam ludowi, nam chłopom, nam Polakom!"

Zarówno manifest powyższy, jak założony przez Dembowskiego klub rewolucyjny, którego obrady miały się odbywać w sali teatralnej, wzbudziły silne zaniepokojenie wśród poważniejszych kół obywatelstwa, przebywającego w Krakowie i w nocy z dwudziestego piątego na szóstego lutego dokonany został zamach stanu.

Sprawcą jego był znakomity profesor literatury, Michał Wiszniewski, który przy pomocy młodzieży akademickiej uwięził Tyssowskiego i jego ministrów. O świcie dwudziestego szóstego lutego Wiszniewski powołał do Szarej Kamienicy: Józefa i Henryka Wodzickich, Michała Badeniego, Antoniego Helcla, Wolffa, Hilarego Meciszewskiego tudzież innych, wybitniejszych obywateli, zawiadamiając ich o fakcie dokonanym.

— Odebrałem tak ważne i pomyślne dla sprawy naszej wiadomości z głębi kraju — mówił uczony profesor — iż nie mogłem dłużej pozostawić władzy w rękach, w których się dotąd znajdowała. Szczegółów wiadomości tych nie mogę na teraz jeszcze wam udzielić, bo tego wymaga dobro naszej ojczyzny. Dość, że są pomyślne, na to daję słowo honoru.

Objąłem przeto władzę i zawieszam wolność druku, z której, jak doświadczenie uczy, korzystają więcej nieprzyjaciele nasi, aniżeli my sami!

To rzekłszy, zamianował Meciszewskiego redaktorem *Dziennika rządowego*, zalecając mu na podstawie wygotowanej już proklamacyi, napisanie rozumowanego artykułu o zmianie rządu. Poczęto omawiać sprawę tego artykułu, gdy straż przyboczna doniosła Wiszniewskiemu, iż były dyktator żąda posłuchania.

— Rozbroić go i wpuścić! — zawołał podniesionym głosem Wiszniewski i w pięć minut później Tyssowski, bez szabli, blady gdyby widmo, wszedł do sali, w której panowała grobowa cisza. Wszyscy zwrócili na niego oczy.

— Co panu takiego zrobiłem, że mię wyzuwasz z władzy? — zapytał przybyły wzruszonym głosem Wiszniewskiego.

— Nie mam przyczyny tłómaczyć się, co i dlaczego zrobiłem — brzmiała odpowiedź profesora. — Dość, że mam władzę i musisz jej pan być posłuszny, jak ja byłem pańskiej wczoraj. Inaczej kulą w łeb i basta!

Przystąpili też do Tyssowskiego Badeni Helcel, Wollf i inni, tłómacząc byłemu dyktatorowi konieczność jego ustąpienia. gdyż położenie wymaga, żeby ster władzy pozostał w ręku człowieka, mogącego mniej więcej liczyć na powszechne zaufanie kraju, a na pytanie Tyssowskiego, przez co wiarę u ziomków utracił, zwrócili jego uwagę, że manifest,

ogłaszający rzeczpospolitę i wypowiadający wojnę równocześnie trzem mocarstwom z powodu nie dość jasnej stylizacyi obudził poważne wątpliwości wśród klas posiadających. Posądzały one wręcz dyktatora o komunistyczne zachcianki... Wobec tego żądali pośrednicy od Tyssowskiego, by ustąpił dobrowolnie.

— Czy mi pan przyrzekasz prowadzić powstanie w duchu manifestu przez rząd narodowy wydanego? — pytał Tyssowski swego następcę

— Nigdy! — odparł Wiszniewski.

— To mi przynajmniej zaprzysiąż, że w obronie naszej świętej sprawy odwołasz się do mas i poruszysz je usamowolnieniem włościan i obdarowaniem ich wolnością.

— Przysięgam! — zawołał Wiszniewski.

— Wy wszyscy tu obecni obywatele i właściciele dóbr — ciągnął dalej Tyssowski, zwrócony do zgromadzonych — przysięgnijcie mi uroczyście, że włościan waszych usamowolnicie, tudzież, że ich obdarzycie własnością.

— Przysięgamy! — ozwali się wszyscy zgodnym chórem.

— Skoro widzę, że zaufanie współobywateli obdarza pana większą siłą i powagą — ozwał się Tyssowski do Wiszniewskiego — skoro się przekonywam, że pan posiadasz rzeczywiście zaufanie i łatwiej przywiedziesz do skutku zamierzone przedsięwzięcie, aniżeli jabym to mógł uczynić, poczytuję sobie za

obowiązek, mając jedynie na oku dobro ojczyzny, ustąpić panu miejsca i składam w jego ręce posiadaną władzę dobrowolnie!

— Niech żyje Tyssowski! Niech żyje Wiszniewski! — okrzyk rozległ się w sali. Wszyscy uściskali się, poczem Tyssowski potwierdził swą abdykacyę na piśmie, zaś nowy dyktator zalecił zwołać urzędników do gmachu senatu, obok kościoła św. Piotra i uwolnić zatrzymanych pod strażą członków dawnego rządu.

Aliści zanim zgromadzeni zdołali odejść do domów, wczęła się nowa burza, wywołana przez Dembowskiego, który na czele zbrojnego pospólstwa rozpędził stronnictwo Wiszniewskiego, ogłaszając jego adherentów za zdrajców ojczyzny. Poczciwy Wodzicki, jako naczelnik straży bezpieczeństwa, zgodził się na objęcie ponowne dyktatury przez Tyssowskiego, pod warunkiem, iż dozwolono ujść bezkarnie Wiszniewskiemu, którego w zaoczności uznano za wyjętego z pod prawa.

Zaraz też Tyssowski powołał do swego boku Badeniego, jako ministra wojny i Gorzkowskiego w charakterze ministra oświaty, powierzając Helclowi sekretaryat spraw wewnętrznych, zaś Aleksandrowi Cukrowiczowi sekretarstwo w wydziale sprawiedliwości.

„Nieprzyjęcie tych urzędów“ — pisze Helcel w swych wspomnieniach — „mogło być hasłem do wywołania zamachu krwawego na wszystkich ludzi umiarkowanych... Lepiej tedy zdawało się przyjąć te urzędowania, zwłaszcza,

gdy one z wielu miar przywracały przerwany bieg organizmu rządowego w kraju, szczególniej pod względem administracyi wewnętrznej i sądownictwa."

W pisaniu był Tyssowski niestrudzony. Zaledwo przywrócony do władzy, wydał: rozporządzenie o organizacyi sądownictwa, uzupełnienie ustawy rewolucyjnej, ostrzeżenie przeciw rozsiewającym wieści nieprzychylne powstaniu, wreszcie polecenie dla drukarzy, by nie tłoczyli żadnych pism, niezaopatrzonych podpisem dyktatora, lub jego sekretarzy.

Wielce też charakterystyczną była odezwa następującej treści:

„Dyktator do ludu polskiego. Ogłaszam Wam, że używanie tytułów: Pan Wielmożny, Jaśnie Wielmożny i t. d. w naszej Rzeczypospolitej za gorszące uważam — takowe znoszę, a mówić każdemu przez Ty, Obywatelu, a najlepiej Bracie — lub, gdy to jest osoba sędziwa, przez: Wy, obyczajem narodu nakazuję."

Tegoż dnia, (dwudziestego szóstego lutego), odbyło się o godzinie dziesiątej rano uroczyste nabożeństwo w kościele Maryackim, zakończone kazaniem księdza Stolarskiego, w którem wymowny kapłan zagrzewał ludność do boju wspomnieniem o bohaterskich czynach Kościuszków i Sobieskich, błogosławiąc ochotników w imię Trójcy Przenajświętszej i Matki Boskiej Zwycięskiej, osłaniającej Swym płaszczem walczących, jak osłoniła naddzia-

dów naszych, broniących Jasnej Góry. Jakoż Krakowianie nie szczędzili ofiar na rzecz powstania. Uzbrajanie konnych ochotników postępowało rączym krokiem; kobiety skubały szarpie, szyły chorągiewki do grotów, lub też bieliznę dla powstańców, zaś pułkownik Kochanowski w pałacu biskupim formował z ochotników batalion piechoty.

Dla podniecenia wojowniczego zapału wśród mieszkańców, podjęto na nowo w dniu ostatnim lutego, przerwane od pewnego czasu widowiska teatralne. Odegrano okolicznościowy utwór Miłkowskiego p. tyt. „Dwudziesty dziewiąty listopada“, poczem ulubienica publiczności krakowskiej, Szturmowa, wygłosiła wiersz patryotyczny i śpiewano zwrotki, odnoszące się do współczesnych wypadków. — Dyktatora, który pojawił się w loży, witano okrzykami: Niech żyje Tyssowski! Niech żyje dyktator!

Równocześnie w starej synagodze rabin Meisels prawił nabożeństwo za pomyślność sprawy narodowej, zachęcając starozakonnych do odwagi, poświęcenia i wytrwałości...

Demonstracye te nie zdołały wszakże przygłuszyć hiobowych wieści, dochodzących w dniach następnych z okolic Krakowa o niepomyślnym rezultacie działań powstańczych. Zrazu sprzyjało powstańcom szczęście. Ludwik Mazaraki, dzierzawca Luborzyc w Miechowskiem i zięć jego, Alojzy Wende, zebrali w swych stronach niewielki oddziałek po-

wstańczy i połączywszy się z ochotnikami, wiedzionymi przez Staszewskiego oraz Zygmunta Jordana, znieśli i rozbroili pomniejsze komendy rosyjskie w Proszowicach, Igołomii i Wawrzeńczycach, poczem przekroczywszy granicę, podążyli pod Kraków. Podobnie korzystnemi dla naszego oręża były utarczki powstańców z podjazdami austryackimi, krążącymi w okolicy Krzeszowic, Jaworzna i Chrzanowa. Do walnej wszakże rozprawy z wojskiem austryackiem przyszło dopiero w dniu dwudziestym szóstym lutego pod Gdowem, gdzie znalazł się na czele oddziału powstańczego ciągnący od strony Wieliczki Suchorzewski. Pochód jego miał na celu zasłonienie salin od chłopskiej czerniawy, która podburzona przykładem włościan tarnowskich, zagrażała Wieliczce. Ale miasto niesfornej i niekarnej czerni, spotkali powstańcy cztery kompanie piechoty i szwadron szwoleżerów, posiłkowane przez tłumy chłopów, zbrojnych w kosy i broń palną a zwołane z dóbr rządowych w Niepołomicach. Dowodził tą siłą podpułkownik Ludwik Benedek, zięć prezydenta Kriega oraz adjutant przyboczny arcyksięcia Ferdynanda, wysłany ze Lwowa z nadzwyczajnem pełnomocnictwem do Galicyi zachodniej, celem naprawienia błędów nieudolnego i tchórzliwego Collina. Suchorzewski liczył pod swymi rozkazami zaledwo sześciuset ochotników, przeważnie wyrostków, źle uzbrojonych i niezaprawionych do boju. Mimo to stawili powstańcy rozpaczliwy opór i dopiero

widząc, iż wojsko usiłuje ich odciąć od Wieliczki, cofnęli się do Gdowa, broniąc się między opłotkami i domostwami. Ale przewaga liczebna po stronie przeciwnika zbyt była znaczną i po chwili bitwa przeobraziła się w istną rzeź.

Chłopstwo, podniecone przez Benedeka obietnicą „dwóch cwancygerów i cetnara soli“ na głowę, pastwiło się bezlitośnie nad rannymi i schwytanymi, mordując ich wobec komendanta przed gdowską karczmą. Benedek spokojnie przyglądał się rzezi, a na przedstawienia otaczających go oficerów, iż należałoby zaprzestać bezpotrzebnego krwi rozlewu, odparł najobojętniej w świecie:

— *Wie sollen mich die Bauer verstehen, wenn ich ihnen auch sagen wollte, sie sollen der Metzgerei Ende machen...*

Według źródeł austryackich dwustu pięćdziesięciu powstańców legło na placu, zaś stu jeńców zamordowali chłopi już po bitwie. Z całego oddziału Suchorzewskiego ocalała tylko jazda, która przebiwszy się przez zastępujące jej drogę chłopstwo, zdołała dostać się szczęśliwie do Krakowa.

Wieść o gdowskim pogromie wywołała straszliwe przygnębienie wśród Krakowian, którzy teraz dopiero ujrzeli marę rzezi, zbliżającą się do bram starego grodu. Wśród ogólnego zamięszania dyktator chwiejny i słaby, chwycił się, gdyby zbawczej deski ratunku, myśli Dembowskiego i ubłagał duchowieństwo krakowskie, by z krzyżem i chorągwia-

mi kościelnemi ruszyło w uroczystej procesyi ku Wieliczce celem przejednania nadciągającej już — jak głoszono — czerni.

W samo południe w dniu dwudziestym siódmym lutego wyruszyła z Krakowa procesya, wiedziona przez trzydziestu księży. Na czele jej, w chłopskiej odzieży, postępował z krzyżem Dembowski. Wśród śpiewów nabożnych minął pochód Podgórz i podążył gościńcem ku Wieliczce, gdy odgłos strzałów za plecami oznajmił uczestnikom procesyi, że wojska austryjackie wchodzą już do Podgórza. Obawiając się odcięcia od Krakowa, zawrócił się pochód w powrotną drogę a tymczasem na rynku podgórskim ucierali się powstańcy z wojskiem, cofając się ku mostowi, ostrzeliwanemu przez działa austryjackie. Ze wzgórza skierowała się procesya ku kościołowi, gdy wtem na rozkaz dowodzącego tym oddziałem, jenerała Collina, trzy kompanie piechoty rzuciły się na lud bezbronny i na księży. Zagrzmiala dwukrotnie salwa karabinowa, głusząc nabożne pienia, poczem żołnierstwo uderzyło na procesyę z bagnetem. W przeciągu kilku chwil plac przed kościołem pokrył się rannymi i zabitymi. Jeden z pierwszych padł Dembowski, przeszyty na wylot bagnetem, w chwili, gdy atakującemu go żołnierzowi usiłował wyrwać karabin. Ciało jego wraz z innemi zwłokami wrzucono do wspólnego dołu, jeńców zaś pod strażą odprowadziło wojsko do Wadowic.

Nazajutrz Collin przywrócił władze austryackie w Podgórzu, zaś dyktator Tyssowski, widząc upadek ducha w mieście, wysłał do jego kwatery dwóch Francuzów, jako parlamentarzy. Jednego z nich Collin zatrzymał a drugiego odesłał z zawiadomieniem, iż oczekuje zdania się na łaskę i niełaskę i układać się będzie tylko z delegatami miasta. Wśród kry na Wiśle przeprawili się na Podgórz Józef Wodzicki, Fedorowicz, Wolff i Helcel, którzy zapewnili jenerała, że Kraków podda się bez oporu, gdyż powstańcy ustąpią jeszcze przed wkroczeniem wojska austryackiego. Tak się też stało. W nocy z drugiego na trzeciego marca wyszedł dyktator z Krakowa na czele oddziału, liczącego 1.300 ludzi i czwartego marca złożył Prusakom broń w Chełmku. W pierwszej chwili udało się Tyssowskiemu umknąć, lecz schwytany w Dreźnie i osadzony w twierdzy Königstein, przebywał tamże aż do grudnia 1846 roku, w którym to czasie rząd austryacki odstawionemu do Tryestu pozwolił odpłynąć do Ameryki, gdzie też życia dokonał. Tyssowski był jednym więcej dowodem, że dyktatorowie rodzą się, lecz nie powstają z przypadku.

Kraków, zajęty w dniu trzecim marca przez wojska dworów opiekuńczych, przepłacił udział swój w rewolucyi lutowej utratą niepodległości.

W Królestwie Polskiem, spętanem żelaznem jarzmem Paszkiewicza, nie przyszło do ogólnego wybuchu powstania. Bronisław Dą-

browski z Kuflewa, syn twórcy legionów, zamianowany przez Mierosławskiego dowódcą tamtejszego ruchu, zdołał szczęśliwie umknąć do Księstwa. Mimoto jednak związkowi, niezawiadomieni dość wcześnie o postanowieniu zaniechania rewolucyi w Królestwie, rozpoczęli w kilku miejscowościach działania.
Do liczby owych straceńców zaliczał się młody ziemianin z pod Siedlec, Pantaleon Potocki, którego N. W. Berg, autor znanych „Pamiętników o polskich spiskach i powstaniach“ zwie człowiekiem najgwałtowniejszego charakteru. Dla niego nie było żadnych przeszkód ani zwątpień. Całą duszą oddany sprawie rewolucyi, wierzył w jej powodzenie. W marzeniach swych widział dziesiątki tysięcy powstańców, gdyż sama Warszawa z okolicą winna była — jego zdaniem — dostarczyć do trzydziestu tysięcy ludzi.

Potockiemu zalecił Dąbrowski opanowanie Siedlec, który to zamach dokonany został w nocy z dwudziestego na dwudziestego pierwszego lutego. Już na dzień przedtem w dobrach Potockiego, we wsi Cysi, położonej tuż pod Siedlcami, znaleźli się: Stanisław Kociszewski, Jan Lityński i Władysław Zarski, młodzi ludzie, pracujący w biurach rozmaitych dykasteryi w Warszawie a przydani Potockiemu do pomocy przez Dąbrowskiego. Potocki zalecił przyjść do dworu gromadzie wiejskiej pod pozorem narady o poborze rekruta, przyczem Kociszewski i Żarski, wmięszawszy się między lud, poczęli ugaszczać

poszczególnych włościan, mówiąc im, że rzecz idzie o dobro Ojczyzny, tudzież o ich własną korzyść, że czas już nadszedł wyzwolenia się i nabycia ziemi na własność chłopów, którzy, prócz Boga, żadnej innej nie będą mieli nad sobą władzy.

Włościanie słuchali tych przemówień. Niektórzy rozczulali się aż do łez, ale wśród całej gromady zaledwo dziesięciu znalazło się śmiałków, którzy oświadczyli, że za swych panów w ogień i w wodę pójdą, gdyż oni są także Polakami. Na czele tej garstki o północy wyruszył Potocki na zdobycie Siedlec. Wraz z włościanami było powstańców trzynastu, ale po drodze dwóch włościan uciekło w krzaki i powróciło do domu. Pozostali około godziny drugiej po północy przybyli do miasta i porzuciwszy sanie w polu, weszli ciemnemi uliczkami do rynku. Udali się pod strażnicę, gdzie sprzątnąwszy szyldwacha i raniwszy jednego z żołnierzy, pobiegli do wznoszącego się opodal budynku, w którym znajdowała się kasa rządowa. I tam dwóch żołnierzy ranili powstańcy, którzy powalili również swymi strzałami żandarma, wysłanego przez naczelnika powiatu, Hincza, dla dowiedzenia się, co się dzieje. Sądząc, że żandarm padł na miejscu, pospieszyli powstańcy do resursy, w której właśnie odbywał się bal. Według planu Potockiego, miano przytrzymać wszystkich znajdujących się w sali urzędników i oficerów wraz z komendantem garnizonu, jenerałem Ładyńskim na czele. Na tym osta-

tnim zamierzali powstańcy wymusić taki rozkaz dzienny, jaki byłby potrzebny dla sprawy rewolucyi. Przy resursie — sądził Potocki — przyłączy się do atakujących nieco ludu, z którym następnie miano działać. Plan ten, obmyślany zbyt powierzchownie, zawiódł jak najfatalniej.

Na balu w resursie znajdowało się wprawdzie sporo ziemian okolicznych, uprzedzonych o napadzie Potockiego, ale w stanowczej chwili zabrakło im odwagi do połączenia się z powstańcami. Na odgłos pierwszych strzałów panie rzuciły się do tylnych pokojów i niektóre poczęły mdleć.

— Nie bójcie się, to nasi! — ozwały się głosy wśród sali, ale na wezwanie Potockiego:

— Kto Polak do broni, niech się z nami łączy! — nikt nie pospieszył z pomocą.

Naczelnik powiatu, Hincz, osobistość powszechnie znienawidzona, wybiegł na ganek. Poznał go Potocki i dał ognia z pistoletu. Spaliło jednak na panewce a równocześnie widok oficerów, wypadających gromadnie z drzwi resursy, wywołał popłoch wśród powstańców, którzy poczęli umykać ku Zbuczyńskiej rogatce. Policya puściła się za nimi w pogoń i złowiła dwóch chłopów. Tymczasem Potocki, Żarski i Kociszewski schronili się do lasu, lecz zmorzeni głodem przybyli następnej nocy do wsi Pirog, będącej własnością matki Potockiego. Sam Potocki schronił się do młyna, istniejącego w pewnej od-

ległości od wsi, podczas gdy dwaj jego towarzysze udali się na nocleg do chaty niejakiego Peseki. Ale zarówno młynarz. nazwiskiem Jaworski, jak Peseka, nie mieli nic spieszniejszego do czynienia nad ujęcie nieszczęsnych rozbitków przy pomocy przyzwanych sąsiadów. Schwytanych odwieźli chłopi do Siedlec, gdzie też niebawem uwięziono Lityńskiego. Sąd wojenny w przeciągu miesiąca ukończył śledztwo i przedłożył wyrok do zatwierdzenia księciu Paszkiewiczowi. Tak więc Potocki skończył na szubienicy w Siedlcach w dniu siedmnastym marca zaś dnia poprzedniego stracono Żarskiego i Kociszewskiego na stokach cytadeli warszawskiej. Obecny przy tej egzekucyi Lityński otrzymał pięćset kijów i wywieziony został do katorgi.

Równocześnie srogi feldmarszałek zarządził istny stan oblężenia w Warszawie. Zamek, Stare miasto i most na Wiśle obsadzono wojskiem, którego oddziały biwakowały też na placu Saskim, na Krakowskiem przedmieściu i na placu Aleksandrowskim. Nadto w całym kraju począł rząd zabierać kosy, znajdujące się w składach publicznych i prywatnych, tudzież wstrzymał wyrób takowych aż do dalszego rozporządzenia. Po Królestwie rozesłano oficerów z poleceniem śledzenia podejrzanych ruchów rewolucyjnych i zarządzenia w danym razie najsurowszych środków zapobiegawczych.

Tak więc grozą szubienic i żołnierskich gwałtów stłumił Paszkiewicz wszelkie porywy

rewolucyjne w powierzonym mu kraju. Ciężkie wyroki na roboty w kopalniach, na służbę w karnych batalionach sybirskiego korpusu lub na posielenie dotknęły tych związkowych, których policya carska zdołała wyśledzić.

Z wszystkich dzielnic Polski najmniej stosunkowo ofiar w życiu ludzkiem i w mieniu poniosło Księstwo Poznańskie, lubo najbardziej było ożywione duchem patryotycznym i obywatelskim. Policya pruska już w pierwszych dniach listopada 1845 r. wpadła na trop istniejącego związku a liczne aresztowania, dokonane przez nią w owym czasie, dostarczyły władzom śledczym wątku do dalszych poszukiwań.

Mimoto komitet rewolucyjny pod przewodnictwem Karola Libelta rozwijał niestrudzoną działalność, nie poprzestając na przygotowaniach do wybuchu powstania w samem Księstwie, lecz utrzymując związki z Królestwem, z Galicyą i z wychodźtwem. Za staraniem komitetu przybył też z końcem grudnia t. r. do Poznania Ludwik Mierosławski, przeznaczony przez centralizacyę wersalską na wodza przyszłego powstania, który ukryty u Jarochowskich przygotowywał szczegółowe plany walki, układał się z związkowymi w Krakowie i w Księstwie. Nieostrożność Mierosławskiego wydała go w ręce policyi. Aresztowano go w dniu dwunastym lutego w Swiniarach a w dwa dni później nastąpiły tłumne aresztowania naczelników związku w Pozna-

niu i na prowincyi. Przeszło siedmdziesięciu patryotów z Libeltem na czele osadzono w cytadeli poznańskiej i równocześnie uwięziono wszystkich komisarzy rewolucyjnych w miastach prowincyonalnych. Przygnębienie, jakie zapanowało w kraju po tej obławie, zdawało się ustępować pod wpływem pomyślnych wiadomości, dolatujących z Krakowa. Szczęśliwy zrazu rozwój rewolucyi w podwawelskim grodzie natchnął młodzież wielkopolską myślą śmiałego zamachu, którego celem miało być ubieżenie cytadeli poznańskiej i uwolnienie uwięzionych w niej związkowych. Naczelnikami zamachu byli znany później poseł Władysław Niegolewski, kandydat prawa Chamski oraz kandydat filozofii, Ludwik Paternowski, którzy przybrali sobie do pomocy starszego leśniczego w Bninie, Hipolita Trąmpczyńskiego. Atak miał nastąpić trzeciego marca, o godzinie jedenastej przed północą. Ale i tym razem czujność policyi oraz załogi, tudzież niejednolite działanie naczelników ruchu, udaremniły zamiary powstańców. Ochotnicy, gromadzący się na punktach zbornych, ostrzeżeni wcześnie o zarządzonych przez komendanta twierdzy przygotowaniach, rozeszli się do domów, zatopiwszy poprzednio swą broń w Warcie, lub ukrywszy ją w ziemi. Tak więc przyszedł do skutku jedynie napad Trąmpczyńskiego na most Chwaliszewski. Na czele sześćdziesięciu niespełna powstańców postąpił Trąmpczyński o oznaczonej porze na ów most. W chwili jednak gdy pierwsze wo-

zy, na których siedzieli powstańcy, minęły Chwaliszew, zatrzymał ich patrol pruski wezwaniem:

— Stój, kto idzie?

W odpowiedzi padł strzał z bryczki Trąmpczyńskiego, który ranił lekko podoficera, dowodzącego wartą i równocześnie żołnierze dali ognia do powstańców. Paternowski, ugodzony w skronie, padł trupem na miejscu, zaś towarzyszący mu Maksymilian Górski i Marceli Gasiński otrzymali śmiertelne rany w piersi i w głowę, skutkiem czego już najbliższej nocy zakończyli życie w lazarecie. Trąmpczyński z twarzą na wylot przestrzeloną zdołał umknąć wśród zamieszania i schronił się do znajomego porucznika Tikelmana, zamieszkałego przy placu Sapieżyńskim, gdzie go też następnego dnia uwięziono. Jadący na dalszych wozach powstańcy, słysząc strzały, umknęli co rychlej, powierzywszy swe ocalenie rączości koni. Gromadne aresztowania związkowych, dokonane tej samej nocy w Poznaniu i w okolicy, były smutnem następstwem nieudanego zamachu.

Zamach ten był jedynem, krwawem zajściem, jakie się zdarzyło pod pruskim zaborem, gdyż prócz Poznania, objawiły się usiłowania w celu rozbudzenia zbrojnego ruchu ludności tylko w Prusiech Zachodnich, w okolicy Starogrodu. Czynnymi w tamtych stronach byli: administrator plebanii, ksiądz Łobodzki, uczeń gospodarstwa, Puttkamer-Kleszczyński, tudzież student medycyny, Florian

Ceynowa. Zamierzali oni rozbroić załogujący w Starogrodzie oddział huzarów, pojmać oficerów i urzędników pruskich, zebranych na balu w resursie i zająć kasę rządową. Napad miał nastąpić pod wieczór dwudziestego piątego lutego. Atoli w stanowczej chwili ochotnicy. zebrani w liczbie czterdziestu, odmówili posłuszeństwa i zamach spełzł na niczem.

Nieszczęśliwe te porywy nie przeszkodziły bynajmniej zaprowadzeniu w Księstwie stanu oblężenia. Zapanowała najstraszliwsza reakcya. Aresztowania w Poznaniu i na prowincyi nie ustawały, tak, iż w końcu wszystkie więzienia były przepełnione przestępcami stanu. Dlatego też ważniejszych więźniów wywożono do Głogowy i do Sonnenburga, zaś od września 1846 roku do Berlina, gdzie miało się rozpocząć właściwe śledztwo. Proces przeciw 254 więźniom poznańskim rozpoczął się dopiero drugiego sierpnia roku następnego. Wyrok ogłoszono z początkiem grudnia 1847 roku. Ośmiu oskarzonych skazano na ścięcie toporem. W tej liczbie, prócz Mierosławskiego, znaleźli się: Władysław Kosiński, Stanisław Sadowski, Seweryn Elżanowski, ksiądz Józef Łobodzki, Floryan Ceynowa, Józef Putkamer-Kleszczyński i Apoloniusz Kurowski.

Tak surowy wymiar kary był niespodzianym dla podsądnych. Jeden tylko ksiądz Łobodzki, nieznający wcale języka niemieckiego, gdy przeczytano jego wyrok, zapytał sąsiada:

— A co oni tam o mnie mówią?

— A to jegomościa skazali na śmierć — odparł zapytany.

Ksiądz Łobodzki z najzimniejszą krwią dobył z rewerendy tabakierkę, poczęstował tabaką towarzysza niedoli i kiwnąwszy ręką odrzekł:

— To się wszystko na nic nie zda, bo oni nam nic nie zrobią.

Bo też niepospolitą żywił wiarę ten staruszek o miłem obliczu, który jeszcze w ciągu procesu pocieszał współobwinionych nadzieją rychłego oswobodzenia. Twierdził podobno, że miewa w nocy widzenia i zapewniał towarzyszów, że rząd będzie ich jeszcze prosił, aby wyszli z więzienia.

Obojętność, z jaką ksiądz Łobodzki przyjął wyrok śmierci, sprawiła wrażenie na sędziach, którzy przerwali na czas jakiś dalsze czytanie wyroków. Po przerwie odczytano wyroki, skazujące na dwudziestoletnie więzienie Adolfa Malczewskiego i Hipolita Trąmpczyńskiego, podczas gdy Libelt otrzymał dekret, opiewający na 20 lat fortecy. Dwudziestu trzech obwinionych skazano na dożywotnie więzienie w twierdzy, sześćdziesięciu ośmiu na karę więzienia od roku do lat dwudziestu, wreszcie czternastu skazańcom policzono areszt śledczy w czas odsiadywania kary. Nadto stu piętnastu obżałowanych uwolniono od oskarzenia, zaś siedmnastu uznano jako niewinnych. Skazanych na śmierć król

ułaskawił, zmieniając karę na więzienie w odosobnionych kazamatach.

Surowość sędziów berlińskich nie złamała patryotyzmu polskiego w Księstwie, lubo po całym kraju krążyły komisye śledcze, usiłujące wśród niższych warstw ludności wynaleść jak najliczniejszych świadków, potępiających więźniów. W tych dniach smutku i zwątpienia kobiety polskie spełniły godnie swe zadanie, spiesząc z słowem miłości i braterskiej zgody pod słomiane strzechy, pouczając prostaczków, że prześladowanie ze strony rządzących spotkało tych właśnie, którzy dążyli do wolności i niepodległości całego narodu. W tych szlachetnych usiłowaniach wspierało patryotki nasze zacne duchowieństwo wielkopolskie, używające wszystkich swych wpływów na korzyść sprawy narodowej. To też rok czterdziesty ósmy wśród ludu wielkopolskiego, niechętnego i nieufnego przedtem wobec szlachty, zastał silnie rozbudzoną miłość ojczyzny, tudzież wiarę niewzruszoną dla starszej braci!

V.

Galicya po rzezi okropny przedstawiała widok.

W zachodnich obwodach spalone dwory, zniszczone budynki gospodarskie i inwentarze świadczyły o srogości spustoszenia. Ze wsi wszystko, co czarno ubrane, umykało do miast, które również żałobną przybrały postać. Kobiety w czerni snuły się po ulicach, gdyż każda niemal rodzina utraciła w owym czasie kogoś z bliskich. Tłumy aresztowanych przepełniały więzienia lwowskie tudzież gmachy więzienne w miastach obwodowych, przerabiane naprędce z klasztorów i z domów prywatnych. Ogromna ilość aresztowań, dokonanych zaraz w pierwszej chwili po wybuchu rewolucyi, spowodowała rząd do koniecznych ustępstw. Polecono zatem urzędom cyrkularnym, by bez odnoszenia się do sądów kryminalnych wypuściły na wolność wszystkich uwięzionych, co do których nie zachodzą jawne dowody winy. Ulga ta była konieczną,

gdyż z końcem lutego 1846 r. liczono w Galicyi kilka tysięcy osób, uwięzionych pod zarzutem zbrodni stanu. Do śledztwa kwalifikowały sądy jedynie naczelników ruchu, ich pomocników, osobistości, które już poprzednio pozostawały pod zarzutem zbrodni stanu, tudzież wmięszanych do związku urzędników publicznych i księży. Osobna instrukcya zalecała komisyom śledczym, by nie wdając się w ściganie ogółu współwinnych i podrzędnych uczestników związku, starały się w jak najkrótszym czasie ukończyć śledztwo. Mimo tych ograniczeń, wytoczono w Galicyi i w Krakowie czterysta trzydzieści cztery procesów politycznych.

Do Tarnowa udał się w pierwszych dniach marca arcyksiążę Ferdynand, zaniepokojony alarmującymi raportami Breinla, który popełnioną zbrodnię starał się do pewnego stopnia usprawiedliwić zmyślonemi doniesieniami. Historyczny rozgłos pozyskała odezwa tarnowskiego starosty, ogłoszona w dniu dwudziestym lutego. Wspominał w niej Breinl o rozruchach wczętych przez „źle myślących“, tudzież o wywołanem przez nie roznamiętnieniu, groźnem nietylko dla wewnętrznego pokoju, lecz zdolnem poruszyć każde „czujące serce...“ i wzywał ogół ludności do porządku, posłuszeństwa oraz do zaniechania gwałtów. Spóźnione to wezwanie sprawić musiało wrażenie gorzkiej ironii. Podróż arcyksięcia-gubernatora nie przyniosła wszakże pokrzywdzonym żadnego zadośćuczy-

nienia. Już w Dembicy zauważył dostojny podróżny pustkę w miasteczku, lecz zdawał się nie wierzyć wieściom o gwałtach, popełnionych tamże przez chłopstwo. Dopiero widok chłopów, wychodzących z kościoła a postrojonych w zrabowaną po szlacheckich dworach odzież, przekonał jeneralnego gubernatora o prawdziwości złożonej mu relacyi. Po drodze spotkał arcyksiążę panie: Boguszową a następnie Broniewską, które z wielkopańską uprzejmością zaprosił do swego powozu. Podobno słuchając ich skarg, łzy ronił. Zapóźno niestety! Przybywszy na miejsce, zalecił arcyksiążę, by w opustoszałych dominiach ustanowić mandataryuszów z ramienia rządu, ludność zawezwać do dalszego pełnienia powinności poddańczych i sprowadzić misyonarzy w okolice najbardziej rabacyą dotknięte. Najważniejszą wszakże czynnością jeneralnego gubernatora podczas pobytu w Tarnowie, było ogłoszenie w dniu szesnastym marca postanowienia monarszego, zaczynającego się od słów: „Do moich wiernych Galicyanów!“ W obwieszczeniu tem czytano ustęp następujący:

„Wierne wasze serca i zdrowy wasz rozum nie dały pokusom do siebie przystępu. Gdy pomimo to sprzysiężenie w ślepym szale wybuchło i w zapamiętałem szaleństwie krwawą chorągiew zaburzenia podniesiono, zbrodnicze takowe przedsiębiorstwo przez stały upor was wiernych wszędzie naprzeciw stawiany, zniweczone zupełnie zostało.

Memu czułemu sercu stało się potrzebą ukochanym moim Galicyanom uznanie ich poczciwości i niezachwianej wierności ku swemu monarsze uroczyście objawić! Wierni! Gdyście się dla porządku i prawa oburzyli, wzywa się was obecnie po zniszczeniu haniebnych zamiarów nieprzyjaciół wszelkiego prawego porządku, byście znowu dawnym spokojnym zatrudnieniom się oddali i przez ścisłe wypełnienia waszych obowiązków poddańczych nadal dowód złożyli, że tak jak ku utrzymaniu porządku i praw walczyć, tak też przez posłuszeństwo i uległość ku nim one utwierdzać rozumiecie..."

Manifest ten, acz po mistrzowsku wystylizowany, był czemś więcej aniżeli amnestyą, bo podziękowaniem dla winnych — jak to słusznie zauważył Aleksander Wielopolski w głośnym swym Liście polskiego Szlachcica. Nie przestali wszakże rządzący na owych słowach uznania, lecz nadużyli powagi Stolicy Apostolskiej, ogłaszając *breve* Grzegorza XVI., noszące datę dwudziestego siódmego lutego t. r. jako akt potępiający aspiracye polskie i patryotyczne tendencye naszego duchowieństwa a zalecający bezwzględną uległość dla rządu cesarskiego.

Dla nadania tem większej aktualności okólnikowi watykańskiemu ogłoszono takowy jako wystosowany specyalnie do biskupa tarnowskiego, Józefa Woytarowicza. Zacny ten książę kościoła, syn ludu, który w biskupiej karocy sadzał z synowskiem uszanowaniem ojca

swego, w zwykłą przybranego siermięgę, odczuł boleśnie zbrodnię bezwiedną, popełnioną przez chleborobną rzeszę. W szlachetnem oburzeniu ogłosił on w dniu dwudziestym lutego list pasterski, w którym przypominając Chrystusowe przykazanie miłości bliźniego, pisał co następuje: „Straszno pomyśleć, żeście wy wbrew przykazaniu Zbawiciela dali się porwać w dzikiem zaślepieniu do bezgranicznych okrucieństw. Mnóstwo niewinnych pokaleczono i pomordowano. Pamiętajcie o drodzy bracia, że krew niewinnych woła do niebios i że Bóg Wszechmogący, władający światem, od którego pochodzą klęski powodzi, nieurodzajów i głodu, że Bóg ten z bezwzględną sprawiedliwością karać was będzie za mordowanie braci w doczesnem i w wiecznem życiu.“

Tak więc ogłoszonem podstępnie brevetem papieskiem starała się biurokracya osłabić wrażenie, wywołane wystąpieniem iście chrześcijańskiem biskupa Woytarowicza, którego w roku 1850 usunięto od zarządu dyecezyą. Słusznie więc Waleryan Kalinka w swem pomnikowem dziele „Galicya i Kraków“ wyraził się w te słowa:

„Duchowieństwo polskie, widząc, że każdy jego czyn kapłański uważany jest ze strony rządu za agitacyę polityczną, nie znajdując tam, gdzie znaleść powinno, pomocy i zachęty do apostolstwa świętej wiary, opuściło ręce bezsilnie i poddało się tej władzy, od której apelując do Rzymu, znajduje tam dla siebie potępienie.“

Ważniejszą od podróży arcyksiążęcej była misya Wacława Zaleskiego, podówczas radcy połączonej kancelaryi nadwornej, wysłanego z Wiednia do Galicyi. Zaleski objechał cały obwód tarnowski, przyjrzał się dokładnie spustoszeniu, zrządzonemu przez rabacyę, przeglądnął urzędowe wykazy i na podstawie dat zebranych przedłożył władzy naczelnej przedmiotowy wielce raport o stanie tej części kraju.

Widocznie jednak owa ścisłość w sprawozdaniu Zaleskiego nie była pożądaną naczelnikom rządu, rezydującym nad modrym Dunajem, a być też może, iż powodem nagłego odwołania Zaleskiego było aresztowanie Nereusza Hoszowskiego, u którego znaleziono jego kartę wizytową. Nie zaniedbały też zapewne władze galicyjskie donieść do Wiednia, iż w czasie objazdu okolicy, Hoszowski przewiózł Zaleskiego w swym powozie z jednej miejscowości do drugiej. W przekonaniu biurokracyi był to fakt wielce kompromitujący.

W miejsce Zaleskiego przybył do Tarnowa wiceprezydent lwowskiego gubernium Leopold hr. Lażański, człek niezbyt taktowny, a znany we Lwowie jako nałogowy donżuan. W Tarnowie szczególniejszym afektem otaczał hrabia Szelę, przechadzał się z nim publicznie, częstował go cygarami, użalając się głośno, iż przypadło mu w udziale niewdzięczne zadanie pocieszyciela wdów i sierót.... Towarzyszył mu w zwiedzaniu więzień tarnowskich przybyły umyślnie z Wiednia puł-

kownik ks. Frydryk Schwarzenberg, popisujący się wobec więźniów swą sympatyą dla Polaków po to tylko, by zarzucić im skrytobójcze wobec Niemców zamiary. To też należyta odprawa spotkała nierycerskiego księcia ze strony Franciszka Wiesiołowskiego, który mu wręcz odpowiedział, że Polacy nigdy nie walczyli podłością...

Z Tarnowa pospieszył Lażański do Krakowa, gdzie w salonie pani Wąsowiczowej wsławił się cynicznem oświadczeniem, że sprawcy rzezi są *des très honnetes gens*, bo działali z hasłem: Bóg i cesarz!...

W obec takiego postępowania biurokracyi, powtarzającej przy każdej sposobności frazes: *Der Bauer ist für uns*, nie dziwić się należało chłopom, iż odczytywany im po kościołach manifest monarszy zrozumieli jako podziękowanie za wyrznięcie panów i odmawiać jęli pełnienia powinności poddańczych. Włościanie obwodu tarnowskiego pierwsi w tej mierze dali przykład, a ich śladem burzyć się poczęli chłopi w jasielskiem, w sanockiem i w rzeszowskiem. Breinl usiłował napróżno opanować ów ruch w drodze pokojowej, a częste narady, odbywane przez niego z Szelą, spowodowały w końcu starostów sąsiednich obwodów, iż stanowczo obwinili tę godną parę w obec władzy gubernialnej o podniecanie rozruchów chłopskich. Obradowała nawet w tej sprawie osobna komisya, powołana przez arcyksięcia-gubernatora i wyraziła przekonanie, że chłopom nie należy

czynić żadnych ustępstw, jeno zmuszać opornych przemocą do pełnienia poddańczych służebności. Rozporządzenie to poparto siłą i wysłano w Tarnowskie świeżo sprowadzony do Galicyi pułk piechoty *Deutschmeister*, tudzież batalion pułku *Haynau*.

Gdy pierwszy szał minął, zbałamucony lud wiejski począł instynktownie odczuwać całą doniosłość popełnionej zbrodni. Ciemne tłumy ogarnęły strach dziwny i obawa przed odwetem. Baśnie o „Polakach, Frajcuzach i Hangielczykach“, idących na pomoc „ciarachom“, powtarzane już przed wypadkami lutowymi, przybierały w fantazyi ludowej corazto potworniejsze kształty. Całe wsie obozowały nocami w polu dla odstraszenia niewidzialnego wroga. Warty owe odprawiała ludność męska, uzbrojona w drągi, widły, cepy, kupiąc się przy rozpalonych ogniskach, wśród przeraźliwej wrzawy, czynionej bębnieniem na próżnych beczkach i cebrzykach. Odwagi dodawała wartownikom wódka, podniecająca mózgownice wioskowych poetów do układania następujących strof hajdamackich:

Wygroli, wygroli ci nosi panowie,
Wygroli ojcyznę cepami po głowie,
Na gordziołku siendę, flaków wydobendę,
Na miejscu ślachcica sam ślachcicem bendę.

Polocy, polocy marnie wyginiecie,
Ze się na cysarza zawdy buntujecie.

Cysarzu, Cysarzu, wielgomozny panie
Dałeś mi kamaśle, nie dziękuje za nie.

Panika wśród ludu wiejskiego wzrastała w miarę zbliżających się świąt Wielkiej Nocy. Podobnie, jak to się działo w roku 1845, poczęły znów krążyć w Tarnowskiem a następnie i we wschodnich obwodach galicyjskich pogłoski o rzezi. I te nieliczne rodziny szlacheckie, które dla ratowania resztek mienia odważyły się na odwiedzenie zburzonych siedzib, umykały co rychlej z powrotem do miasta, zaś chłopstwo ogarnął ponowny przestrach przed „Polakami“. Widma pomordowanych ofiar ścigały sprawców rzezi wśród nocy. Zdawało się im, że z krwi męczenników wznosi się para gorąca, dławiąca oddech śpiących. To znów przewidywały się mordercom krwawe postacie ich ofiar, wydające straszliwe jęki i krzyki, lub też szydersko się śmiejące i wzywające ich za sobą w świat zagrobowy. Dorośli mężczyźni lękali się z zapadnięciem nocy wyjść po za próg chaty, gdyż między opłotkami, w przydrożnych rowach, na podwórku, straszyły ich tajemnicze odgłosy i szmery, które uważali za nawoływania upiorów, błądzących koło mieszkania swych katów. Wielki Tydzień i święta minęły spokojnie. Mimo to w Brzostku, w obwodzie jasielskim powstało w drugie Święto straszliwe zamieszanie podczas nabożeństwa w kościele odprawianego. Na krzyk: Ludzie ratunku! — tłum przepełniający świątynię jął się tłoczyć

z takim impetem ku drzwiom wchodowym iż dopiero przyzwany do pomocy oddział wojska zdołał przywrócić porządek wśród przerażonego ludu.

Tymczasem biurokracya tryumfowała po miastach rozkoszując się nadzieją awansów, dekretów pochwalnych, orderów. Jednym z pierwszych, obdarzonych orderem był zwycięzca z pod Gdowa, Benedek, odznaczony rycerskim krzyżem Leopolda

Ten sam order otrzymał, prócz Breinla, starosta przemyski Karol Czetsch de Lindenwald zaś starostowie: Loserth, Bern, Bochyński i Przybylski wyniesieni zostali do stanu austryackiego szlachectwa.

Najwyższe zadowolenie dostało się galicyjskiej straży skarbowej za „okazane w ostatnim, trudnym i niebezpiecznym czasie czynne i wierne jej postępowanie“ a i Bogu ducha winna milicya lwowska, złożona z podtatusiałych mieszczan, otrzymała wyrazy uznania za przyczynienie się do utrzymania porządku i spokojności w mieście.

Widocznie wszakże oficerowie milicyi nie uważali rządowego podziękowania za dostateczną nagrodę dla swego komendanta, burmistrza Emila Festenburga i zaofiarowali mu — pałasz honorowy z odpowiednim napisem. Nie pozostał też w tyle za innymi zniemczały magistrat lwowski, który obdarzył honorowem prawem miejskiem i starostę obwodu lwowskiego Milbachera i dyrektora policyi Sacher-Masocha i Benedeka. Zaszczyt ten spłynął ró-

wnocześnie na feldmarszałka-porucznika Retseya, głównodowodzącego we Lwowie, który otrzymał zaszczytną odstawkę, gdyż zamianowano go z końcem kwietnia drugim kapitanem węgierskiej gwardyi szlacheckiej.

W objawach lojalności dla rządu nie dała się ubiec lwowskiemu mieszczaństwu zielona Bukowina. Kwiat szlachty tamtejszej pod przewodem Jana barona Mustazzy uznał za stosowne pospieszyć do starosty czerniowieckiego z zapewnieniem wierności i przywiązania do tronu oraz gotowości do wszelkich ofiar.

Wzruszający ten objaw lojalności ze strony notablów bukowińskich nie zdołał wszakże zatrzeć ujemnego wrażenia, wywołanego we Francyi i w Niemczech chłopską kontrrewolucyą. Napróżno usiłowała biurokracya austryacka w błąd wprowadzić opinię publiczną na Zachodzie już to za pośrednictwem not urzędowych jakoteż za pomocą prasy. Zmyślone opisy wypadków galicyjskich zamieszczane w *Gazecie wiedeńskiej*, w *Austryackim Dostrzegaczu* tudzież w *Powszechnej Gazecie Augsburgskiej*, nie zdołały złudzić nikogo i w dniu trzynastym marca t. r. kwestya rzezi lutowej stała się przedmiotem rozpraw w izbie paryskiej. Deputowany Laroche Jaquelin zapytał ministra spraw zewnętrznych, Guizota, czy prawdziwą jest wieść o nagrodach, wyznaczanych przez rząd austryacki na głowy powstańców protestując w imieniu ludzkości przeciw podobnemu barbarzyństwu. Wtórzyli mu hr. Morny i de Castellane. Ten ostatni

zwracał uwagę izby na ton, jaki w tej sprawie przybrały pisma pruskie, inspirowane przez swój rząd, bezpośrednio w tej rewolucyi interesowany. Bladą wobec tych oskarżeń była odpowiedź Guizota, zarzucającego prasie przesadę w opisie odnośnych wypadków i zasłaniającego się zasadą nieinterwencyi. Podobnie odpowiedział ów minister w izbie parów Karolowi hr. Montalembertowi, który obwiniał rząd austryacki o systematyczne sianie nienawiści między ludem o szlachtą.

O okropnościach rzezi nie dość dokładnie była poinformowana emigracya polska w Paryżu, gdy w dniu siódmym marca wystąpiła z adresem, uznającym księcia Adama Czartoryskiego prawowitym naczelnikiem narodu. Za jej przykładem poszedł też w pięć dni później komitet polskich emigrantów w Anglii i w Irlandyi, zaś rząd austryacki korzystając z przychylnej odpowiedzi księcia na owe oświadczenia, nałożył sekwestr na galicyjskie dobra Czartoryskich.

Wśród powodzi artykułów i broszur, omawiających za granicą rewolucyę lutową, na szczególniejszą zasłużyły uwagę dwie publikacye. Jedną z nich jest wspomniany już poprzednio „List polskiego szlachcica“, skreślony w języku francuskim przez margrabiego Wielopolskiego i wydany w Paryżu u Renouarda, drugą broszura znakomitego uczonego, Zygmunta Antoniego Helcla, ogłoszona w Hamburgu przez znanego publicystę Schuselkę p. t.: „Briefe eines polnischen Edelmannes“.

Geneza obu tych prac przedstawiała się następująco: Wielopolski, bawiąc w kwietniu 1846 r. w Krakowie, poznał w domu Helclów obie panie Boguszowe, wdowy po zamordowanych i pod wrażeniem ich opowieści skreślił swój „List“. Równocześnie Helcel zbierał materyały, przygotowując obszerniejszą w tym przedmiocie pracę, którą przesłał Schuselce. Ten ostatni dla uniknienia cenzury, dopełnił jego rozprawę do dwudziestu arkuszy druku, dodając do niej „List“ Wielopolskiego w niemieckim przekładzie, oraz zakończenie własnego pióra.

Z tego też powodu mało znana praca Helcla uchodziła przez długie lata za utwór Schuselki. Helcel traktował kwestyę zbyt może źródłowo i wyłuszczając ustrój społeczny Polski oraz przyczyny jej upadku, starał się zwrócić uwagę Niemiec na korzyści, wypływające dla nich z przywrócenia państwa polskiego, zwłaszcza wobec podniesionej przez carat idei panslawistycznej. Ale mocarstwa rozbiorowe nie myślały już wówczas o przywróceniu Polski, co musiałoby pociągnąć za sobą zwrot zabranych posiadłości. Zresztą uważały Polaków jako niepoprawnych burzycieli i rewolucyonistów. Na odwrót znów Polska, o jakiej Helcel mówił, nie przypadała do smaku stronnictwu postępowemu.

O wiele większym przeto rozgłosem cieszył się List Wielopolskiego, wystosowany do księcia Metternicha, jako autora ohydnej

noty z dnia siódmego marca t. r., usprawiedliwiającej rzeź galicyjską wobec Europy. Odwaga cywilna, okazana przez margrabiego występującego w obronie pogwałconej moralności, zjednać mu musiała poklask jednozgodny zagranicy. Natomiast w kraju list Wielopolskiego mniej sympatyczne wywołał wrażenie z powodu zawartej w nim tendencyi politycznej. Margrabia, stanowczy przeciwnik rządowego systemu germanizacyjnego, upatrywał już wówczas w zjednoczeniu z Rosyą jedyny ratunek dla żywiołu polskiego. W Królestwie pragnął Wielopolski zbliżenia się Polaków do Rosyi i do reszty Słowiańszczyzny, zaś Polakom galicyjskim doradzał: wejście w bliższe stosunki z plemionami słowiańskiemi w Austryi, postępowanie umiarkowane wobec rządu i korzystanie z okoliczności. Mimo siły wymowy, ścisłości logiki i trafności poglądów, list Wielopolskiego, wiele niechętnej wrzawy wywołał w kołach wychodźców i w Księstwie Poznańskiem. Z odpowiedzią nader wymowną i gorącą na „List polskiego szlachcica“ wystąpił między innymi sędziwy żołnierz-poeta, jenerał Morawski. Głos jego był wyrazem współczesnej opinii ogółu. Morawski wytknął margrabiemu „wdzieranie się w przywilej Boga samego, w tworzenie i zagładzanie narodów“ i konkludował w ten sposób:

„Jak ludziom, tak narodom dał Bóg nadzieję a sobie zostawił przyszłość... Jak po Kościuszkowskiej zagładzie dał wielkiego czło-

wieka, tak może dać wkrótce wielki wypadek. Nie przykrzmy sobie w czekaniu, gdy już tak długo czekamy. I cóż stąd, że cierpisz, że więcej jeszcze cierpieć będziesz, że cię okuwać, mordować, więzić będą? Czyż dlatego twoja powinność jest mniejszą? Czyż wolno ci uprzedzać wyroki Boskie? Czy Twoja męka nie uświęca cię w obliczu nieba i ziemi? Czy chciałbyś twoje nieszczęście zamienić na tryumfującą szkaradę Metternicha? Kto ci powiedział, że miara twoich boleści już jest dostateczną na oczyszczenie się z win przeszłości? Kto ci powiedział, że za wiek, za dziesiątek lat, jutro, nie będziesz wynagrodzony? Racyonalizm zabił już wiarę w protestantyzmie, masz jeszcze zabijać i wiarę w przyszłość naszą, w skutki pokuty narodowej, w litość i sprawiedliwość Boga?"...

Zdanie Morawskiego podzielał cały ogół polski.

Wobec oskarzeń i zarzutów, jakich nie szczędziły biurokracyi austryackiej prasa i opinia publiczna zagranicą, dziwnie niejasnem było postępowanie władz galicyjskich, którym głos ogółu jawnie i stanowczo zarzucał wypłacanie nagród pieniężnych za dostawione do cyrkułów zwłoki i rannych związkowych. Prócz naocznych świadków, stwierdzających pod przysięgą wypłatę judaszowskich srebrników przez funkcyonaryuszów rządowych, nie brakło i obcych relacyj, niepodejrzanych o stronniczość a podtrzymujących prawdziwość wieści o nagrodach za rzeź szlachty. Takim dokumen-

tem był między innymi raport naczelnika gubernii radomskiej, pułkownika Horłowa, który wysłany przez Paszkiewicza nad granicę galicyjską dla śledzenia lutowych wypadków, pisał w swem sprawozdaniu co następuje:

„Przekonałem się, że starostowie tarnowskiego i bocheńskiego cyrkułu, zląkłszy się zawichrzenia i obawiając się powszechnego buntu, ogłosili nagrodę za każdego pojmanego szlachcica“...

Wobec wszystkich tych zarzutów biurokracya milczała a co gorsza, zachowanie się władz galicyjskich było tego rodzaju, że zdawało się je potwierdzać. Śledztwo w celu zbadania, kto pierwszy dał hasło do rzezi panów, nie doprowadziło do żadnego rezultatu, zaś skargi poszkodowanych przeciw poszczególnym sprawcom rzezi miały ten skutek, iż sprowadzały sroższe jeszcze prześladowania na rodziny pomordowanych i złupionych ofiar. Niżsi funkcyonaryusze cyrkularni nie omieszkali przy każdem zetknięciu się z ludem wiejskim podniecać jego zawiść wobec klasy posiadającej. Zdarzały się wypadki, iż komisarze cyrkularni, wysełani celem przywrócenia prawnego porządku na wieś, prawili gromadzie, że tak długo niebędzie dobrze na świecie, dopóki ostatnia hrabina nie pójdzie w chłopską służbę. Nadto włościanie widząc, iż urzędnicy są po ich stronie, domagali się od dziedziców, ograbionych przez nich samych doszczętnie, nieustannych zapomóg w ziarnie i w gotowiźnie. Cyrkuł wydawał odnośne asy-

gnaty a gdy dwór składał się niemożnością zadość uczynienia owym wymaganiom, najczęściej przesadnym, wypłacono chłopom żądaną kwotę z kasy rządowej zaś dziedzica sekwestrowano. W Krakowskiem, gdzie rabacya oszczędziła dwory, kazano szlachcie dawać włościanom zapomogi za to, że nie rabowali... I tak Wąsowicz w Zatorze dać musiał 1800 korcy ziemniaków, Adam Potocki w Spytkowicach: 680 korcy ziemniaków, 270 jęczmienia, tyleż owsa, 180 korcy żyta i 30 korcy pszenicy jarej... Niedziw przeto, że chłopstwo nie czując nad sobą żadnej władzy, poczęło głośno prawić o rozdziale dworskich gruntów, że mnożyły się z dniem każdym gwałty, spory graniczne i bójki, między służbą dworską a włościanami.

Ziemiaństwo, widząc, że wszelkie skargi, wnoszone przeciw nadużyciom biurokracyi, nie odnoszą żadnego skutku, milczało. W końcu jednak rząd naczelny przyszedł do przekonania, że samowola i niedołęstwo władz galicyjskich obniżają powagę monarchii w obliczu Europy a zarazem wywołują nieustający ferment w śród ludności, groźny dla całego organizmu państwowego. Pod pozorem ważnych obrad zaproszono przeto w pierwszych dniach kwietnia arcyksięcia-gubernatora do Wiednia, zkąd już nie wrócił na dawne stanowisko i w dniu drugim lipca t. r. zamianowano Rudolfa hr. Stadyona, dotychczasowego namiestnika morawsko-szląskiego, nadzwyczajnym komisarzem dla Galicyi.

Udzielona hrabiemu instrukcya zalecała mu uregulowanie stosunków poddańczych, uspokojenie kraju tudzież zaradzenie brakom, jakieby się okazały w administracyi krajowej. Przybycie Stadyona, spokrewnionego z tutejszą arystokracyą przez Lanckorońskich i Rzyszczewskich, zdawało się galicyjskiemu ziemiaństwu najodpowiedniejszą porą do przedstawienia rządowi rzeczywistego stanu kraju. W imieniu ziemiaństwa przemówił Aleksander hr. Fredro, który wysłannikowi cesarskiemu wręczył memoryał p. t.: Uwagi o socyalnym stanie Galicyi. W akcie tym znakomity pisarz z porywającą siłą napiętnował nienaturalny stosunek galicyjskiego ziemianina w obec poddanego włościaństwa i z całą otwartością potępił podziemną robotę biurokracyi, nurtującą od lat dziesiątków w kraju na jej pastwę rzuconym. „Wszystko, co tylko drażliwego, dotkliwego ma w sobie władza wykonawcza administracyi“ — pisał Fredro — „wszystko dziedzic w stosunku do gromady połączył w swej osobie, a dobrodziejstwa, które z dawien dawna wypływały z jego woli i opieki, przeszły w obowiązujące go prawo. Nie wznieciły więc już wdzięczności, ale otwierały pole do nieograniczonych żądań i niezadowolenia. Dotychczas biurokracya zajmowała stanowisko protekcyonalne a szlachta wysuniętą była jak owe iglice, ściągające pioruny. Iglice znikają, ale nie pioruny. W kogo odtąd bić będą? Wielkie pytanie!...“ W ostatecznej konkluzyi swego memoryału

domagał się Fredro: większego, niż dotychczas, udziału Stanów w rządach krajowych, zaprowadzenia polskiego języka w szkołach i w urzędzie, sfolgowania cenzury i uwzględnienia głosu ziemiaństwa przy regulacyi stosunków poddańczych. Na razie zaś doradzał: bezwzględne potępienie gwałtów i bezprawi, popełnionych w lutym, ukaranie podżegaczy, odmawiających włościan od pełnienia powinności poddańczych, tudzież ograniczenia zapomóg, należnych od dziedzica poddanemu do wypadków rzeczywistej potrzeby. Natomiast wskazywał jako źródło zarobku dla ludności, zagrożonej głodem, budowę dróg projektowanych, zakładanie gromadzkich szpichlerzy i kas pożyczkowych, chroniących chłopa od lichwiarskiego wyzysku.

Straszliwe wypadki, jakie się dokonały w zachodnich obwodach — słowa Fredry — oby posłużyły jako pokuta za błędy przeszłości i jako przestroga na przyszłość. Nie uregulowany dotychczas stosunek wszystkich klas społecznych oby w nowym rzeczy porządku występował równiej i silniej, gdyż tylko w jedności tkwi siła. Stronnictwa, powstałe po za sferą rządu centralnego, mogłyby się stać tegoż organami, nie walcząc z sobą, jeno kontrolując się wzajemnie. Pod opieką prawa wszystkie stany znajdą pewne schronienie. Narodowość polska, wyrwana z upokarzającego ją położenia, może czynnie wystąpić w przeznaczonym jej zakresie działania, a biurokracya otwierając swe szereg

krajowcom, zatraci obcy, egoistyczny charakter, pozna kraj, którego rządy przypadły jej w udziale. Jeden duch tylko będzie panował, duch społecznego porządku, który jest zarazem wyrazem najwyższej siły. Kończąc nasze przedstawienie nie możemy przemilczeć jednej uwagi, jakkolwiek takowa zdaje się przekraczać granice naszego zadania. Galicya, kraj, o pięciómilionowej, słowiańskiej ludności, otoczona prowincyami o pokrewnym szczepie mieszkańców, podległemi obcemu berłu, bez siły miejscowej, bez moralnej przewagi, będzie i pozostanie terenem, łatwym do podburzenia i ulegającym rozmaitym wpływom. Ale w razie rozwoju polskiej narodowości Galicya stać się może siłą odporną i przyciągającą, przedmurzem i punktem oparcia dla wielu ludów słowiańskich, podległych berłu austryackiemu!...“

Memoryał Fredry, zawierający tyle cennych poglądów i wskazówek, nie odniósł na razie pożądanego rezultatu. Hrabia Stadyon bawił wprawdzie we Lwowie od pierwszych dni sierpnia aż do końca czterdziestego szóstego roku, słuchał cierpliwie przedkładanych mu skarg i zażaleń, ale jedynym, pozytywnym rezultatem jego misyi było ustanowienie pięćdziesięciu ekspozytur cyrkularnych, które już w roku następnym, jako nieodpowiadające celowi, zwinięto. Już po wyjeździe hrabiego stu siedmiu właścicieli ziemskich w Galicyi podpisało i przesłało na jego ręce obszerny memoryał, zawierający formalne o-

skarzenie biurokracyi tutejszej, jako sprawczyni społecznego rozprzężenia, którego widownią stał się kraj cały po rzezi. Ostry ton tego dokumentu wywołał we Wiedniu silne niezadowolenie. Memoryał zwrócono autorom z słowami nagany oraz zdziwienia, iż poważyli się tak ej treści pismo złożyć u stopni tronu.

Gdy poczucie sprawiedliwości zdawało się zamierać wśród możnych tego świata, podniósł się ku niebu głos bolesnej skargi uciemiężonego narodu. Pod wpływem chwili powstał „Chorał“, wspólne dzieło patryotycznego natchnienia Józefa Nikorowicza, zamieszkałego podówczas w Zboiskach pod Lwowem i przebywającego w tem mieście śpiewaka „Skarg Jeremiego“. Równocześnie nad Sekwaną odlane został ku wiecznej rzeczy pamiątce medal żelazny. Na nim wyrażony u góry orzeł podtrzymuje wstęgę z napisem: *Horrori Exsecrationi univ. gentium.* W pośrodku medalu mieszczą się popiersia Szeli i Metternicha, przedstawione w profilu i uwieńczone orderami. Obok Szeli umieszczono napis: *Austriacorum dux*, obok Metternicha: *Austriae minister ministrissimus.* — W około bieży girlanda z głów trupich, łańcuchów, toporów i tym podobnych godeł złożona. Na girlandzie widnieją trzy tarcze. Na tarczy po prawej stronie istnieje napis, odnoszący się do Metternicha: *Libertatis inimicus, Poloniae, Hungariae, Bohemiae, Italiae, Germaniae opressor.* Na tarczy lewej, po stronie

Szeli, wyryto słowa: *Parricida, Austriacorum instrumentum cum sociis: Krieg, Ferdin. d'Este, Breindl, Berndt, Castiglione, Milbacher.* Dolna tarcza, zawiera wyrazy: *D. O. M. Galiciae civibus iniquis dollo jussu Austr. Imp. a stipendiariis interremptis Febr. MDCCCXLVI.*

We Francyi również wytłoczono zaprojektowany przez Dawida medal w trzech wielkościach. Na jednej stronie medalu widnieje postać kobiety w klasycznym stroju, z frygijską czapką na głowie. U nóg leżą szczątki kajdan. W prawej dzierży owa postać bagnet, którym na stojącej opodal szubienicy kreśli słowa: *Massacres de Galicie (Metternich. Breinl).* Na odwrotnej stronie medalu widzimy miecz i pochodnię, rozdzielone napisem: *La democratie française a fait frappé cette medaille pour livrer les auteurs des massacres de Galicie a l'execration du monde et de la postérité.* Podobnie przedstawia się drugi medal, mniejszych rozmiarów. Na trzecim zaś, najmniejszym, dokoła cepów, wideł, kos i nożów wije się napis: *Smutne wspomnienie bitwy pod Gdowem 26. lutego 1846.*

Medale te są dziś prawdziwą rzadkością nawet w zbiorach publicznych.

Powróćmy wszakże do dziejów czterdziestego szóstego roku. Śledztwo z uwięzionymi uczestnikami lutowego związku postępowało nader wolno i dopiero w kwietniu 1847 roku lwowskie sądy: kryminalny i apelacyjny, zakwalifikowały do przeprowadzenia procesu sześćdziesiąt siedm spraw, podczas gdy w

ośmdziesięciu dwóch wypadkach zażądano jeszcze pewnych uzupełnień i wyjaśnień. W drugiej połowie lipca t. r. znaczna część więźniów otrzymała już ostateczne zatwierdzenie wyroków na dłuższe lub krótsze więzienie. Dwa wyroki opiewały na karę śmierci. Skazani na śmierć przez powieszenie zostali Teofil Wiśniowski i Józef Kapuściński.

Wiśniowski skazany został na śmierć jako winny zbrodni stanu, podczas gdy Kapuścińskiemu zarzucono nadto morderstwo, popełnione w Pilźnie na osobie Markla. Zatwierdzenie wyroków utrzymywano w najściślejszej tajemnicy, skutkiem czego nawet w kołach urzędniczych utrzymywało się przekonanie, że egzekucya nie zostanie wykonaną. W mieście opowiadano sobie, że z skazanego na śmierć proboszcza chochołowskiego, ks. Kmietowicza, nie chciała władza duchowna zdjąć święceń kapłańskich, by nie dopuścić do stracenia osoby, Bogu poświęconej. Jeszcze w dniu 18 lipca, jako w niedzielę, dozwolono na zwykłe odwiedziny więźniów w pokarmelickim gmachu, ale już w dwa dni później przecięto wszelką komunikacyę między więzieniem a miastem. Wiśniowski przeczuwał, co go czeka. Był widocznie wzruszony, głos mu się zmienił, ale niebawem odzyskał dawny spokój ducha.

— „Żegnam was bracia“ — mówił do współwięźniów — „bo mój czas się zbliża. Wspomnijcie czasem o mnie, że żyłem na świe-

cie. Spokojni bądźcie, bo ja już oddawna na to przygotowany".

Tymczasem w mieście obiegały ciągle pogłoski o czytaniu wyroków skazanym, którato ceremonia odbywała się przed gmachem zburzonego w marcu b. r. sądu kryminalnego przy ulicy Batorego. Na terasie przed budynkiem, na rusztowaniu, otoczonem przez wojsko, stawiano skazańców, podczas gdy trybunał ukazywał się na balkonie przyległym do sali posiedzeń, poczem jeden z sędziów odczytywał głośno treść wyroku wraz z motywami.

Tłumy gromadziły się kilkakrotnie przed gmachem sądowym i znów rozchodziły się uspokojone pogłoską, że podążający do Lwowa nowy gubernator, Franciszek hr. Stadyon, przywiezie z sobą amnestyę. Dopiero w środę, dnia dwudziestego ósmego lipca, straże wojskowe zamknęły szczelnie dostęp do gmachu sądowego, wypierając tłoczącą się z wszech stron publiczność aż na plac Bernardyński. Wszystkie okna i balkony w pobliżu zapełniły się w mgnieniu oka.

Pierwszy wyszedł z drzwi więziennych Wiśniowski. W więzieniu wyłysiał, twarz mu obrzękła, wzrok się zamglił; długi wąs ocieniał jego usta. Postępując wśród bagnetów dzwonił kajdanami, którymi na krzyż miał skute ręce i nogi. Lud na widok szlachetnej postaci męczennika wybuchnął głośnym płaczem i łkaniem.

Wiśniowski skłoniwszy się zgromadzonym, z godnością i powagą wysłuchał wyroku, poczem odchodząc zawołał:

— „Żegnam was Polacy!“

Inne było zachowanie się Kapuścińskiego, człowieka w kwiecie wieku, atletycznej postawy, o długiej, jasnej brodzie. Żywe, namiętne jego usposobienie przejawiło się w całej pełni w przededniu śmierci.

— „To fałsz!“ — wołał, gdy odczytano mu zarzut, jakoby brał udział w zamordowaniu Markla i wołał szyderczo, że rząd płacił chłopom za rzeź przez nich sprawioną. Słowom jego przywtórzyła pani Lewitowska, stojąca w oknie jednego z przyległych domów, dodając głośno, że za trupa płacono po dziesięć i piętnaście złotych.

Policya aresztowała ją bezwłocznie, lecz mimo czujności szpiegów, rozstawionych wśród tłumu, malarz Szczęsny Morawski, zdołał naszkicować rysy twarzy obu skazańców, którzy zaraz po wysłuchaniu wyroku jęli się przygotowywać na śmierć przy pomocy księży, odwiezających ich w więzieniu.

Wiśniowski gotował się na tę chwilę z rezygnacyą iście chrześcijańską oraz z spokojem człowieka, który spełniwszy obowiązek, schodzi z tego świata czysty i nieskalany. O pogodzie ducha, niezamąconej grozą haniebnej śmierci, świadczył zarówno list Wiśniowskiego, skreślony już po ogłoszeniu wyroku do żony oraz do najbliższej rodziny, jak niemniej głos jego pożegnalny do ludu,

krążący następnie w licznych odpisach po całym kraju.

— „Ludu polski!“ — pisał w owej odezwie przedśmiertnej Wiśniowski. — „Ludu niewinny przez wrogi twojej ojczyzny haniebnie oszukany, za ich namową przeciw braci twojej podburzany! Ludu Polski! Słuchaj! Głos to ostatni męczennika Twego, który ciebie szczerem sercem umiłował, który dla Ciebie wysilał wszystkie chęci, duszę swoją i który za chwilę pójdzie na śmierć za Ciebie! Ludu mój! Ty z szczerym żalem i ze łzą w oku patrzysz na mnie. Z większem stokroć politowaniem spoglądam na Ciebie, albowiem od tej chwili zbawion jestem, wolny od męczarni. Ale Ty dźwigasz jarzmo niewoli, które dotąd dźwigałeś. Była nas mała garstka Tobie poświęconych, kilku apostołów wiary Twojej. Wiedzieliśmy dobrze, co nas czeka, gdy Tobie przewodniczyć będziemy a jednak z natchnieniem Bożem wstąpiliśmy przed rokiem do Ciebie dla zbawienia Twojego. I przemówiliśmy głosem z pod serca w oblicze Twoje, wzywając do walki z wspólnym wrogiem naszym. Tyś nas zrozumiał, ale nie usłuchałeś, bo przedtem wmówiono w ciebie, żeśmy zguby Twojej pragnęli. I opuściłeś nas wtedy i rzuciłeś się na nas z kosą i z siekierą. Smiało, jak męczennicy Chrystusa nauki, pójdziemy na miejsce tracenia, aby paść ofiarą za ojczyznę naszą. Wam Bracia Moi przebaczamy winę, którą popełniliście bez własnej woli. Przebaczamy wam z serca błędy wasze i rze-

zie okropne i ten chwilowy napad łakomstwa i tę zdradę. I przebaczamy Wam wszystkie złe chęci i złe czyny wasze, a przy wejściu do innego świata prosić będziemy Boga, aby i On wam przebaczył, jak ojciec dzieciom. I wrogom naszym, którzy nas na śmierć prowadzą, przebaczamy, mówiąc: Oni nie wiedzą co czynią..... Ludu Polski! Ty byłeś jak dziecię, igrające na łonie matki i nie miałeś żadnej złej myśli w duszy. Ale oni, wrogi Twoje, wszczepili w Twą niewinność jad kłamstwa i obłudy, pierś Twoją pokalali brudem szpiegostwa i zatruli Twą teraźniejszość i przyszłość, która jak zorza poranna przyświecała nadzieją lepszych czasów.... Jeszcze jedno słowo! Słuchajcie z uwagą bracia moi. Kochajcie się między sobą, jak syny jednej matki, Ojczyzny i złączcie się zgodnem braterstwem, jak się łączą konary dębu. A będziecie silni, jak mąż nieulękniony, jak męczennik polski i stworzycie sobie czynami tę wolność i to szczęście, których od wieków pragniecie. Miejcie więc litość nad sobą sami!"

„Miałbym wam wiele do powiedzenia ale jestem pilnie strzeżony i wiem, że znajdzie się więcej takich, co wam to wszystko szczerze i jasno powiedzą. Za trzy dni przyjdą po mnie, by zaprowadzić pod słup tracenia, na którym ciało moje martwe zawiśnie. Ale duch mój wzniesie się do Boga. Radując się w nim i czuwając nad Wami, pójdę radośnie i mężnie na śmierć. Ażaliż ten, co ginie za sprawę ludzkości, płakać będzie jak zbro-

dniarz? Żegnam Was jeszcze raz! Zegnam Was Rodacy i zaklinam na miłość własnego kraju, na miłość braci, na miłość Boga, nie zapominajcie o Ojczyźnie!“

Tak opiewał testament polityczny wielkiego patryoty, który w obliczu śmierci przebaczył nietylko zbłąkanej, młodszej braci, ale i tym, którzy go powieść mieli na miejsce kaźni.

W dniu trzydziestym lipca przyjął Wiśniowski ostatnie sakramenty. Noc przepędził spokojnie. O godzinie wpół do szóstej rano musiano go zbudzić, gdyż spał snem sprawiedliwego. Ubrawszy się, zażądał, by go zaprowadzono do sali posiedzeń sądowych, gdzie już byli zebrani wszyscy radcy z prezydentem, Wittmanem, na czele. Uczyniono zadość jego życzeniu. Stawiony przed trybunałem, ozwał się w te słowa:

— Panowie! Przyszedłem prosić was o przebaczenie za to, czem was obrazić mogłem, bo ja wam wszystko przebaczam!

Następnie zaś zwrócony do aktuaryusza, Sellyeya, dodał:

— Tobie to mam podziękować, że idę pod szubienicę, lecz i tobie przebaczam!

Głuche milczenie zaległo salę, którą Wiśniowski, brzęcząc kajdanami, opuszczał.

Na ulicy Batorego już od świtu ustawiono wojsko, kupiły się tłumy ludu. Nagle o godzinie szóstej rozległy się głosy komendy, zahuczały bębny i kolumny żołnierzy uszykowały się do pochodu, opuszczając zajmowane

stanowiska. Wówczas dopiero lud domyślił się, iż skazanych wywieziono z dziedzińca kryminalnego tylną furtą, wiodącą na plac Bernardyński. Wieziono ich wzdłuż wałów i przez krakowskie przedmieście na górę tracenia, wojskiem otoczoną. Z okien otwartych rzucały kobiety po drodze kwiaty na wózek skazańców. Wiśniowski zginął z okrzykiem:

— Niech żyje Polska!

Przywtórzył mu Kapuściński, wołając:

— Bracia! Nie dajcie się odstraszyć śmiercią mo... — reszty już nie domówił.

Do wieczora ciała straconych wisiały na szubienicy. Rysy ich twarzy nie uległy żadnej zmianie. Ukradkiem tylko przybywali pod górę tracenia patryoci, by pomodlić się za duszę męczenników a nie brakło wśród nich i żydów. Wieczorem zdjęto ciała z szubienicy i wrzucono do przygotowanego na wzgórzu dołu, napełnionego niegaszonem wapnem. W tydzień dopiero po egzekucyi pospieszył liczny zastęp mieszkańców na górę tracenia, by uczcić pamięć męczenników wspólną modlitwą. Wojsko rozpędziło zebranych. Toż samo w dniu 26 kwietnia 1848 roku zniszczyło wojsko przygotowany już w tem miejscu celem odprawy nabożeństwa żałobnego ołtarz. Natomiast pierwsza rocznica stracenia Wiśniowskiego oraz Kapuścińskiego święconą była uroczyście w całym kraju. Miejsca kaźni strzegła od rana gwardya narodowa. Tłumy ludności wśród najgłębszej ciszy i skupienia ducha spieszyły na górę tracenia, zasypując

szczyt wzgórza stosem wieńców i kwiatów. Podniesiono już wówczas myśl wmurowania tablicy pamiątkowej w ścianę Dominikańskiego kościoła, w której to świątyni odprawiono za duszę straconych żałobne nabożeństwo. Dopiero wszakże w lipcu 1895 roku stanął na górze tracenia skromny obelisk z orłem polskim u szczytu i z odpowiednim napisem, wzniesiony staraniem lwowskiego mieszczaństwa.

Równocześnie z straceniem Wiśniowskiego oraz Kapuścińskiego zaczęto wywozić ze Lwowa skazanych na dłuższe lub krótsze więzienie patryotów do wznoszącego się nad Bernem więzienia, Spielbergu, przezwanego przez polskich więźniów Grajgórą. Skazańców zakutych w kajdany, wywożono zazwyczaj w nocy, lub wczesnym rankiem ze Lwowa, w pocztowych wozach, szczelnie zamkniętych i strzeżonych przez żołnierzy z nabitą bronią. Osadzonych w Grajgórze polskich więźniów było około stu pięćdziesięciu rozmaitego wieku, stanu i zawodu. Byli w tem gronie i przedstawiciele rodowej arystokracyi, ziemianie, prawnicy, księża i chłopi, siwowłosi starcy i wyrostki, porwani z ław szkolnych. Na pomieszczenie Polaków przeznaczono osobny pawilon od strony dzisiejszej Thalgasse, w którym doczekali się więźniowie amnestyi z chwilą wybuchu rewolucyi marcowej czterdziestego ósmego roku.

Na rok już przedtem pamiętne rzezią obwody zachodnio-galicyjskie dotknął palec

Bożego gniewu. Obok zgliszczów pańskich dworów opuszczone chaty, pola nieuprawne, trupy zmarłych z głodu włościan, porzucone bez pogrzebu przy drodze, zwiastowały straszliwą klęskę, jaka dotknęła tę część kraju. Nieurodzaj, głód i tyfus trapiły ludność wiejską. Wygłodzeni chłopi cisnęli się do miast, gdzie mimo prywatnej dobroczynności i zupy rumforckiej, rozdawanej bezpłatnie, ginęli marnie pod progami domostw. Obok zwłok matki znajdowano nierzadko trupy zmarłych z głodu dzieci. Zdarzały się nawet wypadki, iż matki własne dzieci zjadały. Brat starszy zabijał młodszego, rąbał na kawały i pożerał na pół surowego. — A jednak w łachmanach ofiar głodu znajdowano czasami znaczniejsze sumy pieniężne, pochodzące najprawdopodobniej z czasów rabacyi. Chciwość, czy też wyrzuty sumienia, były powodem, iż posiadacze tych pieniędzy przekładali śmierć głodową nad naruszenie gotowizny? — Któż dziś rozwiąże owe zagadnienie?...

W ślad za głodem i tyfusem przyszła cholera, która również najwięcej porwała ofiar w stronach rzezią splamionych. Lud wiejski głośno mówił o karze Bożej, dotykającej hersztów rabacyi i tłumnie garnął się na misye, jakie zaraz z wiosną czterdziestego szóstego roku ogłosili Ojcowie Jezuici w zachodnich obwodach galicyjskich.

Wśród misyonarzy, wyprawionych w Sądeckie i w Bocheńskie, porywającą wymową, pobożnością i nadziemskiem, rzec można, na-

tchnieniem wyróżniał się ksiądz Karol Antoniewicz. Ten kapłan-poeta, który, straciwszy wszystko, co na ziemi ukochał, resztę dni żywota poświęcił Bogu, szedł nieustraszony między czerń, dopieroco krwią bratnią zmazaną, nawracając ją na drogę wiary i pokuty. Lud zachowywał się zrazu niechętnie wobec misyonarzy, gdyż nieznani sprawcy rozpuszczali między chłopstwem pogłoski, że księża są przekupieni przez szlachtę, że truć będą sprawców rzezi podczas komunii i tym podobne baśnie.

Niezrażeni początkową nieufnością i obojętnością włościan, zapuszczali się misyonarze corazto dalej w góry, każąc i katechizując pod gołem niebem. Skutek ich działalności był niemal cudowny. Ci, na których ciężyła krew szlachecka, tłoczyli się do konfesyonałów, wyznawali swe zbrodnie, zwracając nawet zrabowane rzeczy, o ile takowe już przedtem nie przeszły w ręce żydowskie. Przeważna część uczestników rzezi, zapytywana o powód popełnienia zbrodni, nie znajdowała innej odpowiedzi nad słowa: „Sam nie wiem, co mi się stało“.

„Oj księże“ — mówił Antoniewiczowi niejeden stary chłop — „tyle lat człowiek przeżył, a nikomu żadnej krzywdy nie uczynił, a teraz przed śmiercią takiemi zbrodniami trzeba mi było obciążyć sumienie“.

„Oj“ — mówili drudzy — „toż to my nieraz na przednowku z głodu umierali, a niech

nam pokażą, kiedyśmy pańskie stodoły rabowali!“

Inni znów w chwili skruchy zapytywani o pobudki swych krwawych czynów, odpowiadali: „Ja nie wiem, ale, żeby mi kazano było ojca własnego zabić, byłbym to uczynił“.

„Czy podobna“ — pisze ksiądz Antoniewicz w swych „Wspomnieniach misyjnych“ — aby ten lud tak skruszony, starty, korzący się przed Bogiem, był tym ludem, który przed paru miesiącami broczył w krwi bratniej, znieważał i bluźnił Boga swego. Co go w jednej chwili tak złym uczyniło? Cóż go tak prędko do poznania winy swojej i upamiętania przywiodło? Pierwszego złość ludzka, ludu za narzędzie ślepe używając, drugiego miłosierdzie Boskie było przyczyną. O, sąd ostateczny okropne światu odkryje tajemnice!...“

Gdy korzył się lud wiejski, ślepe narzędzie zbrodniczych rąk, przed Panem Zastępów, hersztowie rzezi trwali w swem zaślepieniu Tem ciężej przeto dotknął ich gniew Boży. W ich rzędzie pierwsza wzmianka należy się Szeli. Zrazu przebywał on w Tarnowie pod szczególniejszą opieką Breinla i tamtejszej biurokracyi, za której staraniem otrzymał w dniu 5 sierpnia t. z. złoty medal honorowy, przeznaczony dla „dobrze zasłużonych...“ W końcu jednak postanowiono się pozbyć niewygodnego świadka i przesiedlono go wraz z całą rodziną na Bukowinę. W dobrach rządowych Sołce, między wsiami Glitt i Lichtenberg,

osiadłemi przez zamożnych kolonistów niemieckich, wyznaczono Szeli znaczną przestrzeń gruntu wraz z odpowiednim dobytkiem. Ale nie wiodło się jakoś hersztowi rzezi wśród Niemców, którzy nie chcieli z nim żadnych utrzymywać stosunków, zwąc przybysza: *Raüberkönig*, *Brüdermörder* i tym podobnemi przezwiskami. Od czasu do czasu, zazwyczaj w rocznicę rzezi, zjawiali się u Szeli nieproszeni goście, ludzie nieznani przybywający do Sołki pod rozmaitymi pozorami. Bili oni starego bez litości, poczem przepadali bez śladu. Szela, odepchnięty od wszystkich, rozpił się pod koniec życia i zginął podobno nienaturalną śmiercią. Mienie Szelów zmarniało. Lat temu dziesiątek, na cząstce ich dawnego gruntu siedział jeszcze wnuk Szeli, wstrętny karzeł o przełamanym nosie i pokręconych nogach, który podobnie jak dziad i ojciec, w najokropniejszej u sąsiadów pozostawał pogardzie.

Nie długo też popasał w Tarnowie wspólnik Szeli, starosta Józef Breinl, który w połowie lipca czterdziestego szóstego roku przeniesiony został do rządu gubernialnego w Bernie. Dalsze losy tarnowskiego starosty nie są niestety znane.

Wśród ziemian tarnowskich krąży wszakże po dziś dzień podanie, w myśl którego Breinl, towarzyszący w charakterze komisarza cywilnego armii Radeckiego we Włoszech, schwytany w roku 1849 przez legionistów polskich, walczących pod sztandarami Karola

Alberta i poznany przez kogoś jako sprawca rzezi tarnowskiej, powieszony został na najbliższem drzewie. Jeżeli prawdziwą jest ta opowieść, to godny koniec spotkał tego zbrodniarza. Z pomocników Breinla, Chomiński dosłużył się wpływowego stanowiska dyrektora policyi lwowskiej, które zajmował w czasie dziesięciolecia reakcyjnych rządów Bacha. Gorzej natomiast powiodło się Kamieniobrodzkiemu, który skończył w szpitalu. Agenor Gołuchowski, już jako namiestnik Galicyi, zwiedzając Tarnów, wstąpił do tamtejszego szpitala, gdzie umieszczony Kamieniobrodzki żalił się gorzko z powodu niewdzięczności rządu, który go na stare lata opuścił. Skarg tych wysłuchał cierpliwie namiestnik i spojrzawszy znacząco na towarzyszących mu przedstawicieli władzy autonomicznej, ozwał się do chorego w te słowa:

— Jeżeli tu nie otrzymałeś zapłaty za swe czyny, znajdziesz ją niewątpliwie na drugim świecie!...

. . . . . .

Pół wieku minęło od pamiętnej doby, rzezi, która bolesnem, lecz koniecznem doświadczeniem wzbogaciła zmysł polityczny polskiego społeczeństwa. Jeżeli bowiem rewolucya lutowa była nietylko poprzedniczką, ale i matką wolnościowego ruchu w roku czterdziestym ósmym, to zarazem wskazała ona naszym mężom stanu cel wielki, na którego ziszczenie lat rzetelnej pracy potrzeba: *Wszystko dla ludu, ale przez lud!..*

VI.

Liczba ogólna ofiar rzezi lutowej, pozostanie dla potomności nierozwiązaną zagadką. Podczas gdy Sacher-Masoch, autor bezimiennie wydanego dzieła p. t. *Polnische Revolutionen*, utrzymuje, iż w samym tylko cyrkule tarnowskim zginęło wówczas do czterech tysięcy osób, twierdzi Maurycy br. Sala w twej książce p. t.: *Geschichte des polnischen Aufstandes vom Jahre 1846.*, pracy, opartej na źródłach urzędowych, iż liczba ofiar rzezi we wszystkich obwodach, nawiedzonych rabacyą, wyniosła zaledwo 224 osób, z czego na cyrkuł tarnowski przypadłoby 146 zabitych od chłopskich razów. Jak jedna, tak druga cyfra nie wydaje się nam prawdopodobną i chętniej wierzymy relacyi zamieszkałego w Wietrznie, w Jasielskiem, Walentego Chłędowskiego, który w liście, pisanym do przyjaciela z końcem kwietnia 1846 roku, liczył do ośmiuset ofiar rabacyi w cyrkułach tarnowskim i bocheńskim a trzydzieści kilka w obwodzie jasielskim.

Bezpośrednio po rzezi, bo w maju 1846 roku ukazała się w Strasburgu u G. Silbermanna pierwsza, imienna lista zamordowanych w Galicyi osób, wytłoczona na półarkuszu wielkiego, czwórkowego formatu i zaopatrzona wymowną dewizą: *Hodie mihi, cras tibi.* W środku tego napisu widnieje godło śmierci, trupia czaszka, oparta na piszczelach, na krzyż złożonych.

Pod napisem łacińskim czytamy w języku francuskim co następuje:

„Lista imienna i alfabetyczna
właścicieli dóbr ziemskich oraz ich rodzin, zabitych podczas rzezi galicyjskiej

za poduszczeniem urzędników rządu austryackiego a mianowicie naczelnika obwodu tarnowskiego, Breindla, przywiedzionej do skutku i przygotowanej przez żydów, z handlarzem wódki, Luksemburgem na czele, wykonanej przez chłopa Szelę, wypuszczonego *ad hoc* na wolność a pod rozkazami pułkownika Benedeka".

„Lista ta, sporządzona na miejscu, obejmuje tylko nazwiska właścicieli ziemskich, o których zgonie mamy pewne wiadomości. Są jeszcze inni, których losu ostatecznego nie znamy, gdyż wielu z nich zginęło i zostało pochowanych podczas rzezi a świadkowie tych strasznych wypadków, wtrąceni do więzienia, nie mogą dać o nich pewnych relacyi. Nie wymieniamy rodzaju śmierci ofiar. Dość powiedzieć, że wszyscy zginęli śmiercią gwałtowną, męczeńską, w sposób najbardziej okrutny. Podamy później spis księży, których liczba dochodzi do **stu**, równie jak urzędników gospodarskich, służby a nawet chłopów, padłych ofiarą krwawej rzezi. Aż do dnia dzisiejszego, (początek maja 1846 r.), niepodobna było dowiedzieć się o wszystkich nazwiskach, lecz liczba tych nieszczęśliwych, dotychczas wiadoma wynosi **1484** osób, tak padłych na miejscu, jak zawleczonych do szpitala, gdzie zakończyły nędznie żywot".

Następuje spis, obejmujący 162 nazwiska.

Aczkiewicz
Bogusz (ojciec)
Bogusz Stanisław
Bogusz Wiktor

Bogusz Nikodem
Bogusz (chłopak)
Bobrowski Adolf
Bzowski Włodzimierz
Broniewski Teodor
Broniewski Jan
Brześciański Franciszek
Białobrzeski Piotr
Bieleński
Bieliński
Baranowski Ludwik
Baranowski (ojciec)
Baranowski (syn)
Bełdowski
Baltazińska z Płoszyńskich
Bobrownicki Józef
Broniewski Feliks
Breliński Adalbert
Chrząstowski Aleksander
Chrząstowski Edward
Dembicki Mieczysław
Dembiński Eliasz
Dembiński Aleksander
Dzwonkowski Jan
Dulęba Józef
Denker (ojciec)
Denker (syn)
Dąmbski Dominik
Danker (ojciec)
Danker } synowie
Danker }
Eisenbach Józef (ojciec)
Eisenbach Józef (syn)
Fox
Fox Władysław
Fux (ojciec)
Fux (syn)
Garlicki Roman
Gołuchowski (ojciec)
Gołuchowski (syn)

Gruszczyński
Gepert
Grünfeld
Gurski Jan
Gurski Kazimierz
Horodyski Antoni
Hadyski
Jastrzembski Bonawentura
Jakubowski
Janikowski
Ihas
Ihasowa
Kalita Adam
Kierwiński
Kotarski Karol
Konopka Prosper
Komorowski Władysław
Kłobukowski Stanisław
Kamiński Roman
Karpiński
Klein
Kępiński Henryk
Kępińska z hr. Dębickich
Kępiński Mieczysław
Kruczkiewicz
Litwiński Aleksander
Litwiński (brat)
Lubieniecki
Łazowski (ojciec)
Łazowski (syn)
Łazowski Erazm (syn)
Łobaszewski Tomasz
Łobaszewski Ludwik
Łobaszewski Leon
Marynowski Tadeusz
Marynowski (syn)
Małecki
Małecka
Morska
Morski (syn)

Morski (syn)
Nemeski Floryan
Nemeski Julian (syn)
Nidecki Ludwik
Nowak
Olszański
Oraczewski (ojciec)
Oraczewski (syn)
Pohorecki Adam
Pokusiński Józef
Pomiankowski (ojciec)
Piankowski
Pucharecki
Psarski
Przetocki z Kowalowa
Przetocki (ojciec)
Przetocki (syn)
Pierzchała
Rydel Feliks
Rydel Józef
Rydel Antoni
Rydel Mikołaj
Rydel (syn)
Rucki
Ramułt
Rużycki
Rużycki (syn)
Rey Dominik
Sroczyński Ferdynand
Sroczyński Michał (syn)
Starzyński Bronisław
Siedlecki (syn)
Siedlecki (ojciec)
Słotwiński Konstanty
Słotwiński (syn)
Stronczak
Stojowski
Stojowski (brat)
Sokulski
Sobolewski

Sęk Aleksander
Świderski
Świderska
Stasiewicz
Strzyżewski
Stradomski Jan
Strzelecki
Szter
Skałkowski
Szumowski
Sętkowska z Kłodzińskich
Skulski
Sawicki
Sieklowski
Terlecki
Terlecki
Tetmajer Antoni
Wolski Onufry
Wolska
Wolski Maksymilian
Wolski Ksawery
Weber (ojciec)
Weber (syn)
Winogrodzki
Wilczyński
Wiesiołowski (ojciec)
Włyński Adam
Zabierzewski Ignacy
Zabiszewski
Zawadzki
Żuchowski Stanisław
Żuchowski (syn)
Żuchowski (syn)
Zieliński
Zaplatalski
Żurowski Marcin
Żeliński Marcyan
Zdziński Aleksander.

Obszerniejszą od strasburgskiej jest wydana w dwa lata później, w maju 1848 roku, lista ofiar rzezi. Zamieścił ją wydawany w owym czasie w Krakowie przez Miłkowskiego i Sorga *Orzeł Biały*. w numerach: czwartym, piątym i szóstym. Lista krakowska obejmuje 309 nazwisk, a mianowicie:

1. Aczkiewicz Hipolit, dziedzic części Radgoszczy.
2. Baltazińska z domu Płoszyńska.
3. Baranowski Franciszek, posesor Niedźwiady.
4. Baranowski } synowie.
5. Baranowski }
6. Baranowski Ludwik, dziedzic Świeżej.
7. Bełdowski Józef, oficyalista pryw.
8. Bernhard, mandataryusz w Wiewiórce.
9. Białobrzeski Piotr, b. pułkownik wojsk polskich.
10. Bielański, rządca Weryni.
11. Bielecki Tomasz.
12. Bętkowski, posesor Siedlisk.
13. Biliński, b. rotmistrz ułanów austr.
14. Biliński, posesor Żarówki.
15. Bobrowicz, posesor Małej.
16. Bobrownicki Józef, dziedzic Dobrkowa.
17. Bobrowski Adolf, posesor Łąk.
18. Binduchowski, ekonom Nizin.
19. Bogusławski, emigrant.
20. Bogusz Stanisław, dziedzic Siedlisk.
21. Bogusz Wiktor.
22. Bogusz Stanisław, dziedzic Rzędzianowic (syn).
23. Bogusz Nikodem, dziedzic Smarzowej (syn).
24. Bogusz Tytus, syn dziedzica Lubacza.
25. Bogusz Włodzimierz (wnuk).
26. Bogusz Krzysztof, dziedzic Olszowy.
27. Bogusz Feliks (syn).
28. Broniewski Feliks, posesor części Radgoszczy.
29. Breliński Wojciech.
30. Broniewski Teodor, dziedzic Zgórska.
31. Broniewski Jan.
32. Brześciański, posesor Wojnarowej.

33. Brzeziński, rządca Dąbrowej.
34. Bzowski Włodzimierz, dziedzic Wiercan.
35. Chłędowski Adolf.
36. Chrząstowski Aleksander, } dziedzice
37. Chrząstowski Edward, } Szczepanowic.
38. Ciećkiewicz, ksiądz w Plesny.
39. Czernikowski, posesor.
40. Czyżewski Teodor, aktuaryusz.
41. Dembicki hr. Mieczysław.
42. Dąmbski Dominik, dziedzic Drogini.
43. Dembiński Eliasz, posesor Chojnika.
44. Dembiński Aleksander, posesor Gromnika.
45. Denker Fryderyk, dziedzic Gogołowa.
46. Denker Erazm, syn.
47. Dreziński Tomasz, leśniczy w Bruśniku.
48. Dulemba Józef, b. oficer wojsk polskich.
49. Dydyński, dziedzic Boczowa.
50. Dzieślewski.
51. Dziwulski Kajetan.
52. Dzwonkowski Ignacy, dziedzic Gromnika.
53. Eisenbach Józef, dziedzic Plesny.
54. Eisenbach Józef (syn).
55. Filipowicz Aleksander, ekonom w Wiewiórce.
56. Fox.
57. Fox Władysław, posesor Borowej.
58. Franczykowski, ekonom w Giełdzie. (?)
59. Fuchs Józef, posesor Kądzielny. (?)
60. Fuchs Gustaw (syn).
61. Fuchs Jan, brat Józefa.
62. Golan Jan, rządca w Biskupicach.
63. Garlicki Roman, posesor Rudy.
64. Gawrzycki, mandataryusz w Zassowie.
65. Geppert Józef, dziedzic Ziępmniowa.
66. Gołkowski Ignacy, syn urzędnika z Krakowa.
67. Gołuchowski Ludwik, dziedzic Szczucina.
68. Gostkowski, syn dziedzica Witowic.
69. Grabczyński Jan, dziedzic części Jasiennej.
70. Gruszczyński (ciemny), w Broniszowie.
71. Grünfeld.
72. Grzywiński, mandataryusz w Bolesławiu.

73. Górski Jan, posesor Partynia.
74. Górski Kazimierz, posesor Lichwina.
75. Górski Leon, ekonom.
76. Gumiński Feliks, posesor Gorzejowej.
77. Gunia Józef, aktuaryusz.
78. Hadyski.
79. Halski, ekonom w Zgórsku.
80. Harniewicz, dziedzic części Radgoszczy.
81. Harniewicz Wincenty (syn).
82. Hassler Leopold, nadleśniczy w Zassowie.
83. Horodyński Antoni, posesor Wesołowa.
84. Horzejski Jan.
85. Hoszowski Józef, posesor w Pstrągowej.
86. Hupczyc, leśniczy.
87. Jackowski, ekonom Szufnarowy.
88. Ihas, posesor Łączek.
89. Ihasowa, jego żona.
90. Jakubowski, ekonom.
91. Janikowski, kotlarz w Pilźnie.
92. Janowski, pisarz.
93. Jastrzembski Bonawentura, dziedzic Uniszowej.
94. Jaworski Karol, mandataryusz.
95. Jaworski, mandataryusz w Machowej.
96. Iskrewicz, ekonom.
97. Kalita, mandataryusz z Siedlisk.
98. Kamieński Jakób, posesor Kamienicy.
99. Kamieński, dziedzic Parkosza.
100. Kamieński, dziedzic Ołupin (Ołpin).
101. Karpiński Feliks, posesor Braciejowej.
102. Kalita Adam.
103. Kępiński, dziedzic Pierzchowa.
104. Kępińska z hr. Dembickich.
105. Kępiński Mieczysław.
106. Kierwiński Józef, posesor Górek.
107. Klein, posesor Siedlisk.
108. Kleczkowski, mandataryusz.
109. Klepka Piotr.
110. Kłobukowski Stanisław, posesor.
111. Komorowski Władysław.
112. Konopka br. Prosper.

113. Kosiński, mandataryusz w Zgórsku.
114. Kosowski, leśniczy.
115. Kościelewski, ekonom w Wiercanach.
116. Kotarski Karol, dziedzic Olesna.
117. Kozłowski Stanisław.
118. Krajewski Karol.
119. Krulicki.
120. Krupski, leśniczy.
121. Kruczkiewicz.
122. Krzeczowski Jędrzej, posesor Lichwina.
123. Kuta, mandataryusz w Borowej.
124. Kularski Wojciech, organista.
125. Kulczycki, ekonom z Dobrkowa.
126. Lewicki, doktor w Zakluczynie.
127. Linderski Jan.
128. Litwiński Aleksander.
129. Litwiński (brat).
130. Litwiński Stanisław, dziedzic Zawadki.
131. Litwiński Kasper, brat.
132. Lubieniecki.
133. Łazowski (ojciec),
134. Łazowski Edmund, b. oficer w. p.
135. Łazowski Aleksander.
136. Łazowski Józef.
137. Łazowski Henryk.
138. Łobarzewski Maciej.
139. Łobarzewski Leon, posesor Czermny.
140. Łobarzewski Tomasz.
141. Łobarzewski Ludwik.
142. Marek Jan, aktuaryusz.
143. Maliszewski, leśniczy.
144. Małecki Feliks, dziedzic Ujścia.
145. Małecka, jego żona.
146. Marynowski Tadeusz, dziedzic Wolicy.
147. Marynowski Nikodem (syn).
148. Mattner Jan, aktuaryusz.
149. Mąkarski, gorzelnik.
150. Merski, rządca Jodłowej.
151. Miln, mandataryusz z Raciechowic.
152. Mike, murarz z Baranowa.

153. Miske, ekonom w Wielopolu.
154. Morski (ojciec).
155. Morska Pelagia, jego żona.
156. Morski Aleksy, dziedzic Latoszyna (syn).
157. Morski Stanisław, dziedzic Brzezin (syn).
158. Mroczkowski, ekonom.
159. Niemeski Floryan, dziedzic Krowodrzy.
160. Niemeski Julian (syn).
161. Niesiołowski.
162. Nidecki Ludwik, posesor Brzezin.
163. Nowak, posesor Parkosza.
164. Ochocki Józef.
165. Olszański, posesor Głobikowej.
166. Oraczewski Stanisław.
167. Oraczewski (syn).
168. Ostrowski Wincenty, mandataryusz.
169. Ostrowski Michał, ekonom w Baranowie.
170. Pankiewicz.
171. Piasecki Antoni, architekt.
172. Pilecki, rachmistrz w Zakluczynie.
173. Pieściński, posesor Gorzejowej.
174. Pierzchała, dziedzic części Gogołowa.
175. Pietrzycki Józef, dziedzic Głobikowej.
176. Pomiankowski, mandataryusz.
177. Przetocki Julian.
178. Przetocki Edward.
179. Przetocki Kryspin, dziedzic Kowalowa.
180. Przyłecki Stanisław, ogrodnik.
181. Pohorecki Adam, właściciel Gorzejowej.
182. Psarski Adam, leśniczy w Gruszowie.
183. Psarski Michał, posesor w Dulczy.
184. Rachwał Wincenty, policyant.
185. Raczyński, posesor Wróblowic.
186. Raczyński Franciszek, leśniczy.
187. Ramułt Samuel, posesor.
188. Rej Dominik hr., dziedzic Przecławia.
189. Ring August, leśniczy.
190. Roskoszny Henryk, posesor.
191. Rożen Włodzimierz.
192. Rożen Artur.

193. Różycki Aleksander, dziedzic Burzyna.
194. Różycki Roman (syn).
195. Rydel Antoni.
196. Rydel Mikołaj.
197. Rydel Feliks.
198. Rydel Józef.
199. Rydel, syn Mikołaja.
200. Rydel, guwerner w Zgórsku.
201. Rylski, dziedzic Gorzkowa.
202. Rzątkowski, rządca Przecławia.
203. Rzedzki Alojzy.
204. Rzuchowski Stanisław, dziedzic Dulczy.
205. Rzuchowski Edmund } synowie.
206. Rzuchowski Henryk }
207. Sadowski, mandataryusz.
208. Sawicki Ignacy, dziedzic części Radgoszcza.
209. Sęk Aleksander, dziedzic Słotowej.
210. Setkowska.
211. Schlosser, mandataryusz.
212. Sieklowski.
213. Siedlecki Antoni, posesor.
214. Siedlecki Józef (syn).
215. Siedlikowski Karol.
216. Sikorski Maurycy.
217. Skibiński.
218. Skałkowski, guwerner.
219. Skowroński Konstanty,
220. Sławiński Józef, ekonom.
221. Sołtysek Seweryn, dziedzic części Radgoszcza.
222. Sokulski, posesor Woli Żurakowskiej.
223. Sokulski, posesor Podgrodzia.
224. Sroczyński, dziedzic Bolesławia.
225. Stawicki, ksiądz z Dobrkowa.
226. Stawicka (siostra).
227. Stankiewicz, ekonom w Partyniu.
228. Starzyński hr. Aleksander, dziedzic Sieradzy.
229. Stański Stanisław, dziedzic Chomerańca.
230. Stetkiewicz, dziedzic części Pstrągowej.
231. Störer, posesor Nizin.
232. Schöpfner, leśniczy.

233. Stokłosiński, ekonom.
234. Stojowski Ksawery.
235. Stojowski Aleksander, dziedzic Brzezin.
236. Starzyński Bronisław.
237. Smoliński.
238. Sobolewski.
239. Stradomski Jan.
240. Strzelecki.
241. Słotwiński Konstanty, dziedzic Głobikowej.
242. Strzyżewski Feliks, posesor Woli Szczucińskiej.
243. Strasiewicz Józef, ekonom w Wiewiórce.
244. Strończak, posesor Brzezin.
245. Surowy Wojciech, karbownik.
246. Świderski. posesor Pustkowa.
247. Świderska (żona).
248. Szlagórski, rządca w Dembicy.
249. Szlaski.
250. Szumlański, posesor Wielopola.
251. Szybist.
252. Tabaczyński Filip, posesor.
253. Tarasiewicz Eliasz, mandataryusz.
254. Talarek.
255. Telesiński Antoni.
256. Telesiński (syn).
257. Terlecki Jędrzej.
258. Terlecki Nepomucen (syn).
259. Terleski.
260. Tetmajer Antoni.
261. Traczewski, gorzelnik.
262. Tomczyński Erazm, mandataryusz.
263. Towarnicki Karol, ekonom.
264. Trembecki Aleksander, dziedzic Gwoździca.
265. Trauser, leśniczy.
266. Truty, ksiądz.
267. Turski, ksiądz.
268. Tymowski, syn dziedzica części Pstrągowej.
269. Uhma, posesor.
270. Walkowski, ekonom.
271. Weber, dziedzic Budzynia.
272. Weber, posesor.

273. Wesołowski, dziedzic Kempanowa.
274. Weihinger, aktuaryusz.
275. Wieczorowski Ignacy.
276. Wicki Wilhelm.
277. Wiesiołowski hr., dziedzic Wojsławia.
278. Wilczyński.
279. Wimpler Karol.
280. Winogrodzki.
281. Włyński Adam.
282. Wojcicki Michał.
283. Wojnarowicz Leon.
284. Wojcicki, leśniczy.
285. Wojciechowski, mandataryusz.
286. Winnicki Antoni.
287. Wodziejski, ekonom.
288. Wolski Maksymilian, dziedzic Bonarówki.
289. Wolski Ksawery, justycyaryusz w Dembicy.
290. Wolski Onufry.
291. Wolska (jego żona).
292. Wnuk Wincenty, ekonom.
293. Wontorski.
294. Wyszewski Paweł, ekonom.
295. Wyszyński, administrator w Dembicy.
296. Zaremba, ekonom w Lipnicach.
297. Zehak Wacław, leśniczy w Zasowie.
298. Zawadzki.
299. Zabierzewski Ignacy, dziedzic Gorzejowej.
300. Zaplatalski.
301. Żelichowski Daniel, dziedzic Jaworska.
302. Zdziański, dziedzic Wilkowic.
303. Zdzieński Stanisław, dziedzic Lipniczej.
304. Zdzieński Aleksander, dziedzic części Czarnej.
305. Żeleński hr., dziedzic Grodkowic.
306. Zieliński, dziedzic Kossówki.
307. Zubek rządca.
308. Żurowski Marcin, dziedzic Woli Żurakowskiej.
309. Żychowicz Aleksander, gorzelnik w Zgórsku.

* * *

Wykaz powyższy kończy redakcya *Orła Białego* następującym czterowierszem:

Cześć Wam o Bracia — Męczenników chwała
Z pamięcią Waszą na wieki się łączy:
Zaciera głazów napisy czas rączy,
Ale krwi nigdy — co się za kraj lała!

Prócz obu tych list drukowanych, znanym jest nam również wykaz ofiar rzezi, zamieszczony w rękopisie Antoniego Tessarczyka p. t Rzeź Galicyjska, złożonym w zbiorach Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie *). Wykaz ten obejmuje 392 pozycye:

1.	Niemyski Floryan, dziedzic,	Karwodrza
2.	Niemyski Juliusz (syn)	„
3.	tegoż kucharz	„
4.	„ służący	„
5.	„ służący	„
6.	Różycki Aleksander, dziedzic,	Burzyn
7.	Różycki Roman (syn)	„
8.	Somorski	„
9.	Ekonom	„
10.	Służący	„
11.	Strzałkowski, nauczyciel	„
12.	tegoż sługa	„
13.	Jastrzębski, dziedzic,	Uniszowa
14.	Sokołowski, leśniczy	„
15.	Jastrzębskiego wójt	„
16.	Kicki	„
17.	Malinowski, rolnik	„
18.	Stańczykiewicz Ludwik, ekonom,	Ryglice
19.	Oświeczymski, szewc	„
20.	Musil, szewc	„
21.	Sozański Jan, ekonom,	Joniny
22.	Przetocki Julian, dziedzic,	Kowalowa
23.	Przetocki Kryspin	„
24.	sługa	„

*) Rękopis l. 1868. k. 176—178.

25. Jakubowski, posesor, Zalasowa
26. Bętkowski, posesor, Siedliska
27. Dębiński Eliasz, posesor Chojnik
28. Dębiński Aleksander, posesor „
29. Dzwonkowski, b. wojskowy „
30. Dilmajer „
31. Jaworski Karol, mandataryusz, Siemiechów
32. Talarek, aktuaryusz „
33. Teleziński, aktuaryusz „
34. Miktusiński, aktuaryusz „
35. Nieznajomy, ekonom „
36. Nieznajomy, obywatel „
37. Nieznajomy, obywatel „
38. Zawadzki Jan, dziedzic części Lichwin
39. Krzeczkowski Jędrzej, dziedzic części „
40. Gorski Kazimierz, posesor „
41. Bojarski Jan „
42. Gorskiego kucharz „
43. Grzytowski, nieznajomy „
44. Eisenbach, dziedzic części Rychwałd
45. Czerkiewicz, proboszcz Pleśna
46. Bobrowski Adolf, posesor Łęki Dolne
47. Krupek Ludwik, mieszczanin Pilzno
48. Pędracki Kazimierz, nieznajomy „
49. Bogusz Stanisław, dziedzic Rzędzianowice
50. Gałecki, wikary Dobrków
51. Piasecki Antoni, ekonom „
52. Jaworski, mandataryusz Machowa
53. Żurowski M., dziedzic Łysakowska Wola
54. Wolski Onufry Głowaczowa
55. tegoż żona „
56. „ dziecko jednoroczne „
57. Tomczyński Erazm Strzegocice
58. Waal Józef, ekonom „
59. Średniawski, ekonom Machowa
60. Wencel, leśniczy „
61. Szumański, ekonom Czerna
62. Zaręba Jan, ekonom Szyżyny
63. Olszewski Piotr, ekonom Łęki Dolne

64. Wyszyński Paweł, ekonom Bobrowa
65. Cieciołowski Rajmund, pisarz „
66. Michlik Feliks, sołtys Dulczówka
67. Zastowski Józef, poborca Słupie
68. Sek Aleksander, dziedzic Słotowa
69. Nieznajomy, rolnik Borowa
70. Słaboś Wawrzyniec, polowy Dąbie
71. Nieznajomy.
72. Psarski Michał, posesor Dulcza Mała
73. Rzuchowski Stanisław, posesor, Dulcza Wielka
74. Rzuchowski Edmund (syn) „
75. Schröpfer, leśniczy (syn) „
76. Hubert Jan, piwowar (syn) „
77. Błażejowski, pomocnik leśniczego „
78. Francikowski Sebastyan, ekonom, Giełda(?)
79. Słotwiński Ludwik, pisarz Jastrząbka Stara
80. Mrozowski Feliks „
81. Siedlikowski Karol „
82. Stura Antoni, rolnik „
83. Rożański Stanisław „
84. Buziak Franciszek Kiełkow
85. Wianty N., stróż „
86. Maliszewski, leśniczy Łączki
87. Kozubski, ekonom „
88. Strzebna Mateusz, stróż „
89. Łączak Mateusz, służący „
90. Ostaszewski Ludwik, służący „
91. Nieznajomy „
92. Nieznajomy „
93. Filipowiec, pisarz Nagoszyn
94. Trauser, leśniczy „
95. Nieznajomy, ksiądz „
96. Nieznajomy, organista „
97. Broniewski Jan, ekonom Partyń
98. Rydel Jan, nauczyciel „
99. Surowiec, stróż „
100. Nieznajomy „
101. Weinbrenner, ekonom „
102. Wiśniowski Antoni, kucharz „
103. Przeszyłowiec Antoni, gospodarz, Przerytybór

104.	Broniewski Teodor, dziedzic	Przybysz(?)
105.	Aleksander Lychowicz	„
106.	Kozłowski Ignacy, policyant	„
107.	Karol N., pisarz	„
108.	Bobrownicki Józef, posesor	Przecław
109.	Nieznajomy, ogrodnik	„
110.	Wojciechowski Jędrzej	Radomyśl
111.	Magierski Stanisław, dozorca	„
112.	Duralik Józef, rolnik	Róża
113.	Garlicki Roman, posesor	Ruda
114.	Nieznajomy, ekonom	„
115.	Nieznajomy	„
116.	„	„
117.	„	„
118.	„	„
119.	Raczyński, leśniczy	Szabowiec(?)
120.	Nieznajomy, krawiec	„
121.	Obcy	„
122.	Nieznajomy	Przecław
123.	Fuchs Józef, posesor	Wadowice
124.	Fuchs Gustaw (syn)	„
125.	Aczkiewicz Hipolit, posesor	„
126.	Świderski Antoni, posesor	„
127.	Świderska Hieronima (żona)	„
128.	Truty ks.	„
129.	Terlecki Jędrzej, mandataryusz	„
130.	Komorowski Władysław	„
131.	Lebicki Mateusz, stolarz	„
132.	Szybist, nieznajomy	„
133.	Zając Mateusz, urlopnik	„
134.	Siedlecki Antoni, posesor,	Wola Wadowska
135.	Siedlecki Jan (syn)	„
136.	Zieliński Franciszek, dziedzic cząstkowy	„
137.	Berhard N., mandataryusz	Wiewiórka
138.	Stawiński, ekonom	„
139.	Skibiński Franciszek	„
140.	Łaszkiewicz, kowal	„
141.	Zawiślak, służący	„
142.	Bysterski Antoni, młynarz	„

143.	Biliński Adolf, posesor	Żarówka
144.	Fik Ignacy, czeladnik	„
145.	Cynbur Jan, wójt	„
146.	Obcy	„
147.	„	„
148.	„	„
149.	Gawrzycki, mandataryusz	Zasów
150.	Kaschler, nadleśniczy	„
151.	Telesiński, gorzelnik	„
152	Krzyżanowski, geometra	„
153.	Klenka, nauczyciel	„
154.	Grążewski, ekonom	„
155.	Wnuk Ignacy, pisarz	„
156.	Marek Jan, aktuaryusz	„
157.	Rymarski Romuald, malarz	„
158.	Kularski Wojciech, organista	„
159.	Przyłęcki Stanisław, ogrodnik	„
160.	Mika Józef, tegoż pomocnik	„
161.	Szymański Michał, policyant	„
162.	Skupniewicz Kazimierz, ekonom,	Zdziarzec
163.	Wojakowski Mikołaj, ekonom	„
164.	Sternalski Tomasz, leśniczy	„
165.	Moro Julian, pachciarz	„
166.	Kosiński Franciszek, mandataryusz,	Zgórsko
167.	Halski Walenty, ekonom,	„
168.	Fuchs Jan, aktuaryusz	„
169.	N. Antoni, policyant	„
170.	Weber Stanisław, posesor	Trzciana
171.	Jego kucharz	„
172.	„ służący	„
173.	„ ekonom	„
174.	Sobolewski	Rzędzianowice
175.	Terlecki, mandataryusz	„
176.	Kruczkiewicz	„
177.	Strzelecki, pisarz	„
178.	Kierwieński, posesor	Górki
179.	Jego służący	„
180.	Geppert, dziedzic	Ziempniów
181.	Nieznajomy	Dąbrówka
182.	Janowski Jakób	Żurakowska Wola

183.	Kubczyk, ekonom	Grabiny
184.	Janikowski, mieszczanin	Pilzno
185.	Chrząstowski Aleksander	Szczepanowice
186.	Chrząstowski Edward	„
187.	Kleczkowski, mandataryusz	„
188.	Hr. Rey	Dembica
189.	Kutta, tegoż aktuaryusz	„
190.	Ciewlewski, aktuaryusz	„
191.	Slagórski, ekonom	„
192.	Wyszyński, ekonom	„
193.	Boguniewicz, posesor	„
194.	Kwiatkowski, mieszczanin	„
195.	Chłędowski, obywatel	„
196.	Szumański Szymon	Wolica
197.	Kosiba, leśniczy	„
198.	Marynowski Tadeusz, dziedzic,	Gumniska
199.	Morski Aleksander, dziedzic,	Latoszyn
200.	Sokulski Marceli, posesor	Podgrodzie
201.	Nowak, posesor	Parkosz
202.	Jaworski, ekonom	„
203.	Karpiński Feliks, posesor	Braciejowa
204.	Nieznajomy	„
205.	Bobrownicki, dziedzic	Dobrków
206.	Winogrodzki, ekonom	„
207.	Kulczycki, gorzelnik	„
208.	Morska Pelagia, dziedziczka	„
209.	Sawicka, gospodyni u księdza	„
210.	Piasecki, budowniczy	„
211.	Nieznajomy	Gawrzyłowa
212.	„	„
213.	„	„
214.	Wolski, justycyaryusz	Pustynia
215.	Gumiński Feliks, dziedzic,	Gorzejowa
216.	Zabiżewski Ignacy, posesor	„
217.	Roskoszny, posesor	„
218.	Pieścieński, posesor	„
219.	Pohorecki, nauczyciel	„
220.	Słotwiński, dziedzic	Głobikówka
221.	Olszewski	„
222.	Piotrowski, ekonom	„

223.	Bogusz Wiktor	Siedliska
224.	Bogusz Tytus	„
225.	Bogusz Włodzimierz	„
226.	Bogusz Stanisław	„
227.	Stradomski ekonom	„
228.	Kobla August mandataryusz	„
229.	Klein Wojciech, mandataryusz	„
230.	Bieliński, aktuaryusz	„
231.	Bogusz Stanisław	Smarzowa
232.	Bogusz Nikodem	„
233.	Stradomski, gorzelnik	„
234.	Morski Stanisław, dziedzic części,	Brzeziny
235.	Nidecki Ludwik, posesor	„
236.	Stronczak	„
237.	Stojowski Stanisław	„
238.	Rucki	„
239.	Bobrowin Jan, posesor	Mała
240.	Kożydarski M.	„
241.	Miska Piotr, ekonom	Wielopole
242.	Sielkiewicz Michał	„
243.	Fadziński, ekonom	„
244.	Litwiński, posesor	„
245.	Goërc, ekonom	Glinik
246.	Gruszczewski, dziedzic	Broniszów
247.	Olszewski Jan, posesor	„
248.	Ihas Adam, posesor	Łączki
249.	Rachlewicz, posesor	„
250.	Baranowski, posesor	Niedźwiada
251.	Baranowski, syn	„
252.	Chrzanowski, posesor	Szkodna
253.	Krajewski, mandataryusz	Skrzyszów
254.	Łazowski, dziedzic części	Pstrągowa
255.	Łazowski Aleksander (syn)	„
256.	Łazowski Józef (syn)	„
257.	Łazowski Henryk (syn)	„
258.	Statkiewicz Feliks, dziedzic części	„
259.	Tymowski Teofil, gorzelnik	„
260.	Hoszewski, mandataryusz	„
261.	Bełdowski, dziedzic części	„
262.	M. Niewiarowski, posesor	„

263.	Iskrowicz, ekonom	Pstrągowa
264.	Nieznajomy, przejeżdżający	„
265.	Nieznajomy	„
266.	Ring, ekonom	Rzemień
267.	Strohr, komisarz	Niziny
268.	Bindychowski, ekonom	„
269.	Żabicki, policyant	„
270.	Stroga, stróż	„
271.	Ostrowski, mandataryusz	„
272.	Nieznajomy	Jaślany
273.	Vincenz, policyant	Baranów
274.	Mikicza, mieszczanin	„
275.	Małecka, posesorka	Zaduszniki
276.	Chłopi z Dzikowa	Padew
277.		
278.	Gawlikowski, st. strażnik	„
279.	Bullak, strażnik	„
280.	Stokłosiński, strażnik	„
281.	Koszut, strażnik	„
282.	Witkowski, ekonom	„
283.	Jego służący	„
284.	Pieczątka, leśniczy	Chrzelów (?)
285.	Stojowski, dziedzic	Dąbrowa
286.	Gorski, posesor z Partynia	„
287.	Wyżykowski, ekonom	„
288.	Brzeziński, ekonom	„
289.	Dulemba, posesor	„
290.	Boniewski, dziedzic	Zdziary
291.	Kotarski, dziedzic	Olesno
292.	Sweżyński	„
293.	Jego syn	„
294.	Romerowicz, ekonom	„
295.	Żelazowski, mandataryusz	„
296.	Stankiewicz, gorzelnik	„
297.	Chmiel, ekonom	Partyn
298.	Wałowski, st. strażnik	Bolesław
299.	Grünfeld Ludwik, dziedzic,	Suchygrunt
300.	Rydel Antoni dziedzice cząstkowi	Dąbrowica
301.	Rydel Feliks	
302.	Zaplatalski, nauczyciel	„

303.	Gołuchowski, dziedzic części	Dąbrowica
304.	Gołuchowski Ludwik (syn)	„
305.	Gołuchowski Wiktor (syn)	„
306.	Strzyżewski Feliks, posesor	„
307.	Straciewicz Wincenty	„
308.	Baranowski Ludwik, b. strażnik	„
309.	Machnicki Feliks, gorzelnik	Breń
310.	Sankiewicz, gorzelnik	Chorążec
311.	Nieznajomy bernardyn	„
312.	Rydel Mikołaj, dziedzic	Łęka Szczucińska
313.	Konopka, dziedzic	Gruszów
314.	Bzowski Ludwik (syn)	„
315.	Psarski, leśniczy	„
316.	Zarębski Mateusz, st. strażnik	Przywiezieni z Sieradzy do Tarnowa, tamże zmarli.
317.	Staner, nauczyciel	
318.	Smoliński, ekonom	
319.	Grynwald, leśniczy	
320.	Dzikowski, leśniczy	
321.	Mroczkowski, ekonom	Malec
322.	Dulemba, posesor	Nieczajna
323.	Nieznajomy, chłop	Odporyszów
324.	Kunaszewski, pisarz	Oleśno
325.	Grzywiński, mandataryusz	„
326.	Kosakiewicz, ekonom	„
327.	Kaczowski, kościelny	„
328.	Tomaszewski	„
329.	Czyżewski	„
330.	Nieznajomy, owczarz	„
331.	Nieznajomy, kowal	„
332.	Dziewięć nieznanych osób	„
333.	Franciszkowski, ekonom	Radgoszcz
334.	Sołtysek Seweryn, dziedzic części	„
335.	Turski, dziedzic części	„
336.	Pierzchała	„
337.	Harniewicz	„
338.	Sawicki	„
339.	Ostrowski, posesor	„
340.	Klenka Wiktor, ekonom	„
341.	Baranowski	„
342.	Rotter Edward, nauczyciel	„

343.	Pikuł Wojtek, rolnik	Radgoszcz
344.	Cudak Franciszek, nauczyciel	„
345.	Krzak Adam, nauczyciel	„
346.	Machnicki, ekonom	Smęgorzów
347.	Starzyński	Sieradza
348.	Bobrowski	„
349.	Rytkiewicz, ekonom	„
350.	Tutonik, furman	„
351.	Trzy nieznajome osoby	„
352.	Baranowski Ludwik, dziedzic	
353.	Ciernikowski, posesor	Tonie
354.	Szumowski, posesor	Wielopole
355.	Nieznany, ekonom	Dąbrowa
356.	Paruch, chłop	Niezaśna (?)
357.	Trzy nieznajome osoby	„
358.	Baranowski	Zdziary
359.	Szeklewski, handlarz	„
360.	Bronikowski, pachciarz	„
361.	Psarski	Łączki
362.	Ostrowski, oficyalista	Zgórsko
363.	Bzowski, dziedzic	Gruszów
364.	Białobrzyski	
365.	Bartoszewska	
366.	Czechowska	
367.	Chodziski	
368.	Fux	
369.	Fux	
370.	Fox	
371.	Turski	
372.	Horodyski	
373.	Kępiński	
374.	Kępiński (ojciec)	
375.	Oraczewski	
376.	Oraczewski	
377.	Przemiankowski	
378.	Pomiankowski	
379.	Sroczyński (ojciec)	
380.	Sroczyński (syn)	
381.	Bieliński	
382.	Kamiński	

383. Konopka Prosper (?) por. 313.
384. Pokusiński
385. Wiesiołowski
386. Żuchowski (ojciec)
387. Zieliński
388. Skulski
389. Gurski
390. Sękowski
391. Wolski
392. Zdzieński.

KONIEC.

AKADEMIA ŚWIĘTOKRZYSKA
Biblioteka Główna
w Kielcach

TREŚĆ.

		Strona
Rozdział	I.	1
„	II.	33
„	III.	64
„	IV.	139
„	V.	174
„	VI.	209

554/50

Biblioteka WSP Kielce
0345637